

e.4686

WERONIKA HORT

TUŁACZE DZIECI



INSTYTUT LITERACKI

1948

BIBLIOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier.
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozlaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiednim!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wrywaj i nie niszcź obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

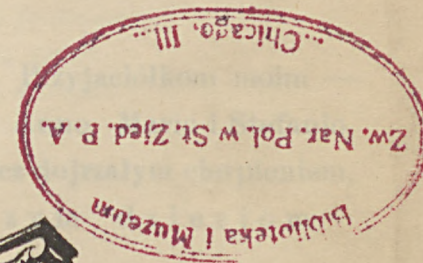
DEC. 1955 - 2M

347

C 4686

WERONIKA HORT

TUŁACZE DZIECI



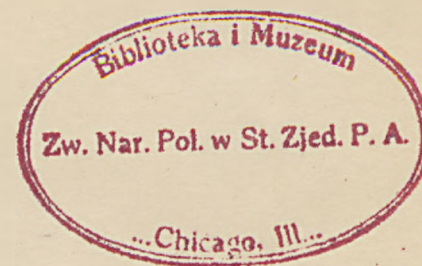
Weronika Hort

INSTYTUT LITERACKI
BEJRUT

1948

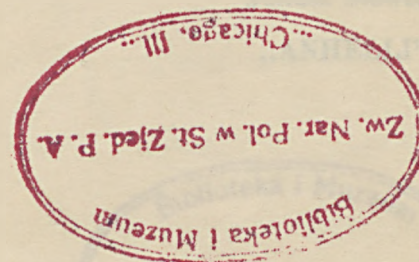
Prawa autorskie zastrzeżone.

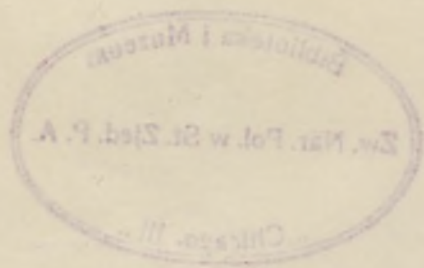
Tłoczono na Kursie Drukarskim przy Instytucie Polskim
w Bejrucie.



OD AUTORKI

Tę książkę dedykuję Przyjaciółkom moim —
Wam — Anno, Mario i Stefano,
I Wam małym wiekiem, lecz dojrzałym cierpieniem,
T u ł a c z y m d z i e c i o m .





MOTTO:

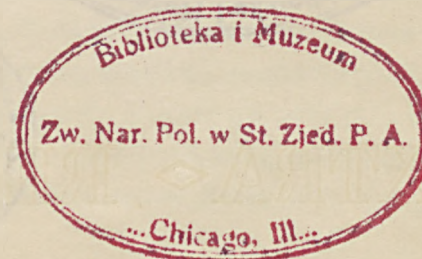
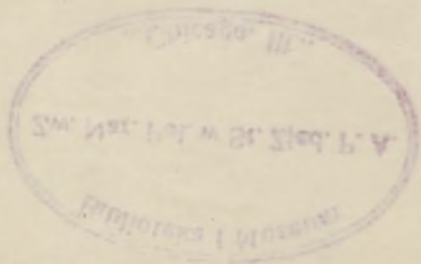
Życie moje zaczęło się od przerażenia,
Ojciec mój umarł śmiercią synów
Ojczyzny, zamordowany; a matka
Moja umarła z boleści po nim,
A jam był pogrobowcem.

* * *

Oto mnie w kołysce owionęła woń krwi
ojcowskiej, i wyrosłem z twarzą smutną
i przełęczoną.

Juliusz Słowacki

„ANHELLI”



OTTO

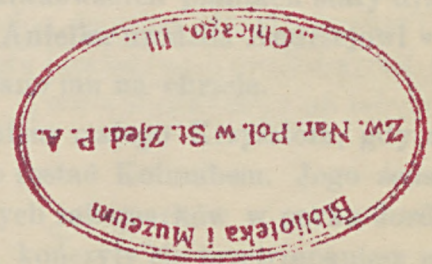
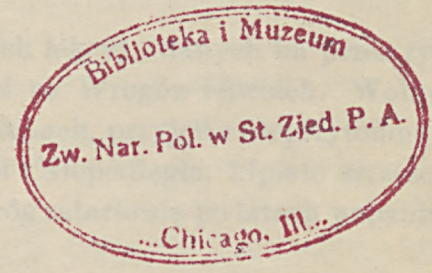
Każde życie jest jak...

Ono może być...

Janina...



CZĘŚĆ PIERWSZA



DZIEJE KRZYSZTOFA

Anielka było na imię matce Krzysztofa, Andrzej ojcu. Oboje urodzili się pod zaborem austriackim, ona we Lwowie, on w Krakowie. Walka o niepodległość była istotą ich dzieciństwa, walka, za którą ich dziadowie, będący pod zaborem rosyjskim poginęli na syberyjskich zesłaniach.

Jedną z pierwszych lekcji, danych im przez życie, było dzielenie ludzi na Wrogów i Swoich. Wolność, ucieleśnioną w Legionach, przyjęli z nieprzytomną radością. Swoją, Swoi i Niepodległa, kipiało szczęściem wokoło. Pojęcie Wróg zatarło się po latach wspaniałej Wolności.

Był rok 1930. Na krakowskich plantach stały drzewa omdlałe z upału. Anielka urodziła Andrzejowi syna, imię Krzysztof dano mu na chrzcie.

Pierwszym marzeniem małego Krzysztofa, gdy zaczął podrastać, było zostać Kolumbem. Jego sensacyjne odkrycia różnych zakamarków w parku Jordana, lub na plantach, kończyły się przetrzepaniem mu przez ojca skóry i obietnicą poprawy ze strony chłopca, ale w miarę jak rósł poczęły nudzić go odkrycia terytoriów, rozpoczął pracę konstruktorską, ograniczając się na razie do zagładania: „co w środku?”.

Zagadnienie czym zostać pomógł rozwiązać Krzysztofowi jego wujek, lotnik, zabierając go kiedyś ze sobą na lotnisko. Ogromne wrażenie wywarł wówczas na Krzysztofie zaczarowany świat warsztatów. Rozgorączkowane oczy nie wiedziały po prostu na czym się dłużej zatrzymać: — na śrubach, drutach, narzędziach — czy prawdziwych częściach samolotu. Wszystko to było godne pożądania i wszystko to Krzysztof chciałby mieć na własność.

Wtedy to postanowił zostać lotnikiem.

Ile guzów nabił sobie, zlatując z krzeseł, stołów, foteli, jako samolotów, które nie chciały latać, trudno zliczyć. Z pasją konstruował z pudełek i szpilek coraz to nowe modele aeroplanów. — „Będzie z niego pociecha” — mówili, kiwając z uznaniem głowami, prawdziwi lotnicy, — „zdolny malec,” — i pozwalano mu wybierać z warsztatów lotniczych śrubki, druciki i przeróżne drobiazgi.

Tragiczne fatum polskich pokoleń zburzyło pogodne Krzysztofowe dzieciństwo i nie dało mu rozwinąć skrzydeł do wysnionych lotów.

Wojna we wrześniu 1939 roku spadła na Anielkę, przebywającą z Krzysztofem u matki swojej we Lwowie, tak niespodzianie, że straciła po prostu głowę.

— Napisz do Andrzeja i czekaj tutaj na jego odpowiedź — radziła matka.

Anielka więc pisała, ale odpowiedzi od Andrzeja nie było. Coraz bardziej alarmujące wiadomości dochodziły z frontu.

— Na pewno już jest w wojsku — mówiła Anielka.

— Na pewno, — potwierdziła matka — siedź więc tutaj, i nie ruszaj się z miejsca, łatwiej się tak skomunikujecie.

Pożoga wojenna objęła wkrótce i Lwów. Na przedmieściach rozgorzały walki, wszystkie szpitale wypełniły się rannymi. Anielka zgłosiła się do Czerwonego Krzyża, i odtąd całymi dniami i nocami przebywała przy chorych, pochłonięta pracą. Wiadomości radiowe były coraz bardziej beznadziejne, a od Andrzeja nie było listu. W końcu przyszedł dzień, w którym po krwawych wysiłkach wojska i ludności wróg wkroczył do miasta.

— Uciekajmy! — namawiała teraz matka.

— Nie zostawię rannych — odpowiadała Anielka.

— Co z nami będzie?

— Co Bóg da.

Pewnej nocy ktoś natarczywie zastukał do drzwi. Rewizja — przemknęło przez głowę Anielki, — otworzyła. Zwalił się na nią jakiś mężczyzna, pod jego ciężarem straciła równowagę — upadli.

— Krew! — krzyknął Krzysztof.

Babka zatkała mu usta i zatrzasnęła drzwi wejściowe; kobiety z trudem podniosły zemdlonego i ułożyły go na łóżku. Babka prędko wyszła i wróciła z wodą i ścierką, i Krzysztof widział jak zmywała ślady krwi na schodach oraz przy wejściu. Robiła to bardzo cicho. Anielka opatrywała rannego, w braku bandażu darła prześcieradło, mężczyzna powoli odzyskiwał przytomność. Krzysztofa wypchnięto do sąsiedniego pokoju, stał tam z uchem przytkniętym do dziurki od klucza i słyszał jak coś szeptał, był zły, że nie mógł zrozumieć co.

Nagły dzwonek u drzwi zelektryzował wszystkich.

Krzysztof wbiegł do pokoju. Na miejscu, gdzie leżał mężczyzna, sterczała teraz kupa pościeli i na niej posadziła go Anielka.

— Pamiętaj — nikogo tu nie było, i nie ma. Czytaj — powiedziała nakazującym głosem, rzucając mu książkę.

Dzwonek szalał, Anielka siadła przy stole i zaczęła cerować spodenki, ręka jej drżała.

— Adkroj! — dał się słyszeć głos i walenie pięścią w drzwi. Babka otworzyła je z klucza. W sąsiednim pokoju zadudniły ciężkie kroki. Kopnięte drzwi z trzaskiem rozwarły się i w progu pokoju stanęło czterech ludzi z rewolwerami.

— Wróg! — przemknęło przez głowę Krzysztofa. Wróg! — a ten, na którym posadziła go matka to Swój

— i trzeba go bronić. Żeby tamten tylko nie jęknął, żeby nie jęknął — myślał Krzysztof i w tej chwili zobaczył utkwione w siebie czarne, zimne, złe oczy. Oczy te świdrowały i przeszywały go na wskroś. Może on wie co ja myślę — przemknęło mu błyskawicą przez głowę. — Zaczęło go mdlić ze strachu, bał się poruszyć. Złe oczy przybliżały się coraz bardziej, bardziej — aż nagle pociemniało wszystko dokoła i Krzysztof zemdlął. Gdy się ocknął, zobaczył nad sobą znów oczy, ale tych oczu się nie bał — to był Swój.

Anielka z babką stały teraz na zmianę przy oknie, obserwując ulicę i wejście do bramy, przybysz zaś opowiadał straszne, a zarazem ciekawe rzeczy. Przyszedł z Warszawy, szedł za granicę. Mówił, że pełno wojska naszego po lasach, że przyjdzie czas, gdy przepędzimy wroga, opowiadał, jak chłopcy w wieku Krzysztofa dzielnie bronili Warszawy, rzucając butelki z benzyną na czołgi niemieckie.

* * *

Od dnia, w którym zjawił się nieznajomy, dom ich stał się jak gdyby hotelem, — stale ktoś przybywał, zmęczony i brudny, — a odchodził przebrany i zupełnie inny. Czasami przybyszowi wyrastała w ciągu jednego dnia broda, lub zmieniał się kolor włosów. Krzysztof nie dziwił się temu i o nic nie pytał, — wiedział, że to Swoi, i że nie wolno nikomu nic o tym mówić.

Mijały miesiące, Andrzej dalej nie dawał znaku życia, Anielka nie mogła się niczego o mężu dowiedzieć.

Bieda zajrzała do ich domu, jedzenia było coraz mniej, zato lat na ubranku Krzysztofa coraz więcej.

Pod piekarnią było istne obozowisko. O trzeciej w nocy zajmowali już ludzie miejsce w kolejce, przynosząc ze sobą stołki i krzeselka. Krzysztof nienawidził tego wyczekiwania, które nie zawsze dawało dobre wyniki.

Tego dnia, jak co dzień, stał w ogonku po chleb. Dzień był brzydki, deszcz ciał po twarzy; szara od błota ulica i przemokli, znuzeni ludzie, snujący się po niej, nie stanowili dla oczu rozrywki. Toteż Krzysztof nudził się i głośno ziewając tupał nogami dla rozgrzewki, rozchlapując błoto ku niezadowoleniu sąsiadów.

Jak ludzie się pozmieniali, — myślał — dawniej byli mili, rozmowni, współczujący, — teraz stali się milezący, źli i niechętni. Pragnął aby Anielka przyszła zastąpić go, chciałby już pobiec do domu, napić się gorącej herbaty, zjeść przygotowane śniadanie, rzucić się na łóżko i zatopić się w marzeniach o domu, Andrzeju, o uśmiechniętej Anielce, wuju lotniku, plantach w Krakowie i wszystkich niedawnych, dziecięcych przyjemnościach, zapomnieć wreszcie o łajaniach i szturchańcach, jakimi dąrzono go w kolejce. A dziś Anielka, jak na złość, spóźnia się. Już dawno matka Helenki przeciwka przyszła ją zastąpić, i „babkę kulawą“ zamienił jej syn, a piekarza zastąpiła piekarka — tylko on marzuje. Westchnął i poczuł się bardzo pokrzywdzony.

Z zamyślenia wyrwał go czyjś płacz.

Z bramy sąsiedniego domu wyprowadzono troje dzieci i wepchnięto do zakrytego brezentową budą ciężarowego samochodu. Krzysztof zaintrygowany pobiegł tam. Gdy mężczyzna, rozmawiający z szoferem, odwrócił się — Krzysztof skamieniał: — Oczy, oczy — zuów te straszne, złe, świdrujące oczy wbiły się w niego. — Wróg! — przebiegło mu przez myśl, w głowie poczuł zamęt.

— Chatieł udrat* — usłyszał poprzez szum w uszach.

Ktoś chwycił go wpół, wrzucił do auta i Krzysztof znalazł się przy zbitych w gromadę, przerażonych dzieciach. Głos uwiązał mu w krtani, a strach sparaliżował ruchy. Do auta tymczasem wpychano ludzi, wrzucając za nimi tobołki i walizki, po czym samochód ruszył.

Krzysztof zaczął krzyczeć z całych sił, próbując przebiec się do wejścia poprzez gromadę ludzi i zwał wszelakich tobołów, lecz silna ręka pochwyciła go i odrzuciła w kąt. Zemdlał. Gdy otworzył oczy, zobaczył pochyloną nad sobą bladą twarz kobiety, na której rękach złożoną miał obolałą głowę.

— Jak się tutaj dostałeś? — zapytała.

— Ktoś mnie wepchnął do samochodu.

— Ojczy, trzeba im wyjaśnić, że to dziecko nie należy do naszej rodziny, niech go wypuszczą — powiedziała kobieta.

*) Chciał uciec.

Stary człowiek, do którego zwrócone były te słowa, wzruszył ramionami.

— Niech ojciec jednak spróbuje — nalegała.

— Myślisz, że to co pomoże? — odpowiedział. Podszedł jednak do konwojenta i zaczął mu tłumaczyć sprawę Krzysztofa.

— Da, da — uspakajał konwojent — kanieczno, jeśli on nie należy do waszej rodziny, to my jego zwolnimy.

— No, widzi ojciec — radowała się kobieta. — A nie wychodź już z domu sam — mówiła głaszcząc głowę chłopca.

Krzysztof patrzył w jej dobre oczy, które nie były podobne do oczu Anielki, a jednak zdawało mu się, że to Anielka jest przy nim. Gdy auto stanęło, zerwał się na równe nogi.

— Wychodź prędko — powiedziała kobieta, pchnąwszy go ku wyjściu.

— Czekaj! — krzyknął konwojent — siadaj.

— Ależ — gorączkowała się kobieta — on nie nasz, trzeba go wypuścić.

— Puścimy — padła odpowiedź — ale potem, tymczasem niech siedzi.

Znów wepchnięto parę osób, wrzucając za nimi tobołki. W aucie zrobił się ścisk, nowoprzybyłe kobiety płakały.

— Przestańcie się mazgać — syknął młody mężczyzna, — płacz nie pomaga, a tylko rozstraja nerwy.

Niemowlę w poduszce zaczęło kwilić, ale matka uspa-

kajala je jak mogła, ale to nie pomagało i dziecko krzyczało coraz głośniej. Niemila woń rozeszła się w powietrzu. — Zmień pieluszki — radziła starsza kobieta i obie zaczęły rozwijać niemowlę. Dziecko stojące blisko nich zwymiotowało na czyjeś tobołki. Pfuj — splunął stary konwojent i podniósł brezentową płachtę zasłaniającą wejście. Świeże powietrze wpadło ożywym prądem. Matka winowajcy ocierała zażygany tobolek, przepraszając właściciela.

— Drobiazg, — padła odpowiedź — to dopiero początek.

— Tak, to dopiero początek — z westchnieniem powtórzył młody człowiek.

— Na dworzec nas wiozą — odezwał się ktoś, widząc mijane znajome budynki.

— Na dworzec — przeszedł szmer pełen grozy.

— Wywożą...

— Jezus Maria — krzyknęła kobieta z niemowlęciem na ręku, rzucając się do wyjścia.

— Uchadi! — ryknął konwojent, odpychając ją brutalnie.

Młody mężczyzna przyskoczył do niego, konwojent uderzył go kułakiem w twarz, straż wyjęła rewolwery i skierowała je ku jadącym.

— Sidiet' i małczat', bo będziemy strzelać — wycedził przez zaciśnięte zęby starszy z nich i zapuścił wejściowy brezent. Młody mężczyzna wycierał sobie krew płynącą z ust.

Na dworcu szybko przeprowadzono ich pod konwojem przez perony, nie dając możności porozumienia się z kimkolwiek, po czym zaczęto ich ładować do towarowego wagonu, w którym byli już inni ludzie.

— Jak było — buntował się młody człowiek.

— To dopiero początek — kiwając głową mówił stary mężczyzna.

— Boże, Boże i za co? za co? — płakała kobieta z niemowłędem na ręku.

Krzysztof był oniemiały.

— Panie, panie — wołała kobieta z dobrymi oczami, szarpiąc za rękaw stojącego przy wagonie, starszego rangą enkawudzistę.* — Tego chłopca trzeba wypuścić, on nie należy do naszej rodziny, — i wysadziła Krzysztofa z wagonu.

Enkawudzista chwycił go i wpełnął z powrotem.

— Potem, potem to załatwimy — mówił z dobrotliwym uśmiechem — tymczasem niech jedzie.

— Ależ on nie nasz — perswadowała kobieta.

— Jeśli nie należy do rodziny waszej, tak my jego odpustim — zapewniał ją uprzejmie.

— Ale kiedy?

— Później — odpowiedział enkawudzista i odszedł do innych wagonów.

Zrobił się ruch na peronie, zatrzaśnięto drzwi, pociąg ruszył. Krzysztof z nieprzytomnej rozpaczyc zaczął

* Funkcjonariusz N. K. W. D. (Narodnyj Komisarjat Wnu-triennich Diet).

krzyżeć i bić głową o ścianę — ledwie go oderwano.

Pociąg, którym jechali, minął wiele stacyj, na żadnej z nich Krzysztofa nie wypuszczono, jechał dalej, związany dziwnym przeznaczeniem losu z obcymi sobie ludźmi. W wagonie było czterdzieści osób: dzieci, starców, kobiet i mężczyzn. Porozkładane na ziemi bety nie dawały swobody poruszania się, ludzie, karmieni soloną rybą i wodą z kałuż, chorowali na żołądki. Rura wychodowa, umieszczona w rogu wagonu, ziała obrzydliwym fetorem. Na stacjach spotykali takie same pociągi, przepelnione wywozonymi Polakami, z niektórych dolatywały buńczuczne lub religijne śpiewy, z innych narzekania lub płacz. Twarze ludzkie, widziane przez kraty okienek, były obrośnięte i chorobliwie blade.

— Skąd was wywieźli? — padały zawsze te same pytania. Nieraz można było dosłyszeć lub rzucić odpowiedź, ale przeważnie konwojeńcy z krzykiem odpędzali rozmawiających od okien i słowa ginęły w przestrzeni.

Krzysztof niezadowolony wykrzykiwał na każdej stacji imię ojca, matki, lub swoje, ale nikt nie odpowiadał na jego wezwanie. Kurczowo uczeplił się myśli, że jeżeli Andrzej zginął dla nich, tak samo tajemniczo, jak on dla Anielki i babki, to na pewno będzie nie gdzie indziej, tylko tutaj, i że pewnego dnia odnajdzie go. We wszystkich jego marzeniach dominował teraz ojciec, natomiast pojawiające się myśli o matce i domu prędko odsuwał od siebie, bał się płakać, wychudł i osłabł. Swędzenie skóry nie dawało mu spać po nocach, wszy gryzły go okropnie.

W wagonie było wiele chorych dzieci. Na każdej stacji domagano się doktora, ale bezskutecznie. Niemowlę, które chorowało przez cały tydzień na rozwolnienie, zżółło i wyschło, — dwoje większych dzieci mącażyło w silnej gorączce. Starsi nerwowo kręcili się po wąskim przejściu, prowadzącym do rury wychodowej lub siedzieli nieruchomo, bezradni i bezsilni. Którejś nocy niemowlę umarło. Na najbliższej stacji mężczyźni zaczęli walić w drzwi i krzyczeć, że dziecko umarło. Otworzono. — Na dworze było ciemno, ktoś latarką oświetlił wnętrze ciepłuszki. Po chwili przyniesiono nosze, zabrano trupka i dwoje chorych dzieci. Matki rzuciły się za nimi, nie puszczono ich jednak.

— Odeślemy wam dzieci, gdy wyzdrowieją — zapewniali enkawudziści, zamykając drzwi wagonu.

Nie mogąc przeboleć straty, matki wyły, jak zwierzęta. Każdy następny dzień podróży stawał się coraz trudniejszy do wytrzymania. Matka niemowlęcia, zrobiwszy lalkę z gałganków, tuliła ją do piersi i karmiła szmacianą kukłę, jak żywe dziecko, śpiewając rozdzierającym głosem kolysanki. Zwariowała.

Droga nie kończyła się — Krzysztof stracił już racuchę dni, cierpiał na zawroty głowy i mdłości. Czasami zdawało mu się, że wnętrzności wylecą mu gardłem. Leżał bezwładny, rozpalony gorączką.

W Akmolińsku drzwi otworzyły się. — Sobirajties s wieszczami* — zakomenderowano.

* Zbierajcie się z rzeczami.

Krzysztofa odesłano do szpitala. — Tyfus — orzekła lekarka.

Ciężka jak z ołowiu głowa bolała go do utraty przytomności, zdawało mu się, że Anielka w białym fartuchu pochyła się nad nim. Dlaczego ona mówi do mnie po rosyjsku? — dziwił się Krzysztof. — Czemu nie nazwie nigdy po imieniu, nie położy pieszczotliwie ręki na bolącej głowie? — Może gniewa się, że tak późno wrócił?... Był na Błoniach z Andrzejem — są tam już karuzele, kolejki, strzelnice i stragany z obwarzankami. Było bardzo gorąco. Andrzej kupił lodów, zimnych lodów... Tylko z tej karuzeli mdli go bardzo i boli głowa. Lody były zimne... tak zimne, jak ręce Anielki, które teraz położyła mu na głowie... Ach, co za ulga... już lepiej... lżej... Można nawet otworzyć oczy... i podnieść ciężkie powieki. Oczy... oczy... nad nim czyjeś oczy... „Pamiętaj, nikogo nie było i nie ma.“ — Wróg... wróg... A gdzie Anielka? — „Pamiętaj, nikogo nie było i nie ma. — Pamiętaj...“

Minęły dwa miesiące, silny organizm zwyciężył chorobę; Krzysztof wyzdrowiał. Był wprawdzie jeszcze słaby, ale w szpitalu brakło miejsc i chorzy leżeli nawet w korytarzach, na gołej podłodze, a nowi nadpływali masami. Wypisano go więc, dając skierowanie na posesję* „Razdolnyj 27“ w północno — kazachstańskiej oblasti.** Tam zesłana była rodzina, z którą

* Osiedle.

** Okręg.

jechał ze Lwowa. Krzysztof cieszył się, że na posiołku zobaczy znajome twarze, z którymi się zżył we wspólnym nieszczęściu.

Dostał na drogę watowane spodnie, gdyż jego dawne rozleciały się w dezynfektorze, i fufajkę wzamian za paletko, które gdzieś zaginęło, oraz na głowę hełm z szarego filcu, z długimi uszami, jak u kokerspaniela, zabawnego pieska kuzynki Irki. Hełm miał na czubku śmieszny szpic, podobny do piorunochrona i Krzysztof zaprzyjaźnił się z tym dziwacznym nakryciem głowy. Ach, zazdrościliby mu go rówieśnicy w Krakowie i na pewno okrzyknęliby go zaraz wodzem plemienia Siuksów.

Gorzej niż potyfusowe zawroty głowy, dokuczał mu głód, niezym nie dający się nasycić. Z miejscowego urzędu N. K. W. D. , gdzie dostał na drogę tak zwany „pajok”^{*} w postaci chleba i suszonej ryby, zabrało go ciężarowe auto, jadące na posiołek Razdolnyj. Gdy tylko samochód ruszył, Krzysztof zabrał się do jedzenia i całodzienny pajok zmiótł w niespełna godzinę. Pościemniało mu trochę w oczach i uczył sennosc, ułożył się więc jaknajwygodniej pomiędzy skrzyniami, ale auto na wybojach podrzucało okropnie i już gdy miał zasnąć, jedna ze skrzyń o mało nie przygniotła go, — siedział więc skulony i czuwał. Droga wiodąca przez niezaludnione i stepowe okolice nie interesowała go, a

^{*} Przydział żywnościowy.

kirgizy robotnicy, jadący z nim w tę samą podróż, nie zwracali na niego uwagi.

Solona ryba, której dużo zjadł, dawała mu się we znaki, poczuł pragnienie, nieśmiało więc zwrócił się jak umiał do jednego z robotników, o wodę.

— Poczekaj — odpowiedział robotnik.

Krzysztof czekał, ale pragnienie narastało i wyschnięte usta domagały się wody.

— Pić — prosił znów robotnika.

— Poczekaj — padła znów odpowiedź.

Krzysztof był bliski płaczu, czuł, że język kołceje mu w ustach, boli krtań, pękają wargi. — Nie wytrzymam, nie wytrzymam — pić, wody... rozplakał się.

Robotnik podrapał się w głowę z zakłopotaniem, strzyknął ślina przez zacisnięte zęby i zapytał szofera:

— Masz wodę?

— Mam.

— To daj.

— Po co?

— Mały chce pić, aż płacze.

Szofer podał przez okienko butelkę z mętną wodą, Krzysztof łapczywie rzucił się na nią i pił, pił, zachłystując się przytym z szybkości.

Jechali już pół dnia, syberyjski klimat dawał się porządnie we znaki. Nogi i ręce Krzysztofa marzły aż do bólu, tupał nogami, bijąc równocześnie rękami po plecach dla rozgrzewki, jak to robili zimą dorożkarze w Krakowie, ale słabł prędko i zimno opanowywało go

ze zdwojoną siłą. Głód i pragnienie dopełniały złego samopoczucia. Droga ciągnęła się bez końca. Wreszcie z pustkowi wynurzyły się ogrodzone budynki.

— Razdolnyj — z ulgą pomyślał Krzysztof. Samochód zatrzymał się wśród prymitywnych, lepionych z gliny, lub drewnianych zabudowań. Krzysztofa odprowadzono do komendanta, który przyjrzał mu się spod przy-mrużonych powiek:

— Ty ze szpitala? — wycedził, przeglądając jego papiery.

— Tak — odpowiedział zalekniony Krzysztof.

— A jak trafiłeś do Akmolińska?

Krzysztof zaczął opowiadać swoją smutną historię łamanym, polsko-rosyjskim językiem, którego nauczył się w czasie pobytu w szpitalu. Pod wpływem ciepła w pokoju, nogi i ręce zaczęły nabrzmiwać i piec okropnie. Komendant, rozparty w fotelu, wypytywał go dość drobiazgowo, Krzysztofowi płątały się odpowiedzi, — w głowie miał pustkę. Męczyło go pragnienie snu. Ciepło osłabiało go coraz bardziej, — chciałby położyć się byle gdzie i zasnąć. Oznajmienie komendanta, że napisze w jego sprawie do „naczalstwa” i że rodzina z którą jechał, przeniesiona jest do innego posiołka, nie przejęło go. Został sam, wśród obcych; na razie było to mu obojętne. Ucieszył się, gdy indagacja była skończona.

Barak Nr. 3 miał być jego domem, jak się do niego doczłapał — nie wiedział. Stał teraz na środku budynku, pomiędzy dwoma rzędami piętrowych prycz, i rozglądał

się za miejscem, gdzieby paść i zasnąć.

Z kąta, spod stosu gałganów wychyliła się siwa, rozczochrana głowa. Rybie, mętne oczy z zaciekawieniem spojrzały na niego.

A ty szto? — zapytał.

Krzysztof czuł, że jeszcze chwila a padnie ze zmęczenia, łzy napłynęły mu do oczu.

— Miejsce — wyszeptał. A gdy tamten, wpatrując się w niego bezustannie, nie dawał żadnej odpowiedzi, powtórzył niemal błagalnie:

— Miejsce — żeby się położyć.

— Skąd tutaj przybyłeś?

— Z Polski.

— Z Polski? — powtórzył starzec i pokiwał głową — nie wiadomo, dziwił się, czy wspominał coś, — wreszcie wstał i wskazał chłopcu wolne miejsce na narach pod oknem. Krzysztof wdrapał się na nie, nie zwróciwszy uwagi na to, że z okna przez wybite szyby prze-rażliwie wieje. Gołe deski, na których mógł się wyciągnąć i zasnąć, wydały mu się najwspanialszym posłaniem, podłożył więc sobie rękę pod głowę, zwinął się w kłębek, pomacał jeszcze szpic na hełmie, uśmiechnął się i... usnął.

Starzec czas jakiś wsłuchiwał się w miarowy oddech chłopca, potem wyszukał z kupy gałganów stary worek, z którym podszedł cicho i nakrył go nim troskliwie.

— Biedaczek — szepnęły bezzębne usta, a w galareto-watych oczach zaszklily się łzy. Polak, Polak — powta-rzał raz po raz.

Wrócił na swoje miejsce, siadł, a raczej wchłonęła go w siebie kupa gałganów. Wyjął chleb i nóż i w zamysleniu począł żuć odkrajane kawałeczki razowca, od czasu do czasu wzdychając, gdy Krzysztof rzucał się niespokojnie przez sen. Najadłszy się, wsunął pod gałgany niedokończony chleb, wstał i wyszedł z baraku.

Krzysztofa zbudził głód, okropny, ssący głód, którego nie miał czym zaspokoić. Nie wiedział czy w ogóle dostanie coś do jedzenia, — komendant powiedział mu tylko, że za tydzień ma iść do roboty przy „samonach”, czy jak tam się to zajęcie nazywało. Może wtedy dopiero dadzą mu „pajok”, lub pieniądze? Ale co robić teraz? Kiszki grały mu marsza, usiadł więc na narach i rozejrzał się dokoła.

Barak był pusty, Krzysztof miał jednak nadzieję, że pod kupą gałganów śpi rozzechrany dziad, który może go jakoś nakarmi.

— Dziadku? — zawołał, — nikt nie odpowiedział.

— Dziadku — powtórzył głośniejszym głosem. Cisza.

— Mocno śpi — podejdę i zbudzę go. — Wstając spostrzegł worek, którym był przykryty. — Pewnie stary dał — pomyślał, i z otuchą podszedł do kąta baraku. Odchylił gałgany, — dziada nie było, lecz na jego miejscu leżał chleb, upragniony chleb. Chwycił go i uciekł na swoje nary.

Zaczął chętnie jeść, chociaż dziecięce jego sumienie nakazywało mu chleb odłożyć na miejsce. — Jak dziad przyjdzie, to mu powiem — rozumował, próbując rozgrzeszyć swój niepokój.

Powoli zaczęli nadchodzić do baraku ludzie, zmęczeni i obojętni, postępując rzucali się na swoje posłanie. Jedni odrazu układali się do snu, inni odwijali cuchnące onuce i oglądali obolałe, w ranach z odmrożenia nogi, jeszcze inni z tępych wyrazem twarzy dojadali pozostałe z porcji dziennej resztki chleba.

Wrócił dziad. Krzysztofowi serce zaczęło gwałtownie bić, — chciał zerwać się, ale wstyd trzymał go na miejscu. — Jak tu przyznać się przy tylu ludziach do tego co zrobił? Jutro, gdy nikogo nie będzie, powie dziadowi, — tak postanowił i obserwował z niepokojem starego.

Dziad układając się do snu, przetrząsał gałgany, szukając chleba, a może Krzysztofowi się tak zdawało, bo stary po chwili położył się i nakrywszy się gałganami usnął.

Barak Nr. 3 był przepelniony, potrójne kondygnacje nar ugiwały się i trzeszczały pod zwalonymi na nich ciałami. Ludzie leżeli i na podłodze. Kłótnie powstawały o każdy kawałek wolnej przestrzeni. Ciężkie chrapania rozlegały się na dobre w baraku, a Krzysztof wciąż jeszcze przewracał się z boku na bok. — Może dziad zapomniał o chlebie? — pocieszał się. To byłoby najlepiej. Obiecał sobie, że jak dostanie swój chleb, podłoży go zaraz staremu. Ta decyzja uspokoiła go, nakrył się workiem i wkrótce też zasnął.

Gdy zbudził się, było jeszcze prawie ciemno, w baraku jednak panował ruch. Ludzie ziewali, kłęli, przeciągali

się, nie myci szli po chleb. Krzysztof poszedł z nimi, dostał 400 gramów razowca i kubek żółtawej cieczy, którą nazywano kawą.

W południe miska zupy rybnej, gotowanej na ościach, a wieczór trzy łyżki kaszy miały stanowić jego całodzienny posiłek. Słona zupa powiększała apetyt, a skąpa porcja chleba nie mogła nasycić głodu, który męczył chłopca bezustannie.

Z nudów i dla zabicia czasu Krzysztof zaczął wałęsać się po posesiołku. Stały tu wszędzie bliźniacze baraki, na progach których siedziały dzieci, opatulone w szmaty. Rodzice wyszli do pracy. Kobiety rzucały nawóz i glinę, polewając tę mieszaninę wodą; woły chodzące w kółko, ubijały ją nogami, ubitą masę mężczyźni narzucali łopatami na taczki i odwozili do suszarni „samonów”. W ruchach robotników widać było zmęczenie, praca musiała być ciężka....

— Jak ja podolałam temu? — ze strachem myślał Krzysztof.

Piąty dzień od jego przyjazdu na posesiołek „Razdolnyj 27” dobiegał końca. Jak codzień w przystępie głodu, zarzekając się, że to już po raz ostatni, Krzysztof wyczekiwał chwili, kiedy dziad wyjdzie z baraku, a on zostanie sam i wyciągnie spod jego gałganów chleb którym się naje i uśmierzy choć na parę godzin głód.

Tego dnia chleba w łachmanach nie znalazł. Co robić? — zaczął rozglądać się po narach. — Może by poszukać u innych? — pomyślał. Chociaż wstydził się tego i bał się trochę, głód jednak zwyciężył i Krzysztof

zaczął obchodzić nary, myszkując pod leżącymi na nich łachmanami. Nic.... nie.... i nie.... Już chciał przestać, zniechęcony niepowodzeniem, gdy nowy skurecz w żołądku dodał mu bodźca. Wdrapał się więc na najwyższą kondygnację i tam szukał. — Czyby i tu niczego nie było? — Ręce jego wreszcie natrafiły na bochen chleba, ukryty pod łachmanami. Chwycił go.

W tym momencie drzwi baraku otworzyły się i wszedł barczysty mężczyzna, który widząc myszkującego koło swego posłania chłopca, ryknął przekleństwo i rozpoczął pogoń za Krzysztofem. Dopadł go łatwo, wydarł chleb i zaczął bić. Razem z uderzeniami, które spadały na głowę, plecy i boki chłopca, lał się potok najohydniejszych wyzwisk. Malec krzyczał... płakał...prosił... nie pomagało. Olbrzym bił i bił. Rzucił półprzytomne dziecko na ziemię i kopał je w pasji.

Byłby chyba go zabił, gdyby nie dziad, który zjawił się w baraku i zobaczywszy od progu co się dzieje, przyskoczył i zasłonił sobą Krzysztofa.

— Saszka, ty s uma saszoł?* — krzyknął do olbrzyma.

— To złodziej, — pienieł się Sasza — ukradł mi chleb!

* czyś ty zwarłował?

Dziad przeciągnął na swoje posłanie okrwawionego malca.

— To złodziej, czego go bronisz? — krzyczał czerwony z pasji olbrzym.

— Gdzie tam złodziej, to dziecko przecie. Głodny był, nie wiedział co robi. A tyś nie kradł chleba, co?

Saszę nastraszył widok krwi, która zalewała twarz chłopca, i obawiając się kary, która mogłaby go za pobicie dziecka spotkać, postanowił uprzędzić wypadki i oskarżyć malca.

— Idę do komendanta, nauczę tego szczeniaka co to kraść cudzy chleb — odgrażał się.

Dziad chwycił Saszę za fufajkę.

— Nie pójdiesz — wołał, — opamiętaj się, mały nie przetrzyma karceru.

— Niech zdechnie! — ryknął Saszka, odtrącając z całych sił dziada, i klnąc wybiegł, jak huragan.

— Zbiesił się, zbiesił! — mruknął stary, podnosząc się z ziemi. Popatrzył z litością na Krzysztofa, chłopak był nieprzytomny, twarz jego przedstawiała siną, nieforemną bryłę. — Za kradzież wsadzą malca do karceru — myślał. Stała mu przed oczyma ciemnica ociekająca wodą, zimna, pełna zaduchu i pleśni. — Nie przetrzyma, nie przetrzyma — powtarzał sobie w duchu. Dorosli, silni ludzie wracali stamtąd jak szmaty, a co dopiero ten wymizerowany chłopczyzna. — Swolocz! — zaklął. I za co? za jakie przewiny zesłali takie dziecko do karnego posiołka? Co ono mogło zro-

bić? Polak! — To wszystko, to wystarczy. A za cóż on sam siedzi od dziesięciu lat tutaj? Urodził się nawet na zesłaniu, a ojciec jego skonał, pracując w kopalniach na Sybirze. — Polak! Wiadomo, wystarczy. . . . i lzy strugą popłynęły po starej, bruzdami pooranej twarzy. Okrył Krzysztofa najlepszymi szmatami ze swego posłania. Co robić? co robić? — Płaczem niewiele wskóram — pomyślał, — działać trzeba i to szybko, by wyprzedzić Saszę, inaczej chłopak stracony. Pomyśl jakiś zaświtał mu w głowie, wybiegł z baraku z taką szybkością, jakby go nie jego stare, schorowane nogi niosły, lecz młode, zdrowe. . . . dawniejsze.

Maszka z sanitardzieła* spojrzawszy na dziada, nie wątpiła ani na chwilę, że stało się coś ważnego. Posłusznie, jak prosił, posłała nosze po chłopca i obiecała opiekować się nim, dopóki stary nie wróci od komendanta.

W dziesięć minut przebył dziad przestrzeń dzielącą go od budynku kancelaryjnego, na którą normalnie potrzebował pół godziny. Gdy dobiegł, zajrzał przez okno poczekalni i odetchnął z ulgą. Saszka siedział na ławce, mnąc niespokojnie czapkę, którą trzymał w ręku.

— Zawział się — pomyślał stary, i skierował się przedko do głównego wejścia, przy którym czuwał przyjaciel jego, woźny i sekretarz w jednej osobie.

* oddział sanitarny

— Pietka, ja k'naczelniku — oznajmił od drzwi.

Woźny wybałuszył na niego oczy. Zdziwiła go energia i zmieniona twarz przyjaciela.

— A w jakiej sprawie? rzucił stereotypowe pytanie, aby tylko coś powiedzieć.

Stary zbliżył się do niego i szepnął mu do ucha jak mógł najciszej: „Spisek”.

Pietka aż przysiadł z wrażenia, mrugając niesłychanie szybko zaczerwienionymi powiekami.

— Co mówisz? — wybełkotał wreszcie, — kto? Gdzie? Opowiadaj! — prosił chwytając przyjaciela za rękę.

— Najpierw komendantowi, a potem tobie — drożył się stary.

— Zapytam komendanta czy cię przyjmie — zgodził się Pietka i zniknął w korytarzu, prowadzącym do kancelarii.

— Może Saszka już jest u komendanta — denerwował się dziad — to byłoby źle, sprawa byłaby przegrana, komendant bowiem nie lubił cofać raz wydanego rozkazu. Pytając i z niepokojem popatrzył na wracającego Pietkę.

— Naczelnik jest zajęty — mówił Pietka.

Staremu przestało bić serce.

— Ale... ty w ważnej sprawie — więc cię przyjmie.

Otucha wstąpiła w dziada, wierzył, że gdy raz stanie przed obliczem komendanta potrafi wygrać sprawę Krzysztofa. Śmiało nacisnął klamkę i wszedł do poko-

ju. Długo stał przed biurkiem, chrząkając i szurgając nogami dla dania znać o sobie, zanim komendant podniósł głowę znad aktów i spojrzał na niego. Stary znał komandirski sposób — znał go, a za każdym razem, gdy zatrzymało się na nim spojrzenie oczu naczelnika, zimnych, stalowych, przeszywających na wylot — bał się, wyprowadzało go ono z równowagi, mąciło myśl, klinem wbijało się w świadomość i powodowało depresję, w której łatwo było przyznać się do win, nawet nigdy niepopelnionych.

Komendant znał siłę swego wzroku i często jej używał, bawiąc się niepokojem ofiary. No i nie jeden już sukces osiągnął przy śledztwie w ten sposób, zarabiając na pochwałę położonych.

— Nu szto? — zapytał wreszcie starego.

— Spisek — odparł dziad i czekał na efekt wywołany tym słowem.

Ani jeden muskuł nie drgnął w twarzy naczelnika. Niedbale zaczął przeglądać jakieś papiery leżące na biurku.

— Czort — pomyślał stary i milczał także. Zapanowała długa cisza.

— Opowiadaj — znudzonym, beznamiętnym głosem odezwał się wreszcie komendant i zabrał się do pisanania.

Stary nie dał się stropić.

— Saszka — zaczął opowiadanie, starając się dostosować do beznamiętnego tonu naczelnika, — Sasz-

ka Razbojkin namawiał malca z baraku Nr. 3 do wspólnej uciezki.

Cisza... Naczelnik zaczął dłubać paznokciem w zębach, przerywając pisanie.

— Razbojkin kazał chłopcu, żeby na drogę nakraść chleba i papierosów u innych więźniów i zanieść tajny list...

Prawy kącik komandirskich wąskich ust drgnął. Uciezka więźnia z karnego posiołka Razdolnyj 27, znaczyła koniec, koniec kariery.

— Moja wygrana, — pomyślał dziad — trafiłem.

Pół godziny opowiadał o przebiegu wydarzeń połączonych z wykryciem spisku, zmyślając barwnie wszystkie niezbędne szczegóły.

— Gdzie Saszka teraz? — zapytał naczelnik.

— Czeka tutaj. Chce oskarżyć przed Towarzystwem Komendantem małego o kradzież chleba, myśli że w ten sposób sprawa się nie wyda, bo smarkaczowi wierzyć nie będą, ale ja sam słyszałem jak on chłopca namawiał... — kończył zeznania stary.

Kąciki ust naczelnika drgały coraz częściej. Na ządanie starego wydał „sprawkę”*, potrzebną by Krzysztofa umieścić na izbie chorych i zapewnić mu lepsze pożywienie.

Dziad po wyjściu z urzędowego pokoju machnął zdobytym papierem przed oczyma Pietki i nie mówiąc

* zarządzenie.

ani słowa, pokuszywał szybko w stronę sanitoddiela.

— S' uma saszol, s' uma saszol — mamrotał Pietka, ale nie miał czasu zastanawiać się dalej nad zachowaniem się przyjaciela, bo ostry i donośny głos naczelnika wzywał go do siebie.

— Ho ho, balszoje dieło — zawyrokował Pietka, znający się na intonacjach szefa — i ruszył do kancelarii.

Jednak „Balszoje dieło” okazało się nie tak wielkim, bo Saszka Razbojkin dostał tylko dziesięć dni karceru...

— Trzeba chłopca jaknajprędzej wyprowadzić z posiołka — radził Pietka dziadowi po zapoznaniu się ze sprawą. — Razbojkin wyłgał się, jak wyjdzie z karceru będzie się mścił na małym i jeszcze go zabije, u takiego Saszki wszystko możliwe. Ale jak to zrobić?

Głowili się teraz obaj nad tym problemem dniami i nocami.

Krzysztof pod opieką Maszy na izbie chorych powracał do sił.

— Słaby on jeszcze — mówiła Masza — słabieńki, ale będzie zdrow niedługo.

Chłopiec nabrał zaufania do dziada, który troszczył się o niego, jak o własne dziecko. Toteż gdy stary zaczął z nim mówić o ucieczce, słuchał go uważnie.

— A jak mnie złapią? to co? — pytał.

— Nie złapią, tak urządzę, że nie domyślą się, że ciebie tu nie ma. Starezy ci czasu na odjechanie dalej,

a szukać cię tak bardzo nie będą—boś ty dziecko, z przypadkuś się tu dostał. Za pięć dni Saszka wychodzi z karceru, jedynie on będzie się o ciebie pytał, ale ty już będziesz daleko, bo już za dwa dni ciężarówka stąd, odwiezie cię do Akmolińska na dworzec. Tam przyczepisz się do jakiegoś transportu z Polakami, dużo ich teraz jedzie na południe, powypuszczali ich po amnestii z łagrów, na południu podobno jest polskie wojsko. Nie zginiesz, będziesz między swymi. Dam ci chleba i grosza na drogę, na jakiś czas to wystarczy, z głodu nie umrzesz. Nie piśnij tylko nikomu teraz ani słowa.

Krzysztof nie oponował. Co noc odtąd śnił mu się Razbojkin jak go łapał, bił i dusił, budził się złany zimnym potem. Strach przed Saszką tłumił w nim wszelkie wątpliwości, poza tym ożyła w nim nadzieja, że odnajdzie ojca.

W dzień ucieczki dziad przyszedł do „sanitoddiała” i zabrał chłopca niby na przechadzkę; łazili po całym posesiolku, to tu, to tam. Stary rozmawiał z napotkanymi po drodze ludźmi, aż doszli w ten sposób do stojącego przy głównej, wjazdowej bramie, ciężarowego auta. Stary rozpoczął gawędę ze strażnikiem przy wejściu, a Krzysztof — jak było umówione — wsunął się przez otwarte drzwiczki do wozu. Znalazł tam wór z sucharami, rybę soloną i parę szmat, którymi się natychmiast okrył, wcisnąwszy się w najdalszy kąt. Stary podtrzymywał rozmowę przy bramie; jacyś ludzie dołączyli się do niej. Wreszcie szofer, który

był wtajemniczony przez dziada, wsiadł, zapuścił motor i ruszyli. Żal zrobiło się chłopcu, że w pośpiechu nie pożegnał się ze starym przyjacielem. Zastanawiał się, czy wykryją, kto ułatwił mu ucieczkę? Jeśli tak, to biedny będzie dziad. Szofer też jest poczciwy, że zgodził się go przewieźć. Są źli ludzie na świecie, ale są i dobrzy.

Tak filozofując ani się spostrzegł, jak w przyjemnym cieple idącym od motoru, zasnął. Zbudził go dopiero przed Akmolińskiem szofer, zdejmując z niego szmaty, którymi był przykryty.

— Zjedz teraz coś i odetchnij świeżym powietrzem — powiedział, podając mu chleb i soloną rybę.

Pod wieczór ciężarówka z Razdolnego 27 zajechała do Akmolińska. Szofer upomniawszy raz jeszcze chłopca, by przed nikim nie zdradził swej ucieczki z posesiolka, wysadził go przed dworcem kolejowym i szybko odjechał.

Krzysztof został sam. Było już ciemno. Olbrzymia czarna kopuła wyiskrzonego gwiazdami nieba pokrywała białą, zimową ziemię. Ścięty mrozem śnieg chrupał pod nogami. Z peronu słychać było sapanie lokomotywy i gwar głosów, które rozehodziły się donośnie w mroźnym powietrzu. Strach chwycił Krzysztofa, pierwszy raz musiał sam decydować o swym losie. Dotychczas wiodła go żelazna ręka przeznaczenia przez wszystkie złe i dobre chwile krótkiego życia, teraz — od niego samego, od tego, co w tej chwili właśnie uczyni, zależeć będzie jego przyszłość.

Dostać się z dworca na peron nie było rzeczą łatwą, kontrola była ścisła, a tylko tam mógł spotkać transporty z Polakami, o których mu dziad na posiołku wspominał. Krzysztof powziął decyzję. Skulił się jak mógł najbardziej, wmieszał w tłum i tak przelawował obok milicjanta dworcowego na peron.

Odetchnął z ulgą i rozejrzał się dokoła: pierwsze przed stacją tory były puste, dopiero na trzecim stał długi pociąg, którego lokomotywa buchała parą. Wagony towarowe przepełnione były ludźmi. Chcąc uniknąć światła latarni, Krzysztof oddalił się od stacji i w ciemności przebiegł pierwsze puste tory, po czym zbliżywszy się do pociągu, wolno zaczął iść wzdłuż stojących wagonów. Niektóre z nich były zamknięte, w innych jechali Rosjanie, widocznie ułohodźcy wojenni. Wtem przy jednym z końcowych wagonów posłyszał polską mowę. Szczęście sprzyjało pierwszym samodzielnym krokom chłopca.

Polacy jadący w wagonie przyjęli Krzysztofa do swojej gromady. Jechali z łagrów, mieli zielone, obrosnięte twarze, chude ręce i nogi pokryte ranami. Szkorbut — mówili, pokazując jeden drugiemu smutny dorobek, skorbut — choroba nędzy i północy. Nie pomógł im wywar z igieł sosnowych, który dawano do picia, zęby chwiały się, włosy wypadały, a ciało rozkładało, wydzielając cuchnącą ropę. Nie rozczuliła nikogo w wagonie historia Krzysztofa, pełno tu już było dzieci — sierot. Co dzień na każdej drodze, którą przebywali Polacy, wyrastały

krzyże lub zostawały samotne mogiłki, nad którymi tylko wiatr zawodził.

Jak stado żurawi ciągnęli ci ludzie na południe, jakiś potężny duch ożywiał ubrane w kolorowe łaty, żyjące szkielety Na południe! Na południe pchała ich tajemnicza siła, rodząc przed oczyma obrazy wlewające w żyły sok żywotny, gorącość entuzjazmu, ekstazę. A na tym południu garstka innych łachmaniarzy wskrzeszała wojsko polskie, czyściła z przejęciem zardzewiałe guziki z orzełkiem, ze wzruszeniem oglądając cudem ocalałe polskie mundury. To nic, że wojsko to było ubrane w łaciate szmaty, to nic, że nogi odbywały pierwsze musztry w łapciach, robionych z opon gumowych powiązanych sznurkiem, któżby o to dbał, że mróz dokuczał w buzułuckim klimacie. Sztandar powiewał na budynku sztabu, sztandar biało-czerwony, któremu oczy nie mogły się do syta napatrzeć.

Co tam, że baraków nie było — goła ziemia też posłanie. Jeszcze trochę wytrwałości i znów wyrównają się szyki. Tymczasem, trudno było nieraz zrobić „w tył zwrot”, bo w głowie kręciło się z osłabienia, a nogi jak słupy telegraficzne wrastały w ziemię i ani rusz machnąć nimi. Ot psia krew — kleli i śmieli się poprzez lzy smutku i radości. Nic to, — mówili, słaniając się z osłabienia, — przyjdzie młodszy rocznik, będzie sprawniejszy. A młodszy rocznik także chwiał się na nogach, ale w oczach, w oczach, — mój Boże! — paliło się takie światło wiary, taka gorzała w nich

siła, że wskrzeszała na nowo tych prawie umarłych.

Po ogłoszeniu amnestii pęd na południe Polaków, wywiezionych w północne okolice Związku Sowieckiego, wzrastał z dnia na dzień. Dziesiątki tysięcy ludzi rozpoczęło wędrówkę. Szli piechotą przez śniegi, marznąc i padając z głodu podrodze. Wysprzedawali się z wszystkiego, byle by starczyło na bilet, byle dojechać tam, — tam gdzie ciepło, gdzie będzie wszystko, gdzie swoi... gdzie wojsko, Polskie Wojsko. Byle dojechać!... Niedawne przeżycia stawały się nieważne. Ważne było przed nimi, ważne oczekiwało ich u wrót Buzułuku.

— Słyszałem, że sztandar polski powiewa na budynku sztabowym — mówił jadący oficer.

— Boże, mój Boże — szlochały kobiety. — Człowiek nawet nie myślał już, że dożyje takiej chwili.

Krzysztofa także owładnął ten pęd i entuzjazm. Dwa tygodnie wspólnej podróży w tym środowisku wyrobiło go. Zmęźniał, pozbył się męczącego strachu przed pogonią i łapami Szaski. Stał się samodzielnym i potrafił się obywać bez obcej pomocy. Przejadł już zapasy i pieniądze, które dał mu na drogę dziad, ale nie przejmował się tym zbytnio, bo na każdej stacji, na której były polskie placówki, dostawał to chleb, to zupę, to jakieś konserwy z nadesłanych dla Polaków darów amerykańskich. Jakoś dojadą do tego wojska — myślał.

Któregoś dnia, wyszedłszy z wagonu, który stał na dalszych torach, Krzysztof długo czekał w kolejce „za kipiátkiem”^{*)}. Gdy go nareszcie zdobył, z przerażeniem spostrzegł, że pociąg, którym jechał, odszedł bez żadnego sygnału, lub uprzedzenia. Z jadących z nim Polaków na stacji została mała dziewczynka, która wyszła z wagonu aby kupić „lepioskę”^{**)} oraz kilku dorosłych mężczyzn.

— Nowy sposób sowiecki — sarkali oni, — chcą żebyśmy wyzdychali po dworcach.

Wkrótce milicja przegnała ludzi z peronu i wejście nań zamknięto. Polaków zapędzono do ogródka przy dworcu, gdzie koczowali w błocie, czekając aż nadejdzie dla nich pociąg. Były tam rodziny z małymi dziećmi, mężczyźni, kobiety, starcy i kaleki. Siedzieli na tobołkach — o ile je kto miał, lub na ziemi. Śnieg z deszczem padał bezustannie, było zimno i mokro. Nie było się gdzie ogrzać ani posilić, nikt jednak nie chciał się ruszyć z miejsca w obawie, by nie przepuścić jakiegoś transportu, o którego nadejściu nic pewnego nie było wiadome. Bywało, że pociąg, który miał przyjść wczoraj, przychodził za dwa tygodnie, a pociąg oczekiwany na jutro, przyjeżdżał o dzień wcześniej. Wojna — tłumaczyli urzędnicy pytającym o przyczyny takiego nieporządku. — Wojna.

*) Gorąca woda.

**) Placek, podplomyk.

Za każdym razem, gdy na stację przybywał pociąg pasażerski, jadący w południowym kierunku, ludzie z ogródka przypuszczali szturm do kasy dworcowej, wysiłki ich jednak były bezowocne, bo pociągi były przeładowane, i żeby zdobyć bilet trzeba było się wprawdzie zaopatrzyć w specjalne pozwolenie od władz N.K.W.D., którego Polakom nie dawano. Obiecywano im natomiast, że za dzień, lub dwa podstawione zostaną dla nich towarowe wagony, które miano doczepić do jadących na południe transportów z uchodźcami. Ale dni i tygodnie mijały i tym tylko udawało się wyruszyć dalej, którzy mimo zakazu władz, podstępem lub za łapówkę przedostali się na peron i zdołali przyczepić się do przygodnego „eszalonu”.

Krzysztof czekał z innymi na obiecane wagony, ale gdy dwa tygodnie minęły, nie przynosząc żadnych zmian, postanowił sam spróbować szczęścia. Nocą przekradł się, omijając budynki stacyjne i gęsto rozstawionych strażników, na peron i doczekawszy, skulony wśród jakichś porzuconych skrzyń, odpowiedniej chwili, uczepił się będącego już w biegu towarowego pociągu. Jeden przystanek przejechał zawieszony na buforach i dopiero gdy pociąg stanął, rozpoczął wędrówkę wzdłuż wagonów, szukając rodków.

Natrafił w końcu na transport Polaków jadących z Tomską na południe, składający się z kobiet i dzieci. Jedyne mężczyzna, starszy już człowiek, opiekujący się nimi, skarżył się, że na paru już stacjach zwracał

się do dworcowej milicji by przysłano doktora, gdyż leżące na ziemi trzy kobiety chorują prawdopodobnie na tyfus, władze jednak nie przejmują się tym i odsyłają ich ciągle dalej.

— Pozarazamy się wszyscy i wyzdychamy, zanim dojedziemy na południe — mówił.

Głód oddawna panował w tym wagonie, wszystkie zapasy zostały wyczerpane. Jedno z dzieci przebaکیowało, że kiedyś zjedli psa, złapanego na stacji.

— Dobry był piesek, a teraz to i psieków nie ma — skarżyła się mała.

Mężczyzna skarcił dziecko, że mówi nieprawdę.

— A właśnie że to prawda — upierała się dziewczynka. — Tatusz sam zabił pieska, a mamusia ugotowała go, mało się wagon nie spalił, tak śmiesznie było. A skórę tatuś schował tu — dokończyła rezolutnie, pokazując na jeden z tobołków.

Krzysztof nie wątpił, że to była prawda. Zastanawiał się czy on mógłby zjeść psa? Przyszły mu na myśl wszystkie znajome pieski. Wzdrygnął się ze wstrętem, — nie, nie zjadłby, żeby nie wiem jak był głodny. Brr.....

Sytuacja w wagonie w miarę podróży stawała się coraz gorsza. Konały po kolei chore kobiety, a trupów mimo próśb i interwencji nie zabierano z wagonu. Sześć kobiet i czworo dzieci leżało znowu w gorączce. Na dalszych stacjach, gdzie już widocznie awizowano przejazd „zadzumionego” wagonu, wrzucano im chleb

i wodę przez drzwi i nie pozwalano wysiadać. Mężczyzna stracił głowę i powtarzał w kółko:

— A niech tam, niech się już raz to skończy, wydychamy i już.

Na którejś stacji zajrzał do nich milicjant i doktor, coś poszeptali i obiecali, że na następnej stacji zabiorą z wagonu trupy i chorych, a pozostałych zbadają. Doktor tłumaczył im, że następna stacja jest większa, a tu nie ma personelu sanitarnego. Milicjant wrzucił do wagonu chleb, wstawił wodę i zatrzaskał drzwi, nie zostawiając ani szparki. Pociąg ruszył.

Przez małe okienko skąpo wchodziło powietrze. Krzysztof miał uczucie, że się dusi. Trupy coraz bardziej zółkły i cuchnęły, — chorzy majaczyli, a zdrowi wyglądali jak obłąkani. Dzieci zmarłych kobiet płakały, zdzierając z trupów gałgany, którymi je mężczyzna nakrywał. Mimo głodu nikt nie ruszał chleba, którego dano im nawet dość dużo.

— Lepiej by nas odrazu pozabijali! Zwierzęta byłyby litościwsze — jęczały kobiety. — Żywcem nas pogrzebali, jak w grobie.

Mężczyzna podszedł do drzwi, chcąc je otworzyć, — nie dały się. Szarpnął jeszcze raz, nie ustępowały. Byli zamknięci od zewnątrz. Dreszcz przerażenia przebiegł po wszystkich; uduszą się w tym trupim wyziewie. Kobiety krzycząc przeraźliwie rzuciły się do drzwi, chcąc je wywalić.

— Czy nie ma sprawiedliwości Bożej! Niech robią co chcą z nami, ale co winne te dzieci? — szlochały, z rozpaczą tłukąc głowami o ścianę wagonu. Dzieci zaniosły się płaczem.

Mężczyzna usiadł głupkowato uśmiechnięty, nieobecny.

— Duszę się, duszę! — krzyknęła jedna z chorych, rozdzierając na sobie ubranie. Duszę się, duszę! — piszczała, wijąc się po podłodze.

Nagle zabrakło wszystkim powietrza. Przepelniła się miara nieszczęścia. Oblęd ogarniał powoli jadących. Kobiety zaczęły rozdierać na sobie ubranie, wyjąc dziko, tarzały się po podłodze, na pół przytomne. Krzysztofem owładnęła również ogólna histeria. Miarowe stukanie kół mieszało się z ludzkim wyciem, tworząc okropną symfonię.

— Pod Twoją obronę — zaczęła nagle jedna z przytomniejszych kobiet.

— Uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko — podchwyciły modlitwę inne, wyciągając ręce błagalnie w górę do nieba, którego nie było widać poprzez dach okropnej trumny na kołach. Modlitwa przeszła w szloch, który wreszcie uspokoił histerię. Po szlochu przyszło wyczerpanie i . . . sen, dający zapomnienie.

Gdy Krzysztof obudził się, pociąg stał. Słychać było gwar stacyjny. Rzucił się do drzwi, waląc w nie pięściami, krzyczał przy tym najgłośniej jak mógł, wierząc że go usłyszą. Rozbudzone kobiety i dzieci

poszły za jego przykładem. Wagon aż dygotał. Tylko stary mężczyzna siedział w kącie głupkowato uśmiechnięty.

Tej nocy gdy spali, skonało dziecko i kobieta.....

.....Jego żona..... i jego córka.

* * *

— Tam są ludzie — dał się słyszeć głos z zewnątrz, mówiący po polsku.

— Niemożliwe — odpowiedział głos inny. Przecież wagon jest zamknięty i zaplombowany.

Krzysztof i kobiety zamarli w bezruchu, możliwość ratunku ogłupiała ich, trwali w grobowej ciszy.

— Czy jest tam kto?

To pytanie zdjęło z nich martwość.

— Jest... jest. Puście... dusimy się. My z Tomska, trupy z nami. Zaczęli krzyczeć wszyscy naraz, — dusimy się, umieramy, otwórzcie! — i rzucili się na drzwi, by je wywalić.

— Spokojnie..... spokojnie, zaraz pójdziemy do władz zażądać by was wypuszczono — uspakajał głos z zewnątrz.

— Swoi — z ulgą pomyślał Krzysztof. Kobiety uspokoiły się trochę. Zaczęto zbierać tobołki i ustawiać je jak najbliższej drzwi. Z zapartym oddechem czekano chwili wyswobodzenia.

Raptem, szarpnąwszy mocno wagonem, pociąg ruszył. Trupy zakolysały się. To przekroczyło już wszelką ludzką wytrzymałość. Czyżby znowu oszukano ich? Któraś z kobiet zaśmiała się histerycznie, za nią druga, trzecia, czwarta. Śmiały się..... zanosily się od śmiechu, śmiały się... aż twarze posiniały im, a z ust potoczyła się piana. Dzieci ogłupiałe zbiły się w kąt, patrząc przerażonym wzrokiem na matki, — a te oszalały. Gryzły się same do krwi, drapały paznokciami twarze, biegały bez sensu po wagonie, jak bydło po oborze w czasie pożaru. Czerwona płachta szalu przesłaniała im oczy i umysły.

— Zabijmy nasze dzieci! — krzyknęła jedna z opętanych — po co się mają tak męczyć — i poczęła dusić swoją córeczkę. Przytomniejsze z kobiet rzuciły się w obronę dziecka, wyrывая je matce.

— Wariatka, wariatka! — krzyczały — chce zabić własne dzieci! Wariatka.

Inne kobiety tuliły i całowały swoje oniemiałe ze strachu maleństwa, które nie rozumiały już niczego. Nie były pewne, czy matka nie zadusi ich w uścisku. Broniły się przed pieczętami, uciekając od nich, zbiły się w swoją gromadkę, czujną na każde poruszenie starszych.

— Boże, Boże, — płakały matki — własne dzieci się nas boją....

— Boże, Boże, za co nas tak karzesz?....

Pociąg znowu stanął. Słychać było koło wagonu ruch.

— Proszę natychmiast otworzyć — mówił podniesiony głos.

— Nie mamy co do tego żadnych zleceń od naszych władz — tłumaczył głos inny po rosyjsku.

— Proszę natychmiast otworzyć — tam są ludzie zamknięci z trupami. Przekonaliśmy się o tym, zanim przesunięto ten pociąg na boczny tor.

— Nieważmożno*) — padła tępa odpowiedź.

Ludzie zamknięci w wagonie nie reagowali już na tę rozmowę — kwadras przeżyty w czasie przetaczania po stacyjnych torach pociągu wyczerpał całkowicie ich siły.

Sprowadzono urzędowego lekarza. Zjawili się starsi rangą urzędnicy dworcowego N. K. W. D.

Z Polaków obecni byli kierowniczka taszkienckiej placówki transportowej, doktorzy i siostry Czerwonego Krzyża. Zerwano pieczęcie, odchyłono skoble, rozsunięto drzwi, buchnął smród. W wagonie panowała śmiertelna cisza. Po wielkim histerycznym ataku ludzie, bez ruchu siedzieli wśród trupów, zapatrzeni przed siebie, nawet dzieciom udzielił się ten nastrój.

Krzysztof pierwszy otrząsnął się z niego i rzucił się do wyjścia, za nim rzuciły się inne dzieci za nimi zerwały się kobiety. W jednej chwili powstało zamieszanie, przepychano się, krzycząc i wymyślając

*) Niemożliwe.

potykano się o trupy i tobołki, każdy chciał wyjść pierwszy. Dzieci na osłep wyskakiwały z wagonu, tłukąc się i kalecząc. Wreszcie uspokoiła się trochę panika, która przy każdym gwizdzie lokomotywy gotowa była wybuchnąć na nowo.

Gdy wagon opustoszał, wyniesiono z niego jeszcze ośmiu chorych i pięć trupów.

— Tif*) — zawyrokowała lekarka sowiecka.

Naczelnik dworcowego N. K. W. D. przygryzał wargi.

Krzysztofa, gdy zacerpnął powietrza, opuściły resztki sił, zwałił się twarzą na kamienie i zapragnął śmierci, — śmierci, której jeszcze przed chwilą tak się bał.

*) Tyfus.

BAJKA Z TYSIĄCA I JEDNEJ

NOCY

Od chwili, w której wszystkie naczelne władze miasta Taszkentu, stolicy „Uzbeckiej Republiki”, obiecały swą pomoc w celu polepszenia bytu obywateli polskich, którzy przejeżdżali przez stację lub koczowali na dworcu, zaczęła się zabawa w „ciu-ciu-babkę” pomiędzy urzędami sowieckimi, a polskim kierownictwem transportowo-dożywieniowej placówki. Od tej chwili termin przybycia pociągów z Polakami z północy stał się zagadką.

— Zgaduj zgadula — chichotały lokomotywy, — na który tor wjadę? W nocy? W dzień? O świcie lub o zmierzchu? Czy zatrzymam się na dworcu? Przed? Za? Lub wcale nie! — łącznicy tracili głowy i nogi. Dyżury trwały całe doby bez wytchnienia. Pociągi „widma” przelatywały przez stację, zatrzymując się na jakimś „wygwizdowie”. Ludzie, jadący w nich, dopiero stamtąd przysyłali gońca do Taszkentu z wiadomościami, że stoją na stacji parę dni i nikt się nimi nie zajmuje, że nie mają co jeść, oraz nie wiedzą dokąd ich posłać, że w pociągu są dzieci i chorzy i pomoc natchmiastowa jest konieczna.

Przeważnie stacyjki takie znajdowały się poza zasięgiem polskich placówek, które zresztą miały bardzo ograniczoną możność działania, gdyż nie były chętnym okiem widziane przez miejscowe władze sowieckie.

Szły więc polskie interwencje za interwencjami do centralnych władz sowieckich, naciskał Sztab Polski z generałem Andersem na czele, Ambasada Polska w Kujbyszewie, wreszcie Londyn i general Sikorski. Chociaż obietnice władz sowieckich dawane były gładko, jednak sytuacja Polaków w Rosji z dnia na dzień się pogarszała.

Pan Naczelnik N. K. W. D., prawdziwy władca Taszkentu — Władimir Władimirowicz Glinoszcokow, rozplęwał się w uprzejmościach:

— Da, da — kończył swoje długie przemówienie na temat przyjaznych stosunków z Polakami i zrozumienia ich potrzeb. — Da, miejsca do których przedtem kierowano transporty są złe, ale teraz będzie inaczej, teraz damy inne, doskonałe. O, wot zdieś! — wskazał palcem na mapie.

Kierowniczka polskiej placówki pochyliła się nad mapą.

— Farab? — zapytała ze zdziwieniem.

— Da — potwierdził naczelnik, — Farab-Nukus, tam dobrze, bardzo dobrze.

— Ależ Nukus to najgorsza miejscowość, a poza tym płynie się tam rzeką, bo pociąg dochodzi przecież do Farabu. A co będzie zimą, gdy rzeka zamarźnie, ludzie będą odcięci od świata?

Żgasł ujmujący uśmiech pana naczelnika Glinoszczokowa. Patrzył teraz na Annę spod przymrużonych, ukośnych powiek. W oświetleniu elektrycznym twarz jego wyglądała jak ulepiona z gliny, była jak nieruchoma maskara, nie ożywiał jej żaden wyraz.

— Farab i Nukus są niemożliwe — mówiła nie zrażając się Anna. — Władze polskie nie zgodzą się na wysyłanie tam ludzi. Proszę przydzielić nam inne, naprawdę dobre miejscowości, nie brak ich tutaj, na południu. Pan dobrze o tym wie, że na dworcu tashkenckim koczuje aż trzy tysiące Polaków, którym nie pozwalacie zamieszkać w mieście. Odsyłacie ich gdzieś bądź, skąd znowu wasze władze odsyłają ich tutaj. Ludzi ci są wymęczeni, głodni i chorzy, nie pozwalacie nam jednak zorganizować własnego szpitala, chociaż wasze szpitale nie chcą przyjmować Polaków, tłumacząc się przepełnieniem. O te 1,200 kilo chleba, któreście nam od niedawna przydzielili, musimy co dzień walczyć od nowa, bo albo nie dostajemy chleba, albo zabieracie lokal w którym się go składa. Ludzie muszą tu znaleźć lepsze warunki. Pan wie, że transporty jadą z północy bardzo długo, a dzieci w pociągach masowo umierają. Wypuściliście Polaków z łagrów i więzień nie po to, by ich tutaj wtłaczać w to samo. Obiecaliście żywić ich po drodze, tak jak żywicie swoich uchodźców wojennych, a nie robicie tego. Jadą oni głodni i sponiewierani, aresztujecie ich pod byle pozorem, na domiar złego jeszcze ten Farab i Nukus. Zakładam protest w imie-

niu władz polskich, przeciwko posyłaniu naszych ludzi do Farabu i Nukusu.

Twarz naczelnika Glinoszczokowa nie zmieniła ani na chwilę swojej bezwyrazowości.

— Nukus to dobre miejsce, — powiedział z uporem — prawda, że rzeka tam zamarza, ale możecie transportować ludzi aeroplanami, jeśli będziecie chcieli.

— Ależ — zachnęła się Anna — to fantazja, panie naczelniku, pan najlepiej wie, że nie mamy takich możliwości.

Naczelnik Glinoszczokow poruszył się:

— Proszę przyjść jutro. Porozumiem się z towarzyszem przewodniczącym sownarkomu^{*)}, co można zrobić w tej sprawie.

Suchym skinieniem głowy dał znak, że audiencja skończona. Na zegarze była godzina trzecia w nocy, — normalna pora przyjąć naczelnika N.K.W.D. Glinoszczokowa.

Nazajutrz, jak to było do przewidzenia, oświadczone Annie, że naczelnik wyjechał „po dielam” i wróci za trzy dni. Po trzech dniach naczelnik oznajmił jej, że przewodniczący sownarkomu, z którym miał rozmawiać, wyjechał do Moskwy i radził zadzwonić za tydzień. Po tygodniu, gdy zatelefonowała, odpowie-

*) Rada Komisarzy Ludowych.

dziano jej z urzędu, że naczelnik i przewodniczący wyjechali, ale zostawili dyspozycje, by transporty z Polakami kierować do Fergany i Buchary. Gdzie i komu zostawili te dyspozycje, informujący nie wiedział.

Sprawozdanie złożone przez łącznika, wysłanego przez władze polskie w celu wybadania warunków egzystencji Polaków w Bucharze, brzmiało:

« 23. X. 41 wyjechałem do Buchary. Po przybyciu późnym wieczorem (godz. 20) do Samarkandy udałem się do wojennego komendanta, u którego dowiedziałem się, że nie będą nas więcej prowiantować. Po wysłaniu depechy do Kaganu i Buchary udaliśmy się dalej. Rano 24-go przybyliśmy na miejsce, gdzie sowiecki ewak-punkt oświadczył, że do Buchary żadnych pociągów nie będzie, gdyż tam jest przepełnienie. Skierowano nas do Farabu. Za parę godzin przybyliśmy na miejsce wyznaczone, gdzie dano nam chleb i zarejestrowano na wyjazd do miejscowości Nukus. Na przystani w Farabie o Nukusie krążą rozmaite wersje — mówią, że ludzi wysyła się tam do budowy kanałów na bardzo złych warunkach, że wszyscy są tam pod opieką N.K.W.D. i że stamtąd drogi powrotnej nie ma, co jest prawdą, gdyż dotąd nikt nie wrócił. Sam rozmawiałem z palaczem, który pracuje na statku i otrzymałem potwierdzenie tej wiadomości. Przypadkowo usłyszałem kłótnię barżowego*) z Polakiem, w której barżowy powiedział po

*) Prowadzący barkę.

rosyjsku: „Poczekaj, jak cię wsadzę na moją barkę, *) będziesz chodzić pod sztykami.”**) W drodze powrotnej zatrzymałem się w Samarkandzie, gdzie do wiedziałem się, że jest tam tymczasem przepełnienie i dopiero po rozesłaniu ludzi po „kołchozach” będzie można zorientować się w ilości wolnych miejsc. Warunki pracy w kołchozach są beznadziejne. Na całej linii od Taszkentu do Farabu na stacjach spotyka się grupki większe i mniejsze Polaków, bez pracy i bez dachu nad głową. Droga powrotna z Farabu jest bardzo utrudniona nawet wtedy, gdy się ma pieniądze. »

Tak wyglądała prawda. Tak wyglądały realizacje sowieckich obietnic.

A listy Polaków z kołchozów, w których miało im być jak w raju, brzmiały:

„Dnia 10 X.1941 opuściliśmy swój posesiołek Dziabryna, nad rzeką Dźwiną północną, do stacji Kotłas. Tam za sprzedane rzeczy, wykupiliśmy wagon towarowy za 1558 rubli do stacji Buzułuk, gdzie tworzy się Armia Polska na terenie Rosji Sowieckiej. Z Buzułuku zostaliśmy już bezpłatnie wysłani na Taszkent do stacji Wrewskaia, zgodnie z ogłoszeniem komendanta Garnizonu W.P., lecz i tutaj nie zatrzymano nas, a skierowano dalej do Samarkandy, Kaganu, Farabu a

*) Barka.

**) Pod bagnietami.

w końcu do Kramowej, stacja Kitab. Tam zatrzymano nas, nie wypuszczając z wagonu przez dwa dni, poczem skierowano esalon do Kazachstanu — na stację kolejową Ahyrtude w Dżambulskiej obłasti. Tam nas wylądowano i grupkami po drodze na Alma-Atę, rozmieszczono po kolchozach. Nasza grupa 170 ludzi umieszczona została w kolchozie Kzyl-ly — w nędznych lepiankach, pod górami okrytymi śniegiem. Otrzymaliśmy ostatnio po 500 gr. mąki na pracującego, a 200 gr. na niepracującego, oraz po 1 kg.

kartofli na głowę i to wszystko. Niezbędna jest pomoc, przede wszystkim w mydle, w bieliźnie, tłuszczu, cukrze dla dzieci, oraz pieniądze, bowiem po blisko dwumiesięcznej podróży jesteśmy zupełnie wyczerpani, a w warunkach w jakich się znajdujemy, nie długo będziemy mogli wytrzymać bez pomocy”.

„Zwracam się z gorącą prośbą o pomoc. Zostałam wywieziona przez N.K.W.D. dnia 13. IV. 1940 z Brzeżan, woj. tarnopolskie, do Kazachstanu, obłasc Aktiubińska, rejon Dziwien, do planchozu Nr. 12. Jestem żoną podoficera zawodowego WP., który został aresztowany przez N.K.W.D. w Brzeżanach dnia 9. XII. 1939 i

stamtąd w głąb Rosji wywieziony. Co z nim dalej się stało, nie wiem. Od drugiego dnia przybycia do kolchozu, przydzielili mnie do ciężkiej fizycznej pracy w polu. Z tą pracą nie mogłam sobie poradzić, gdyż jestem po niebezpiecznej operacji kobiecej i cierpię na kamieć żółciową, dlatego też w planchozie dłużej pozostać nie mogłam. W zimie innej tam pracy nie ma, chyba przy tak zwanym „zadzierzaniu śniegu”, a ja ani zdrowia, ani odzieży do tego nie posiadam. Czy chory, czy zdrowy, musiał iść codzień do roboty — i choć ja na przykład miałam „sprawkę lekarską”, nie to nie pomagało i z temperaturą 39, wyganiano mnie na pracę. Mieszkaliśmy po 18 osób w jednej izbie bez szyb i nieopalanej. Spaliśmy na gołej ziemi i robactwo nas straszliwie żarło.

Za 12 godzin dziennej pracy otrzymywaliśmy po kilkanaście kopiejek wynagrodzenia i „pajok” 600 gr. chleba na dobę, jako całe pożywienie. Gdy nam ogłosili wolność, wszyscy ludzie wyjechali dalej — a ja i kilka rodzin, które nie miały za co wyjechać — pozostaliśmy jeszcze przez trzy miesiące w planchozie, w tej nadziei, że Opieka Społeczna pomoże nam wydostać się stąd. Przed kilku dniami wyjechaliśmy do Dziurunia, oddalonego od planchozu o 90 km., środków do życia nie mamy i żadnej nadziei wyjazdu. Kwater wolnych tu nie ma, bo ewekuowa-

nym obywateli sowieckich jest dużo i nas ze-
wszad wyrzucają. Chleba tu nam nie dają, opału
i pracy dostać też nie można, nikt się o nas nie
troszczy. Ja osobiście nie posiadam niczego, co
można by sprzedać, przyjechałam tu w tej na-
dziei, że znajdę jakąś pomoc. Chciałabym praco-
wać wśród swoich, słyszałam, że w Buzułuku
potrzebują praczek, kucharek, pracownice biu-
rowych. Warunki bytu tutaj stały się całkiem
niemożliwe. Mimo zaświadczenia lekarza chleba
otrzymać nie mogę, miejscowe N.K.W.D. odsyła
mnie z powrotem do kołchozu i nie słucha zad-
nych tłumaczeń. Proszę więc bardzo o jakąś po-
moc. Poza tym w imieniu wszystkich proszę,
aby Opieka Społeczna postarała się u władz
miejscowych aby nam tu chleb wydano, jak
innym „bieżeńcom”,*) i żeby nas nie wyrzucano
jak psów z mieszkań.”

Wojsko Polskie i Ambasada Polska w Kujbysze-
wie robiły wszystko, by zorganizować jaknajskutecz-
niejszą pomoc dla swych obywateli, ale gdy tylko
coś zmontowano, gdy któraś z placówek zaczynała

*) Uchodźcom.

sprawnie działać — jakaś tajemnicza siła rozbijała te
poczynania i paraliżowała pracę, którą trzeba było
zaczynać od nowa.

Był to sowiecki system, którego celem było znu-
żyć i zmęczyć organizatorów i zniechęcić tych, którzy
nie mogli od nich otrzymać na czas pomocy.

„Władze wasze nie dbają o was” — mówiono im
wtedy. „Wojska Polskiego nie ma” — tłumaczono w
dalekich posiołkach. „Wstępujcie do Armii Czer-
wonej, tam tworzą się polskie pułki, — polskie, li-
teńskie, łotewskie, ukraińskie. Tam się wami za-
opiekują, będzie wam dobrze”.

Gdy tylko pojawiły się transporty z żywnością i
darami dla Polaków, przesłane z Ameryki i Anglii, i
zaświtała nadzieja wydatniejszej pomocy. Natych-
miast władze sowieckie zaczęły przerzucać ludność
polską z południa do północnego Kazachstanu bez
jakiegokolwiek uprzedzenia o tym polskich placówek,
by utrudnić wszelką planową organizację opieki.
I znów ludzie marzli i umierali z głodu, a dzieci, któ-
re w tym kraju są otaczane rzekomo najczulszą opie-
ką, ginęły jak muchy. Miarodajne sowieckie czynniki
nie miały ani odrobiny dobrej woli przyjscia z po-
mocą Polakom, zagnanym za ich przyczyną w tak
tragiczną sytuację.

Ale im bardziej pętla sowiecka zaciskała się na
polskich szyjach — tym więcej ludzi stawało do ofiar-
nej pracy, i chociaż wysiłek ten zaspakajał tylko
kropelkę z morza ludzkich potrzeb, ale spełniał

jedno wielkie zadanie — budził nadzieję i zagrzewał do przetrwania.

Uwijali się lekarze polscy po zawszawionych, błotnistych ogrodach, organizując punkty sanitarne, dziś pod tym koszlawym drzewem, jutro przy tamtej połamanej ławce. Tak jak po pacjentach, laziły i po nich wszy. Tyfus zabierał spośród nich ofiary, ale to nie było ważne. — Ważnym było dla nich to, aby w zgaszonych oczach ludzkich wzniecić iskiarkę nadziei, że „nie zginęła póki my żyjemy”, a więc trzeba dla Niej żyć, żyć, by miał kto o Nią walczyć.

Panie polskie, które uwijały się po ogródku dworcowym, przepełnionym ludźmi z transportów, rozdając półżywym dzieciom mleko i jedzenie, pochodząc z darów, często bywały aresztowane.

Równorzędnie z rozgrywającym się dramatem, rodzi się specyficzny humor. Gdy już nie można płakać, trzeba się śmiać. A śmiech był potrzebny Polakom, by się odprężyć i odwrócić choć na chwilę myśli od otaczającej ich strasznej rzeczywistości. Rodzące się samorzutnie dowcipy, podawano sobie z ust do ust błyskawiczną szybkością.

— Słyszałeś nowy kawał? — pytał obdarty i obrośnięty jegomość takiego samego wybiedzzonego łachmaniarza. I nie czekając zachęty opowiadał.

— Siedzi Sowiet i dyskutuje z Polakiem o Bogu. — „A wot u nas Stalin eto Boh. Dobryj Boh” — mówi Sowiet — „stworzył raj dla grażdian i was przyjął do

tego raju. A wasz Boh co? wygnał z raju Adama i Ewę”.

Polak podrapał się w głowę i powiedział:

— Wiesz co, z waszego raju to wolałbym być wygnany.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się na cały głos łachmaniarz i zaraz szedł dalej opowiedzieć dowcip siedzącej na łomokach smutnej, starszej pani.

— Pani kochana — mówiła jejmość w poszarpanej fufajce, do drugiej, — dobry kawał dziś słyszałam. Jak jajko jest w poważnym stanie, to co się rodzi? — No?

— Kureczaki!

— Dobrze, a jak Związek Sowiecki jest w poważnym stanie, to co się rodzi?

— Nie wiem.

— Nie wie pani? — nowa republika.

— Hi, hi — chichotała bezzębna pani — hi, hi, hi, a żeby panią — pani to zawsze coś takiego opowie, że się człowiek trochę pośmieje, — hi, hi.

— Ej, ej, panie kochane — wtrącił wąsaty pan — ciszej, ciszej, bo was jeszcze zamkną. Sowiet nie lubią, jak się ludzie śmieją. — Ze mną w więzieniu siedział taki dowcipniś, co za jeden dowcip 3 lata dostał, — ichni człowiek.

— A jaki dowcip, jaki? opowiedz pan!

Wąsaty pan rozejrzał się dookoła, a widząc samych swoich, odchrząknął i zaczął:

— Otóż, gdy wojska sowieckie wchodziły do Polski, na ulicach miast rosyjskich był rozplakatowany „lozung” — „Wyciągnijmy pomocną dłoń do robotników Zachodniej Ukrainy i Białorusi” — a mój dowcipniś dodał: — dłoń to my wyciągniemy, ale nogi to już oni sami wyciągną. Ha, ha, hi, hi, he, he, — gruchnął ogólny śmiech. — Oj, co prawda to prawda, że nogi to już człowiek wyciągnie, jak oni wyciągną tę przyjazną rękę.

— I co, siedział za to?

— Tak, oni przecież nawet mają osobny paragraf w kodeksie karnym dla takich dowcipniśców, 58 — punkt dziesiąty.

— A żeby ich cholera już raz wzięła — zakłęła jejmość w poszarpanej fufajce.

— Weźmie, weźmie — flegmatycznie oświadczył wąsaty pan, — wcześniej czy później, ale weźmie.

— Byle nas tylko nie wzięła przed nimi — melancholijnie dorzuciła starsza, smutna pani.

— Nie damy się! Tyle już przetrzymaliśmy, to przetrzymamy jeszcze — zapewniał wymizerowany lachmaniarz.

— Podobno nasze wojsko ma zjechać na południe!

— To niby tu do nas? — ożywiły się kobiety.

— Tak słyszałem — szepnął przymrużając prawe oko wąsaty pan, — a w ogóle i my i wojsko nasze pójdziemy do Persji.

— Co też pan mówi? Oj! Dałby Bóg, dałby Bóg.

Te Persy to podobno dobry naród, — westchnęła starsza pani.

W innym kącie dworca opowiadano sobie przygodę, jaka spotkała kierowniczkę punktu żywnościowego w Taszkencie.

— Uśmieć się można jak Boga kocham — prawil wychudzony obywatel w fufajce. — Przyszły dary amerykańskie, no i rozdają naszym dzieciom na dworcu mleko; przedwczoraj jakaś sowietka z dzieckiem na ręku podeszła do kierowniczkę i pyta co ona rozdaje?

— Mleko skondensowane — odpowiada kierowniczka.

— A skąd to?

— Z Ameryki, amerykańskie dary przysłane dla dzieci.

— To daj i mnie — prosi sowietka.

Kierowniczka ulitowała się i dała jej puszkę mleka. Na drugi dzień sowietka odszukała kierowniczkę i rzuciła jej puszkę mleka pod nogi, krzyząc:

— Faszistka, wot kakaja, amerykańskie mleko! Politrak mówił, że w Ameryce niczego nie ma, że sami głodują, a przesyłają mleko tutaj dla dzieci, by pokazać, że u nich wsio jest, a u nas niczego. My znamy ich burżujskie sposoby, to faszystowska propaganda! Wszyscy oni tam spiskują przeciw klasie robotniczej. Waźmi dla siebie eto amerykańskoje gawno! — krzyknęła, kopnawszy nogą puszkę. Potem splunęła i odeszła.

— Jak Boga kocham płakać się chce, jak oni ogłupili ten naród — odezwała się jejmość w poszarpanej fufajce.

Wiadomo! Jak politruk*) na białe każe powiedzieć czarne, to powiedzą i będą wierzyli w to — dorzucił skulony z zimna profesor w wyszarzonym paltocie.

— E, znowu nie wszyscy. Gadają jak politruk każe, a swoje myślą — oponował chudy pan.

— Jak będzie trzeba, to zrobią rewolucję i ryziu — ryziu Stalinowi i jego spółce. . . . — zapewniał rezolutny wąsacz.

— Rewolucję?! Kto? Kiedy? Czy oni mają czas o czymś myśleć, czy w ogóle można przy tym nieustannym ryku głośników radiowych zebrać dwie myśli do kupy? A zresztą kiedy? pytam się, kiedy? Przecież to są ludzie chronicznie zagłodzeni, zdobycie odrobiny jedzenia na każdy dzień jest dla nich największym problemem. Od świtu do południa stoją w jednym ogonku, a od południa do wieczora w drugim — kończył pesymistycznie swoje uwagi profesor.

— No, to ta bidota! Ale góra to nie!

— Co też pan gada — denerwował się wąsacz — co to, sam nie widziałem, jak w najlepszym hotelu tatarskim Nationalu, oficerowie sowieccy bili się przed wejściem do sali restauracyjnej, bo wydawano ograniczoną ilość porcji i kto pierwszy wszedł, ten był lepszy.

*) Komunistyczny instruktor polityczno-propagandowy.

Az miło było patrzeć, jak sobie rozkwaszali nosy. A to jedzenie, o które tak walczyli, to też żadne mecyje. Szczu*) — woda, po której pływało parę lisików kapusty, gulasz — trochę kartofli z ochłapami podobnymi do mięsa i płatek chleba, a kosztuje to oczy z głowy.

— Pan, to widzę stały bywalec hotelowy — z przekąsem rzuciła jejmość w poszarpanej fufajce.

— Taki sam jak i pani — odciął się wąsacz. — A pani to nie była w Nationalu u Delegata? Co? — zapytał.

— Pewnie że byłam. Ale powiedz mi pan właściwie, dlaczego tę kancelarię zrobili w hotelu? Czy nie mogli jej na dworcu urządzić? Ale pewnie! To jasnie państwo! — zoładkowała się jejmość.

— Nie gadałaby pani głupstw — ofuknął ją wąsacz. — Co pani o tym wiesz? Chcieli zrobić kancelarię na dworcu, to sowiecy nie pozwoliły. Kazali im mieszkać w Nationalu, że niby tam mieszkają wszyscy ino-strancy,**) i siedzą teraz jak małpy w klatce, a sowieciarze przetrząsają im papiery i pilnują ich na każdym kroku. Nie mają oni słodkiego życia, nie mają. A słyszeliście państwo, — zwrócił się do sąsiadów obozujących przy najbliższym krzaku, — że tego nowego konsula, czy delegata, co niedawno przyjechał z Kujbyszewa, chcieli wyrzucić z hotelu i w

*) Kapuśniak.

**) Obcokrajowcy.

ogóle z Taszkentu. O mało go nie aresztowali przez to, że urzęduje, że przychodzą do niego Polacy.

— A kto ma do niego przychodzić? Chińczycy? Wiadomo, jak przyjechał urzędować, to musi ludzi przyjmować.

— No właśnie! Ale gadaj pani z sowietami — zakończył wąsaty pan.

A historia delegata przedstawiała się rzeczywiście dziwnie.

Przez stację Taszkent, która była stacją węzłową, przechodziły wszystkie transporty z Polakami, jadącymi z północy na południe, lub z południa do Buzuluk, na północ, do wojska. Według przybliżonych danych, przejeżdżało przez nią miesięcznie do czterdziestu pięciu tysięcy Polaków. Małe placówki polskie cywilne i wojskowe, rozsiane po różnych miastach na południu, miały bardzo niewielkie możliwości załatwienia takiej, lub innej sprawy. Wobec nieprzychylnego ustosunkowania się władz sowieckich, potrzeba istnienia centralnej placówki wzrastała z dnia na dzień. Ambasada w Kujbyszewie była za daleko, Buzuluk i wojsko także. Komunikowanie się w kwestiach, które wymagały natychmiastowej decyzji, trwało tygodnie i oczywiście sprawa na tym cierpiała lub stawała się wręcz nieaktualna. Dlatego też ambasada polska, po porozumieniu się z władzami sowieckimi, przysłała swojego delegata do Taszkentu dla załatwiania ważniejszych spraw, dotyczą-

cych tego okręgu i wydawało się, że tym samym wiele trudności będzie mogło być rozwiązanych na miejscu. Delegat rozpoczął urzędowanie w hotelu National, w którym mieszkał, gdyż o pozwoleniu na lokal biurowy nie mogło być mowy.

Jak woda z gór po topniejącym na wiosnę śniegu — lała się teraz fala ludzka, płynąca z północy, po ratunek, z nadzieją i wiarą, że nareszcie los ich polepszy się.

Ale... ale pewnego słotnego ranka po kilkudniowym zaledwie urzędowaniu delegata w hotelu National, zjawił się groźny funkcjonariusz N.K.W.D z rozkazem, by delegat natychmiast zaprzestał przyjmowania interesantów w hotelu, gdyż jest to wbrew prawu. Dano do zrozumienia delegatowi, że ludzie, którzy będą się zbierać pod hotelem, mogą być aresztowani, a on wydalony. Na potwierdzenie tych słów dały się słyszeć krzyki z ulicy. Kogoś już aresztowano — oczywiście Polaka, którego jedyną winą była chęć skomunikowania się z polskimi władzami.

— Proszę ich nie aresztować — nalegał zdenerwowany zajściem delegat.

— To proszę im powiedzieć, aby odeszli i nie zbierali się przed hotelem. Niech czekają na dworcu — rzucił lakonicznie funkcjonariusz policji.

Delegat wyszedł na ulicę.

— Rozejdźcie się, proszę — przemówił do tłumu czekających nędzarzy, — bo inaczej będą was aresztować. Idźcie na dworzec, ja tam przyjdę do was,

Tłum, szemrząc niechętnie, rozszedł się.

Gdy delegat zjawił się na dworcu, skupili się koło niego Polacy, łaknący wiadomości, instrukcji, dowiedzenia się jaki będzie ich los i jak długo będzie trwała ich tułaczka.

Zanim zdążył odpowiedzieć na parę pytań, zjawili się przedstawiciele dworcowego N.K.W.D. i kazali zebranym rozejść się.

— Dworzec nie jest na zebrania i wiece.

— Ależ ja muszę moich rodaków poinformować o rzeczach, które ich interesują, które decydują o ich losie — tłumaczył delegat.

— To niech pan robi to w swoim biurze, zgromadzenia publiczne na dworcu i na ulicach są wzbronione.

— Ależ odmówiono mi zezwolenia na wynajęcie lokalu biurowego, a w hotelu zabroniono mi przyjmować — mówił poirytowany delegat.

— A zdies nielzia*) — lakonicznie zakończył enkawudzista i zabrał się do rozpędzania ludzi.

Oczywiście, oburzony konsul-delegat udał się natychmiast do przedstawiciela M.S.Z. republiki Uzbekkiej z protestem przeciwko takiemu traktowaniu jego osoby przez władze N.K.W.D. Jako dyplomata w specjalnej misji, żądał od ministerstwa odpowied-

*) A tutaj nie wolno.

niego napomnienia N.K.W.D., oraz udzielenia mu najdalej idącej opieki i ułatwień w sprawach związanych z urzędowaniem.

Sekretarz „Inostrannowo oddiela”*) (bo szef, jak zwykle w takich sprawach bywa — wyjechał) wysoki, chudy, mówiący cichym, spokojnym głosem, bardzo dobrze ułożony pan, z ubolewaniem rozkładał ręce — bo nie może „Inostrannyj oddiel” nie w tym koledze pomóc.

Sprawa, niestety, przedstawia się nieprzyjemnie. „Inostrannyj oddiel” niepodległej republiki Uzbekkiej nie został powiadomiony przez swoją władzę centralną o otwarciu w Taszkencie dyplomatycznej Polskiej Konsularnej Placówki, wobec czego „pan wybaczy” — ale do czasu otrzymania instrukcji należy się wstrzymać z rozpoczęciem urzędowania; wchodząc jednak w drażliwe położenie kolegi konsula, sekretarz obiecał, że pośle natychmiast telegram do Kujbyszewa do centrali, z zapytaniem w tej sprawie. Tymczasem jednak prosi kolegę, by nie urzędował do czasu przyścia odpowiedzi. „Inostrannyj oddiel” wyrobi u władz miejscowych N.K.W.D. pozwolenie na dalszy pobyt delegata w Taszkencie, ale na razie — jako osoby prywatnej.

— Ach, rozumiem, że to mało, — tłumaczył się, rozkładając ręce sekretarz, — ale niestety to wszystko co na razie możemy tutaj zrobić.

*) Wydział zagraniczny.

— Komisariat Spraw Zagranicznych w Kujbyszewie wyraził jednak zgodę na mój wyjazd do Taszkentu, w charakterze delegata i obiecał Ambasadzie Polskiej, że powiadomi tutejsze władze, prosząc je o opiekę i poparcie — bronił się polski konsul.

— Nie wątpię, — odpowiedział z uprzejmym skłonieniem głowy sekretarz, — ale to zawiadomienie, ani żadne instrukcje w pańskiej sprawie do nas nie doszły. Mam jednak nadzieję, że sprawa prędko się wyjaśni i wtedy będziemy mogli panu służyć wszelką pomocą.

Konsul wyszedł, kwaśno pożegnawszy się z usłużnym sekretarzem „Inostrannowo oddiela” niezależnej Uzbeckiej sowieckiej republiki i siedział odtąd w Taszkencie jako osoba prywatna.

Upartych nędzarzy, przychodzących pod hotel, często aresztowano. O aresztowaniach nie powiadomiano delegata. Interwencje nie pomagały.

Tymczasem agenci sowieccy przenikali w polskie środowiska, szerząc oszczercze wiadomości o wojsku, placówkach polskich i ludziach, stojących u steru spraw polskich w Rosji i w Londynie. Komuniści różnego autoramentu wyteżali siły, by zniechęcić Polaków do wszystkiego co polskie, by odebrać im nadzieję na lepsze jutro i by urobić ich na biernych obywateli przyszłej sowiecko - polskiej republiki. Oficerowie N.K.W.D. starali się namowami, obietnicami, wreszcie groźbami, zmusić aktywniejsze jednostki polskie do współpracy na rzecz Związku

Sowieckiego. Męty szły na takie propozycje, prawi jednak Polacy wzmacniali czujność i pracowali ze zdwojoną siłą dla dobra polskiej sprawy. — Sowieckie agentury rozpuszczały wersje o rzekomej współpracy tych upartych z N.K.W.D. — by podważyć do nich zaufanie u rodaków.

Zaczęły się donosy, swary i nieufność — przy nędzy, głodzie i chorobach. Przewyciężyć to piekło mogła tylko wielka wiara w odrodzenie Ojczyzny i nadzieja w ostateczne zwycięstwo słusznej sprawy, a tej wiary i nadziei Polakom nie brakowało. Najboleśniejszym faktem było to, że w tym Dantejskim piekle były dzieci. Tragiczny ich los wzruszyłby chyba i kamienie.

Wędrowali mali męczennicy w mrozy poprzez śniegi, o głodzie, pozerani przez wszy i dziesiątkowani chorobami, gasnąc po drodze, jak zdmuchnięte na wietrze świece. Sierocieli, samotnieli. Nieufność do wszystkich i wszystkiego stawała się ich najważniejszym rysem charakteru. Wyteżoną życia było zdobycie jedzenia za wszelką cenę. Ani kradzieży, ani oszustwa nie poczytywano już w regulaminie dzieci-tułaczy, za grzech. Litość została wyeliminowana, solidarność podniesiona do zenitu, instynkt był ich przewodnikiem.

* * *

Kiedy przyprowadzono do kancelarii małą kruszynkę o wystraszonych oczach, to zdawało się, że połatana, i prześwitująca dziurami w łątach fufajka, rusza się na niej od robactwa i że za chwilę sama zejdzie z dziewczynki, maszerując w jakimś kierunku. Kruszynka popatrzyła chabrowymi, melancholijnymi oczyma na Annę, wciskając pod chustkę wymykający się kosmyk włosów koloru dojrzałego zboża. Zsiniałe usta złożyły się do wypowiedzenia czegoś, ale zostały nieme, a dziewczynka wcisnęła się tylko mocniej w kąć, wystraszona pukaniem do drzwi.

Jak furia wpadł do pokoju dyrektor hotelu: „niech ona natychmiast stąd wyjdzie!” — krzyczał, pokazując z obrzydzeniem na Jadwisię.

Życzeniom dyrektora stało się zadość, Jadwisia wyszła, ale tylko do „bani”,^{*)} skąd wróciła czyściutka, przebrana.

Ach, zabłyśły jak gwiazdeczki zgaszone oczka Jadwisi, gdy ujrzały czekoladę, leżącą na stole, zaróżowiły się ziemisto-zielone policzki po wypiciu mleka. Nawet nóżki parę razy z zadowolenia majtnęły pod krzesłem. Ale cerber czuwał.

— Ona znowuz tutaj? — syknął, wszedłszy ponownie do pokoju.

— Tak. — Chłodno odpowiedziała kierowniczką.

*) Łazienka.

— Ale ona nie będzie tutaj nocować?
— Będzie.

— Hotel nie jest przytułkiem, a zresztą przebywanie osób nie identyfikowanych w hotelu jest zabronione.

— Jest wieczór, nie wyrzucę dziecka na ulicę. Jutro umieszczę ją gdzie indziej.

— No to N.K.W.D. porozmawia z panią — pisnął fałsetem cerber i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

— W tym kraju zorganizowanego bałaganu tylko na dwie rzeczy „grażdanie”^{*)} nie muszą mieć „rozrezenia”^{***)} N.K.W.D. — na wszy i „kipiatok” — żartowała pani Maria, układając senną Jadwisię do łóżka.

— To fantastyczny kraj — mówiła dalej do Anny. — Siedziała ze mną w łagrze staruszka, obywatelka sowiecka, dyrektorka szwalni, oskarżona o kontrrewolucyjną działalność, a wyglądało to w ten sposób: w szwalni wisiał portret Stalina, muchy nie bardzo szanowały ten wizerunek i złośliwie pstrzyły go. Z czasem „baćko” stał się nie do poznania. Wtem, jak grom z jasnego nieba, spadła wiadomość, że komisja z Moskwy ma zwiedzić szwalnię. Co zrobić z portretem? zostawić go nie sposób — biedziła się staruszka, — brudny, za dopuszczenie do zanieczyszczenia go przez owady można dostać parę lat więzienia. Darować portretu też nie można. Wyrzucić jeszcze

*) Obywatele.

***) Zezwolenie.

gorzej. Spalić — przyszła jej genialna myśl i w tajemnicy przed ciekawymi portret spaliła. Ale czyjeś oczy wysledziły jednak przestępstwo i oskarżono staruszkę, a sąd skazał ją za to na trzy lata więzienia. Co kraj — to obyczaj.

— Wolałabym nie zapoznawać się z obyczajami tego kraju! — westchnęła Anna.

Jadwisia zasnęła. Pani Maria wyszła. Anna wzięła się do pisania raportu. Dzień skończył się jak zwykle smutkiem i goryczą. Na dworze była plucha.

Drryń, drryń — zawarzał nagle ochryply dzwonek telefonu. Anna podniosła słuchawkę.

— Hallo! będzie mówił Aszhabad, padażditie.*)

Z daleka, jakby z zaświatów ktoś coś mówił, wykluczone było cokolwiek zrozumieć. Nagle... trzask i wszystko się urwało.

— Padażditie, padażditie — rozległ się donośny głos telefonistki. Słuchawkę wypełniała teraz jakaś piekielna muzyka: świsty, trzaski, wycia, przerywane co parę minut monotonnym „padażditie”. Po piętnastu minutowym czekaniu ten sam głos oświadczył: „Niczewo nie budiet”.**)

Aszhabad nie miał połączenia telefonicznego z Taszkentem tylko radiofoniczne, które było prawie niedostępne dla użytku prywatnego. Sprawa przedstawiała się więc tajemniczo. Może to po prostu po

*) Poczekajcie.

**) Nic nie będzie.

myłka — myślała kierowniczką. Mijały godziny. Wtem dzwonek telefonu wgrzył się ponownie w ciszę nocną.

— Tu mówi Aszhabad — głos brzmiał tym razem słyszalnie. — Czy to Taszkent?

— Tak.

— Proszę zawiadomić Ambasadę Polską w Kujbyszewie, że przyjechała z Indii ekspedycja Czerwonego Krzyża. Kierownik jej nie może dostać przepustki do Kujbyszewa, przywieźli trzy wagony medykamentów oraz tran, mydło, mleko, ubrania dla dzieci, koce, buty. Gdzie to zamagazynować? Mają pozwolenie na wjazd do Indii dla pięciuset polskich sierot i pięćdziesięciu wychowawczyń. Komendant transportu przyjedzie do Taszkentu. Zamówić dla niego pokój. Aha, i jeszcze bardzo ważne....

W tym momencie właśnie słyszalność przerwała się, natomiast rozległy się trzaski, wycia i świsty, a głos telefonistki słowem: „pakoncezo” przekreślił nadzieję na dalszą rozmowę.

Po długich wysiłkach Anna połączyła się telefonicznie z Ambasadą Polską w Kujbyszewie. Zerwany ze snu, sekretarz Ambasady o mało nie sklął jej za głupie zarty.

— Z Indii? Kto? Co? Ekspedycja?... Więc to prawda?... Pięćset dzieci?... To brzmi jak bajka z tysiąca i jednej nocy.

Czyżby rozwarły się, zawarte na wszystkie spusty bramy Rosji, dla garstki tułacznych dzieci?

K A Z I U N I A

Przywiało ją.

Bo jakżeby inaczej te malutkie nożyny przebrnęły te wielkie śniegi. Buran^{*)} chyba chwycił ją w swoje białe łapy i rzucił aż tu, pod drzwi sierocińca.

Weszła opatulona szmatami, wyglądając jak lalka zrobiona z gałganów, która za niewiadomą przyczyną porusza się i mówi.

— Jeść — były jej pierwsze słowa.

— Pani, jeść — molestowała głosem, przypominającym do złudzenia zawodowych żebraków. Uczępiła się pierwszej napotkanej sukni.

— Jeść — skamlala.

Dali jej. Malutkie łapiny z trudem podnosiły do ust kubek z herbatą, a szczerbate zęby łapczywie wgrzyzały się w chleb. W miarę jedzenia poczuła przyjemne ciepło, rozchodzące się po żołądku. Powoli, niepewnym ruchem, zaczęła odkręcać łachmany z głowy. Oczy rozpalonym złotem spojrzwały dookoła nieufnie, badając, czy można zawierzyć otoczeniu.

^{*)} Zamieć śnieżna.

Trzymała szmaty swoje co prawda przy sobie, ale cóż to znaczyło wobec przeróżnych sztuczek złodziejskich. Czyż w Barnaule pocziwie wyglądająca staruszka nie ściągnęła jej ciepłej chustki z głowy, pod pozorem wyiskania wszy z włosów? I co? Czy odnalazł kto staruchę, odebrał jej chustkę, ulitował się nad nią, gdy płakała, lub dał jej w zamian jakąś szmatę? Nie. Zostawili ją samej sobie. Odmrożone uszy bolały przeokropnie.

— Och, — westchnęła ciężko na przykre wspomnienie.

— Kto cię tutaj przyprowadził? — pytały ciekawe dzieci.

— Siamą przyszła — odpowiedziała, dumnie podnosząc główkę.

— Ale jak?

— Tak — i zaczęła w susach przeskakiwać sałę, to zatrzymując się zmęczona, to znów dalej skacząc, jakby przez zasypy śnieżne.

— Tak.

— A jak ci na imię?

— Kaziunia.

— A nazwisko?

— Kaziunia.

— To imię, ale nazwisko? — indagowała ubawiona Basia.

— Kaziunia — odpowiadała mała, bliska płaczu.

— Niech ci będzie Kaziunia. A gdzie twoja ma-
musia?

Kaziunia wzruszyła ramionkami na znak, że nie wie.

— A tatuś?

Powtórzyła ten sam ruch.

— A babcia?

— Babcia, och, — jęknęła, — umarła, umarła. . . .
babcia umarła tam. . . . tam. . . . daleko. — I lzy gra-
dem potoczyły się po jej twarzyczce.

Dzieci od razu przestały się nią interesować. Płacz
po stracie bliskich był tu powszednim, nudnym
zjawiskiem.

Całą swą uwagę skierowały teraz na Krystynkę,
zwaną powszechnie „akrobatka”. Miała ona niesły-
chane giętkie kości i robiła „mostek” bez wysiłku,
ku zazdrości innych dzieci. W tej chwili właśnie
próbowała zrobić tak zwany „szpagat”, ale nie uda-
wało jej się to, nie mogła sięść na ziemi.

— To nic, za to umiem „Maćka” — powiedziała
i dumnie popatrzyła na zebranych.

— Jak umiesz, to zaśpiewaj — odezwała się krząta-
jąca się przy piecu pani Marcinowa, karmicielka
sierocińca, kobieta o złotym sercu i góralskim senty-
mencie.

— Umarł Maciek, umarł i leży na desce — zaczęła
z ferworem Krystynka.

— Żeby mu zagrali, — podchwyciła Basia — pod-
skoczyłby jeszcze!

Bo w Mazurze taka dusza,

Że choć umrze to się rusza,

Oj dana, dana, dana, daaana. . . . — darły się
dzieciaki, przekrzykując się nawzajem.

Wypogodziła się buzia Kaziuni, a w oczach zapali-
ły się złote iskierki.

— Może i ty co umiesz? — zachęcała ją Marcinowa,
która radaby dzieckom nieba przychylić, a dla tej
kruszyny poczuła od razu wielką serdeczność.

Kaziunia walczyła ze sobą przez chwilę, wreszcie
zaczęła pośpiesznie rozwijać się z gałganów, — a było
tego na niej co niemiara, to w poprzek, to na krzyż
zawinięte, i stare nogawki od spodni, kawałki spódnic
i worków. W końcu ukazała się chudziutka postać
z buzią jak piąstka, o ziemistej, pergaminowo prze-
źroczystej cerze, w połatannej spódnicy i starym
serdaczku, nałożonym na gołe ciało. Na nożynach
miała coś przedziwnego, ni to buty, ni to łapcie, ni
to nie wiadomo co.

Sprężyła ciało, podniosła główkę, a rączyny osa-
dziła na bioderkach, — chwilę mruzczała niepewnie
coś pod noskiem, potem mruzcando przeszło w głoś-
niejsze nucenie, nucenie w śpiew, — i popłynęła
sprawnie góralska melodia. Nożyny przytupnęły z
dziwną siłą i Kaziunia ruszyła najprawdziwszym
„dreptanym”.

Hej, coraz szybciej, coraz większe brała tempo. Hej,
wykręcała się, podskakiwała, przytupywała!

Przestała już śpiewać — tańczyła teraz pod muzykę już przez siebie tylko słyszana. Rumieńce oblały jej twarzyczkę.

— Już, — powiedziała, przystanawszy nagle — już, Kaziunia nie może. — I opadła na ziemię tak bezkostnie, jak nie człowiek, a suknia, która spada z wieszaka.

— O mój Ty Jezusieńku, — zachlipała pani Marcinowa. — Tyle років nie widziałak „dreptanego”! — zaczęła z góralską. — Aj, pokarał Pan Bóg człowieka, że to ani chałupy, ani swoich ni mo. A tyżeś czyja, niebożatko ty moje? — pytała, podchodząc do dziewczynki i porwała ją na ręce, tuląc do siebie.

Zo wstrętem i bojaźnią odchyłała Kaziunia na wszystkie strony główkę, broniąc się przed wylewnością pani Marcinowej, wyszarpnęła się wreszcie z jej objęć i pobiegła szybko do swoich szmat, już z daleka przeliczyła je oczyma, a teraz dotykała jeszcze każdej z osobna. Nie miała żadnego zaufania do ludzi, ani do ich łez, ni do pocałunków. Gdy Marcinowa, nie dając za wygraną, ponownie zbliżyła się do niej, Kaziunia zgarnęła prędko szmaty w kupę, przycisnęła do siebie i spojrzeniem osadziła w miejscu idącą.

— Tfy, czary, czy co, — przeżegnała się Krzyżem świętym Marcinowa, — zły chyba przemienił dziecko?

Zabobonny strach obezwładnił ją, wyraźnie patrzyły na nią rozwściezione, wilcze ślepia.

— Odeńc stara, — warczał mały odmieniec, — odeńc!

— Mię Ojca i Syna, — powtarzała w kółko Marcinowa, trzepiąc rękami jakby dla odpędzenia czarów. — Mię Ojca i Syna. — Poczula nagle pustkę w głowie.

Dzieciarnia, wyczuwszy słaby punkt Kaziuni, zaczęła droczyć się z nią, próbując wydrzeć jej lachmany. Mała dwoiła się, troiła, gryzła, drapała, kopala w obronie swego dobytku, czerwona z pasji, lypała złym okiem, warcząc:

— Odeńcie, odeńcie.... nie dam.... won....

Nie powstrzymało rozszalałej gromady stuknięcie drzwiami, ani zdumiony głos powracającej z miasta pani Stefanii, opiekunki dzieci w przejściowym sierocińcu polskim we Wrewojskoje. Słowa jej zginęły w pisku i krzyku.

Płomień gniewu przeleciał po jej twarzy:

— Cóż to za nielitościwa zabawa? — krzyknęła.

Dzieci, przyłapane na gorącym uczynku, w mig rozbiegły się po kątach pokoju.

— Mogłaby pani Marcinowa mieć więcej rozumu i skarcić dzieci, a nie przyglądać się tak okrutnej zabawie — zwróciła się do stojącej bez ruchu Marcinowej.

Marcinowa wybuchnęła habskim, głośnym, zawodliwym płaczem, pociągając przy tym mocno nosem, czuła bowiem słuszność tych wyrzutów i zła była na siebie, że się tak niewłaściwie zachowała.

— Ej, nie wydziwiałaby pani Marcinowa, a wię-

łaby się lepiej do przygotowania dla dzieci kolacji — pojednawczo powiedziała pani Stefania.

Marcinowa uznała tę uwagę również za słuszną i zniknęła za przepierzeniem.

Przez ten czas Kaziunia ubrała się już w swoje szmatki i zdążyła teraz do drzwi.

— Dokąd idziesz? — spytała ją pani Stefania.

— Tam — odpowiedziała, pokazując ruchem ręki nieokreśloną przestrzeń za drzwiami.

— Czy masz tu gdzie swój dom?

Kaziunia w odpowiedzi roześmiała się przykrym, chrapliwym śmiechem i otworzyła drzwi. Zimno buchnęło do środka sierocińca.

— Czekaj, dokąd idziesz?

— Na foksal*) — odpowiedziała poważnie mała.

— Masz tam rodzinę?

Kaziunia zaśmiała się tym samym śmiechem. Pani Stefania poczuła się nieswojo.

— Zostań, damy ci jeść — próbowała zatrzymać wychodzącą.

Kaziunia zawahała się.

— Ale zara? — zapytała, wpijając badawcze spojrzenie w oczy pani Stefanii.

— Tak, zaraz — odpowiedziała opiekunka, spokojnie wytrzymawszy wzrok małej, chociaż serce niewiadomej przyczyny skakało jej do gardła.

*) Dworzec kolejowy.

Kaziunia weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Usiadłszy na ławce, z niepokojem odprowadziła oczyma znikającą za przepierzeniem panią Stefanię. Przy stole zaroilo się od dzieci, na które niechętnie popatrzyła. Pachnąca owsianka i chleb, rozdawane przez Marcinową, ożywiły nastrój i wnet Kaziunia, zapominając o urazie, weselszymi oczkami spoglądała na otoczenie. Po tym, niewiadomo, — czy gorąca kolacja, czy zmęczenie towarzystwem tylu naraz dzieci, a może przyjemnie ciepło w pokoju sprawiły, że Kaziunia zasnęła w miejscu, na którym siedziała. Jak ptaszek wtuliła główkę w ramionka i spała. Dzieci, za przykładem pani Stefanii, po cichu wstały od stołu i na palcach odeszły, by przygotować sobie posłanie.

Sierociniec we Wrewnskoje, a raczej tymczasowy punkt zboru dla opuszczonych dzieci, przedstawiał się tak samo załośnie jak sieroty, które doń przyprowadzono z kołchozów, transportów i stacji. Po prostu była to duża szopa, przepierzona na dwie części, po środku której stał żelazny piecyk pokaźnych rozmiarów. Na tym to piecu, służącym zarazem do ogrzewania i gotowania, warzyła pani Marcinowa w przedziwnych naczyniach, które kiedyś musiały być kotłami, trochę gorącej stawy. Szopę ozdabiała podłoga drewniana, na której w braku łóżek spały dzieci. Kilka stołów i ław, stojących pod ścianami, stanowiło całe unieblowanie. Szopę oświecała wisząca, kopcząca lampa naftowa.

Dzieci przebywały tam w tych samych łachmanach, w których je przyjmowano, oczywiście po uprzednim przedezynfekowaniu w miejskiej „bani”.*) Dwadzieścia ich gnieździło się tymczasem pod opieką pani Stefanii, oczekując lada dzień wyjazdu do sierocińca w Aszhabadzie, który według nadchodzących pogłosek miał opływać wszelką obfitością.

Kaziunia oparta na stole spała tak smacznie, że pani Stefania postanowiła nie ruszać jej z miejsca, nakryła ją tylko kocem, a na wypadek zimna położyła obok niej drugi, zapasowy.

Świt dopiero obudził małą, która przetarłszy oczy, zaczęła się badawczo dookoła rozglądać.

— „Dietdom”**) — skonstatowała, patrząc na śpiące dzieci.

„Dietdom”. Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Prędko zwinęła jeden z koców w rulon, wsadziła go sobie pod pachę i cichutko zsunęła się z ławki, zdążając na palcach ku wyjściu.

— Kaziuniu, — zawołała cicho pani Stefania.

Mała stanęła jak wryta. Szybko odmierzyła oczyma odległość do drzwi. — Nie złapie mnie — pomyślała.

Dała susa, chwyciła za klamkę, szarpnęła, ale drzwi nie otworzyły się. Spróbowała jeszcze raz, lecz

*) Łaznia.

**) Sierocińiec.

bez rezultatu. Zamknięte były na klucz. Przywarła do nich.

Puść — warknęła, patrząc dziko na wychowawczynię.

— Puść zara, puść! — krzyżała, tupiąc nogami — zara puść!

— Dam ci Kaziuniu najpierw jeść, a później, jeśli ci z nami było źle, pójdziesz sobie gdzie chcesz.

— Nie chcę jeść, puść pani, puść! — skamlała.

Dzieci zbudzone hałasem, ziewając siadały na postaniu, nie bardzo rozumiejąc o co chodzi, patrzyły na Kaziunię, która dziko wodziła po wszystkich oczyma, coraz mocniej przyciskając się do drzwi.

— Jak zostaniesz z nami, dam ci dwa kocyki i będzie ci ciepło, będziesz miała co jeść i z kim się bawić — namawiała ją pani Stefania.

— Nie chcę — upierała się mała i rzuciła na ziemię trzymany pled.

— Puść, puść, ojej, puść! — zaczęła prosić jękliwie — otwórz, otwórz.

— Dobrze, zaraz cię wypuszczę. Jeśli nie chcesz dobrowolnie zostać z nami, siłą nie będziemy cię trzymać.

— Alinko, pójdziesz za nią, — szepnęła do starszej dziewczynki. — Jeśli ma rodzinę, to ją zostaw z nią, — a jeśli nie ma nikogo, to przyprowadź ją tutaj z powrotem. Zrób to umiejętnie, bo mała jest dzika.

— Po czym pani Stefania spokojnie podeszła do drzwi, wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła je.

Zimno, wpadające z dworu, na moment zatrzymało Kaziunię w progu, ale tylko na moment. Opatuliwszy się dokładniej szmatami, puściła się pędem, biegnąc ile sił starczy przez drogę pełną kałuż, śniegu i błota. Biegła długi czas nie oglądając się za siebie, aż wreszcie zmęczona przystanęła i rozejrzała się dookoła. Niedaleko widać było budynek stacyjny, nie namyślając się ruszyła więc w jego kierunku. Szła teraz wolno i ociężale. Głód zaczął jej dokuczać, było zimno, łapcie jej przemokły i dreszcze wstrząsały nią co chwila.

Stacja Wrewojskoje była małą stacją, na której dalekobieżne pociągi nie zatrzymywały się. O tej porze była pusta. Zawiedziona w swoich nadziejach Kaziunia siadła na ławce, stojącej przed dworcem i postanowiła czekać na jakiś pociąg. Nadeszła Ala i przysiadła się. Kaziunia obserwowała ją w milczeniu.

— Jedziesz? — zapytała wreszcie.

— Tak.

— A kiedy będzie kulej?

— Nie wiem, chyba nie prędko, bo stacja pusta.

Rozmowa się urwała. Kaziunia podkurczyła pod siebie zmoczone nogi, mocniej zawiązała chustkę pod brodą i próbowała drzemać. Zimno i głód nie pozwalały jednak jej zasnąć.

— Zimno, — powiedziała, jakby w przestrzeń.

— Bardzo. — Przytaknęła Ala, chuchając w zmarznięte ręce.

— Ni mas chleba?

— Nie mam,

— Jak psyjdzie esalon, to dadzom, — pocieszała się.

— Nie wiadomo, może dziś wcale nie będzie pociągu.

— Będzie, będzie, — ze strachem w głosie zawołała Kaziunia.

— Tu zimno czekać.

— Zimno — przytaknęła, trzęsąc się.

— To wróćmy.

— Nie! — krzyknęła — nie puńde w dietdom.

— Jaki dietdom?

— Oj, zeby kulej przysed, zeby przysed — lamentowała.

— Na pewno dziś nie przyjdzie, ja pójdę już z powrotem — oznajmiła Alinka, wstając z ławki.

— Cekaj, cekaj, będzie esalon, będzie.

— No a gdzie pojedziemy, jak będzie esalon?

— Tamuj, tam — pokazywała rączką przed siebie mała. — Nie idź, nie idź.

— Kiedy jestem głodna.

— Ojeja, ojeja, — skamlala czepiając się jej ręki Kaziunia — nie idź, nie idź!

— Jak nie chcesz zostać sama, to chodź ze mną.

Kaziunia wahała się.

— Będą bili.

— Gdzie?

— W dietdomie.

— Ależ nasz to nie dietdom, to polski sierociniec, z którego wyjedziemy do Aszhabadu, a z Aszhabadu do Indii.

— Ojeja, ojeja — jęczała mała.

— Ty byłaś w dietdomie?

— Tak.

— Tam biją?

— Biją. Nie pónde, nie pónde.

— U nas nie biją. Kaziuniu. Chodź, najesz się, ogrzejesz i zobaczysz. Jak ci się nie będzie podobało, to sobie pójdiesz. Tutaj zimno tak czekać.

Kaziunia powtarzała „nie pónde, nie pónde”, ale szła, trzymając się ręki Ali. Gdy otworzyły drzwi sierocińca, buchnęło z nich przyjemne ciepło i zapach jedzenia.

Kaziunia prędko podbiegła do pani Marcinowej ustawiającej na stole kubki i ciągnąc ją za spódnice krzyknęła:

— Jeść, pani, jeść!

— W imię Ojca i Syna — przezegnała się Marcinowa — a ty się skąd wzięłaś znów przy moich kielach?

— Jeść, — powtarzała w kółko Kaziunia — jeść.

— Zaraz dostaniesz, ale zdejmij najpierw mokre

łapcie i postaw je koło pieca. Masz tu tymczasem suche — odezwała się pani Stefania, podając jej nowe buty.

Nie wzięła ich, wahała się. Zimno było co prawda w mokrych łapciach, ale jak je zdejmie, to nie będzie mogła uciec z tego dietdomu. Lepiej niech będzie zimno — pomyślała.

Pani Stefania postawiła buty przy piecu i odeszła.

Buty są duże — szacowała wzrokiem Kaziunia — ale ładne, prawdziwe. Że duże to nic, można nogi owinać szmatami i już. Tylko czyż mogłaby w nich uciec? Czy nie przewróciłaby się? Muszą być ciężkie — rozmyślała. Urzekły ją te buty. Podeszła do pieca, siadła na podłodze i zaczęła zdejmować łapcie, zrobione z opopy gumowej, które były w strzępach. Troskliwie ustawiła je koło ognia, rozkładając przy nich mokre onuce. Nożyny jej przedstawiały widok bardzo żałosny. Pięty miała poobcierane do krwi, palce odmrożone, pokaleczone i opuchnięte.

— Bardzo cię nóżki bolą? — zapytała, podchodząc do niej współczująco pani Stefania.

— Oj bardzo, — jęknęła Kaziunia i jednocześnie złapała za buty, przyciskając je do siebie kureczowo.

— Ależ ja ci butów nie zabiorę — roześmiała się wychowawczyni. — Chcę zobaczyć tylko twoje nóżki.

— Tu boli — pokazała na ropiejącą ranę na paluszku Kaziunia.

— Zaraz ci pomożemy. Basiu, przynieś apteczkę — zarządziła pani Stefania.

Basia, jak fryga, zawinęła się po pokoju i przyniosła małą walizeczkę, oraz torbę ze znakiem Czerwonego Krzyża.

— Nie kee, nie kee — wołała przerażona Kaziunia, biegnąc z butami w rękę do drzwi.

— Czemu uciekasz? — powstrzymała ją Ala. — To nie strasznego, nie będzie bolało. Ja też miałam chore nóżki i pani mi je wyleczyła. Nie bój się.

Kaziunia nie wiedziała co robić. Nogi rzeczywiście bolały ją. Bała się jednak poddać zabiegom.

— Ale najpierw jeść — rzekła, aby się wyłgać.

— Dobrze — zgodziła się pani Stefania, — usiądź na ławce, bo się zaziębisz, stojąc boso.

Kaziunia posłusznie usiadła. Marcinowa postawiła przed nią kubek z gorącą owsianką i położyła sporą pajdę chleba.

— Niech ci będzie na zdrowie — powiedziała, znikając za przepierzeniem, by przyszykować śniadanie dla pozostałej gromadki, która tymczasem urozmaicała sobie oczekiwanie na posiłek w swoisty sposób.

— Wijo, wijo! — poganiał Zbyszka jego braciszek.

— Wijo, wijo! Bęc! — i Zbyszek przewrócił się jak długi. Leżał teraz na ziemi, wierzgając i rżąc jak konik.

— Wijo, wijo! — krzyczał Tadzik, ciągnąc go za sznurki.

— Wijo, wijo, — zawtórowała, zanosząc się od śmiechu Kaziunia. — Wijo, wijo, — podniecała ich do zabawy, waląc łyżką w stół.

— Smakowało? — zapytała pani Stefania podchodząc do niej.

— Tak, — nie odrywając oczu od bawiących się chłopców, odpowiedziała w roztargnieniu.

— To można opatrzeć nóżkę?

— Nie teraz — skrzywiła się.

— Im prędzej się nóżka zagoi, tym prędzej bawić się będziesz z dziećmi.

— W kunie?

— I w konie także.

— Gorąco — powiedziała mała kręcąc się na ławce.

— To zdejmij fufajkę — zaproponowała Ala.

— Nie! — tyle zaufania nie miała jeszcze do otoczenia, ale było jej bardzo gorąco. Po chwili namysłu zdjęła chustkę z głowy.

— Przenieś cię do drugiego pokoju, bo tutaj dzieci muszą jeść śniadanie — i pani Stefania bez oporu wzięła ją na ręce.

— Buty — krzyknęła nagle przerażona mała, wyrwując się z objęć, — buty!

Krystynka, akrobatka, z zabawną minką wyłowiła spod ławki cenny skarb i podała go właścicielce.

— Ojeja, ojeja — jęczała za chwilę Kaziunia, patrząc ze strachem na palce pani Stefanii, przygo-

towującej bandażu i watki z maścią — ojeja, ojeja.

— Czego jęczysz? — zaśmiała się Alinka, — przecież pani jeszcze cię nie dotknęła.

— Ojeja, ojeja — trzęsa się mała. — Nie kee! — wrzasnęła, gdy zobaczyła, że mają jej rozpocząć opatrunek. — Nie! — szarpnęła się, ale pani Stefania przytrzymała mocno nogę, obmyła ranki, przyłożyła maść i zabandażowała stopę.

— Bolało? — zapytała pacjentkę po skończonym zabiegu.

— Nie.

— No widzisz, a tak się bałaś. A teraz poleżysz sobie do obiadu i prześpisz się trochę. Alinko, zajmij się małą, ja tymczasem pójdę na dworzec i sprawdzę, czy będzie obiecany na jutro wagon.

— A właśnie, proszę pani — wtrąciła się Marciniowa, — warto by i o ten chleb na drogę pogadać żeby dzieciśka nie były głodne. Bo to obiecują, obiecują, a potem nic z tego nie ma. Niech lepiej tutaj dadzą chociaż 60 kilo, to starczy na całą drogę.

— Zeschnie się.

— Suchy nie suchy, ale zawsze to chleb i jak się jest głodnym, to zjeść go można.

— Proszę pani, a o której wyjazd? — zacięwała się Basia.

— O ósmej rano.

— Czy wszyscy jedziemy? — zapytała Krystynka.

— Wszyscy, poza panią Marciniową, która zostaje i będzie tutaj karmić nową gromadkę.

— A kiedy przyjadą nowe dzieci?

— W tych dniach, zaraz po nas.

— Oj będzie mi bez was, robaczki moje, smutno — zafrasowała się, wycierając końcem fartucha oczy, Marciniowa.

— I nam bez pani Marciniowej, i nam! — krzyżały dzieci, rzucając się na szyję uszczęśliwionej tym kobiecie.

— Alinka i Basia w czasie mojej nieobecności będą pilnowały porządku — zadysponowała wychodząc pani Stefania.

Kaziunia usłyszała trzask zamykanych drzwi. „Eszalon — kulej — foksal” kołowało w jej głowie. Może pojedą, a ją tu zostawia? Zerwała się przedko z posłania, złapała buty i ciągnąc za sobą pled, stanęła u progu pokoju. Na jej widok dzieci gruchnęły śmiechem.

— Co się stało? Dokąd idziesz? — spytała zdziwiona Ala.

— Na foksal.

— Alez jutro wszyscy pójdziemy na foksal.

Kaziunia patrzyła na Alę niedowierzająco.

— Słyszałaś przecież, — tłumaczyła Alinka, — pani tak mówiła.

Nie przekonało to jednak małej, która stała, nie wiedząc co robić. Dzieci przestały się nią interesować.

wać i wróciły do porzuconych rozmów, zabaw i zajęć.

— Wio, wio! — krzyczał teraz Zbyszek na Tadzika.

— Wijo, wijo! Do Aszhabadu! — i latali po po-
koju jak zwariowani.

— U...u...u... — naśladowując lokomotywę biegła,
bawiąc się sama i zderzając się co chwila z innymi
dziećmi, mała Marcelka, siostra Ali.

Kaziunia wróciła na swoje posłanie i usiadła za-
myślona. Twarzyczka jej posmutniała, zmęczonym
ruchem odgarnęła spadające na oczy włosy. — Na
foksal, och! na foksal — ciągnęła ją jakaś magne-
tyczna siła... na foksal.

Spróbowała nałożyć na bandażę but, ale syknęła
z bólu.

— Czemu to robisz? — zapytała, siadając przy niej
Alinka.

— Na foksal, na foksal, — z maniackim uporem
powtarzała Kaziunia. Na foksal ciągnęło ją, pędziło
ją, a nie miała sił.

— Ach, — westchnęła ciężko, jak dorosły człowiek
Alinka współczująco objęła ją za szyję, ale mała
wyszarpnęła się z jej ramion i rozplakała się.

— Cicho, cicho kochanie, — tuliła ją Ala — cicho,
cicho, uspokój się. Biedne malutkie serduszko, jak
to bije niespokojnie, Kaziunia słyszy? O, bum, bum,
bum, bum, — mówiła, kładąc rękę na piersiach
dziewczynki. Kaziunia powoli uspokajała się.

— Marcelciu, Marcelciu, chodź tutaj i przynieś
swoje kuleczki — zawołała Ala na siostrzyczkę.

U...u...u... — zadudniło i jak bomba wpadła Mar-
celka, udając wciąż lokomotywę.

Buch! — i padła raczej, niż siadła na posłanie.
Kaziunia cofnęła się nachmurzona.

— Odeńć, — burknęła, — odeńć.

Marcelka nie zrażona, trzęsła piąstkami przed oczy-
ma Kaziuni wykrzykując:

— Mam kulecki, mam kulecki.

— Odeńć, odeńć, — powtarzała coraz łagodniej
Kaziunia.

— Mam kulecki, mam kulecki, — przekrzywiając
główkę i marszcząc przy tym przezabawnie zadarty
nosek, wykrzykiwała Marcelka.

— Mam kulecki, mam kulecki. O! — zawołała.
Otworzyła piąstki i posypały się kolorowe kuleczki.

— Sariki*) — wyszeptła z zachwytem Kaziunia —
sariki. Hi, hi — zachichotała z jakiejś wewnętrznej
uciechy. Brała kolejno kuleczki w ręce, głaszcząc
je i oglądając w zachwycie. — Sariki, sariki.

Ani się spostrzegła, jak Marcelka wciągnęła
ją do zabawy. Ach, bo kuleczki stanowiły niewy-
czerpane źródło uciech: kolorowe, można je oglądać,
sprzedawać, kupować, toczą się zabawnie z hałasem
i bez.

— Bęc! — wykrzykiwała Marcelka, rzucając ku-
leczką w Kaziunię.

*) Szariki — szklane, okrągłe paciorki.

— Bęc! — odwzajemniała się Kaziunia, rzucając kolorowym „szarikiem” w Marcelkę. Marcelka nie umiała chwycić kuleczek, które uciekały nieraz na środek pokoju.

— Ha, ha, ha, — śmiała się Kaziunia, trzymając się obydwoma rączkami za brzusek — ha, ha, ha! Marcelka niezgrabia!

A Marcelka na czworakach gonila niesforne kuleczki, krzywiąc groźnie nosek. Czas mijał, zabawa trwała.

— Dzieci, obiad gotowy — oznajmiła pani Marciniowa. Ale one nie słyszały, pochłonięte zabawą.

— Jakże się Kaziunia miewa? — spytała małą pani Stefania, wróciwszy z miasta. — Jak nóżki, bola jeszcze?

Spojrzały na nią zachwycone, dziecinnie rozbawione oczy.

— Sariki, sariki, — radowała się Kaziunia pokazując kolorowe kuleczki, — sariki.

Ciepło spłynęło do serc kobiet, wypełniła je tkiwość. Poczuly nagle, że kochają to dziwne małe stworzenie, idące w obcy, nieznany świat samo, z bagażem swego imienia tylko.

— Sariki, sariki, — upajała się Kaziunia, — sariki sariki.

— Skąd znasz „szariki”? — spytała ją pani Stefania której zaświtała nagle myśl, że pewnie miała być rodziną na Uralu, gdzie więźniowie pracowali w fabrykach

rykach koralików, zwanych „szarikami”. — Skąd znasz szariki?

— Wuniek dawał — odpowiedziała z rozjaśnioną twarzą Kaziunia.

— Wuniek! — powtórzyła pani Stefania, nie bardzo rozumiejąc co to znaczy.

— Acha, — potwierdziła Kaziunia — wuniek doibly, bardzo doibly.

— „Wujek” — przyszło do głowy pani Stefanii — a gdzie jest twój wujek?

— Tam — pokazała przed siebie rączką Kaziunia.

— Nie wiesz jak się nazywa to miasto, posesiołek lub łagier?

— Tamuj, — odpowiedziała znów i twarzyczka jej posmutniała, — tamuj, — powtórzyła już jakby do siebie. — Tamuj — westchnęła.

— Biedactwo, — ze współczuciem szepnęła pani Stefania do Marciniowej. — Może z czasem będzie można natrafić na jakiś ślad jej rodziny, tymczasem zapiszę ją do ksiąg sierocińca tylko z imienia „Kaziunia”.

Marciniowej lzy zakręciły się w oczach, wyszła prędko z pokoju, by się nie rozplakać.

— Obiad gotowy — rzuciła na odchodnym.

Kaziunia poderwała się, by iść za nią.

— Nie, nie, — zatrzymała ją pani Stefania, — ty i Marcysia dostaniecie obiadek tutaj. Muszą się nóżki wyleczyć, bo jutro jedziemy.

— Na foksal, — ucieszyła się Kaziunia, — na foksal.

Zjadła grzecznie obiad; po obiedzie, tak jak ją proszono, spała. Przez resztę dnia była idealnie posłuszna. Z to w nocy co chwilę budziła to panią Stefanię, to Marcinową, to Alinkę, a wreszcie i małą Marcelkę, mówiąc, że czas na foksal, na kulej, na eszalon. Czekwała niecierpliwie ranka, śniadanie zjadła prędko i już stała przy drzwiach. Oczy miała rozszerzone i nienaturalnie lśniące. Och, żeby drzwi nie były zamknięte na klucz, dawno by już sama pobiegła na dworzec.

— Boże, co się z tym dzieckiem dzieje — myślała ze smutkiem pani Stefania.

— Mam kulecki, mam kulecki, — przyskoczyła Marcelka, trzęsąc piąstkami.

— Gupia — z pogardą burknęła Kaziunia, wykręcając się do niej tyłem, — gupia.

Gdy w końcu ruszono w drogę, biegnąc na dworzec wyprzedziła wszystkich. Gnał ją dziki strach, że „kulej” może odejść. Wpadła na peron zdyszana, podbiegła prędko do towarowego wagonu i stanęła przy nim. Dopiero wtedy odetchnęła z ulgą. Eszalon jest... kulej jest... to było najważniejsze. Będzie je chać. Dokąd? Po co? — takich pytań nie zadawała sobie. Tam gdzie przebywała dłużej na miejscu, z wyjątkiem dni, gdy jeszcze była z wujkiem i z babcią, było jej zawsze bardzo źle, bili ją, i była głodna. Jeżdżąc, żywiła się jakoś i była swobodna.

— Eszalon tu, eszalon tu, — krzyczała, widząc wsiadające dzieci do innego wagonu. Pobiegła do pani Stefanii. — Eszalon tam, eszalon tam, — wskazywała ciągnąc ją za rękaw.

— My jedziemy w wagonie osobowym, tam jest wygodniej, niż w towarowym — tłumaczyła jej Ala.

— Eszalon tam, eszalon tam, — upierała się Kaziunia, nie rozumiejąc dlaczego nie chcą jej słuchać. Eszalon, wagon towarowy, był jak na jej wymagania bardzo wygodny, wszyscy Polacy nim jeżdżą, ona przecież wie najlepiej.

— Pojedziesz tym wagonem, co i my — zdecydowała pani Stefania.

Kaziunia rozpaczliwie powiodła oczyma po eszalonie, wszystkie drzwi były pozamykane. Niechętnie dała się zaprowadzić Ali do wagonu.

Pociąg ruszył, na stacji została, ocierając łzy, Marcinowa. Dzieci z okien machały do niej na pożegnanie rękami, przesyłając całusy i serdeczne słowa.

— Proszę teraz siadać każde na swoim miejscu. — Zarządziła pani Stefania, gdy już minęli stację. — Kaziuniu, twoje miejsce będzie tutaj przy oknie.

Dzieci rozlokowały się. Kaziunia przycupnęła na ławce obok Marcelki.

— Kulej jedzie, kulej jedzie — cieszyła się pokazując małej sąsiadce znikające budynki.

Marcelka z przejęcia wysunęła koniec języka. — U... u... u... — wrzasnęła wreszcie, — u... u... u...

— Wijo kulej, wijo kulej, — popędzała pociąg Kaziunia.

— Wijo kolej, wijo kolej, — zawtórowali Tadzik i Zbyszek.

— Wijo, wijo, do Aszhabadu! — rozkrzyczały się dzieciaki.

Pani Stefania rada była każdej wesołości dziecięcej, tym bardziej, że była ona u nich nieczęstym zjawiskiem. Smutek i przygnębienie przeważały w ich życiu, łączy były stałym towarzyszem, a śmiech tylko rzadkim gościem. Nie sądzonym jednak jej było odbyć tę podróż w spokoju, bo gdy pociąg zatrzymał się na dużej, węzłowej stacji, a dzieciarnia rzuciła się do okien, — zanim ktokolwiek się spostrzegł, Kaziuni już nie było w wagonie. Zniknęła w niewiadomy sposób, nikt nie widział jej wysiadającej.

— Uciekła, jednak uciekła — smuciła się pani Stefania. — I co z nią będzie? Zginie z głodu, lub choroby. Mój Boże! — łączy napłynęły jej do oczu, robiła sobie wyrzuty, że może nie dość serdecznie opiekowała się małą. Przeszukała wagon i stację bez rezultatu. Może jeszcze wróci, — pocieszała się — może wróci. — I w tej nadziei stała w otwartych drzwiach wagonu, wypatrując dookoła zguby.

Nagle z daleka zobaczyła figurkę przeskakującą tory, serce zaczęło jej bić gwałtownie. Kaziunia z zaciętością pokonywała przeszkody, za duże buty utrudniały jej bieg. W jednym ręku niosła na-

czynie blaszane, z którego wychlapywała się woda, drugą ręką przytrzymywała bochen chleba.

— Na, — powiedziała, cała czerwona z wysiłku, stając przed nauczycielką. — Na, — i postawiła przed osłupiałą panią Stefanią naczynie.

— Co to?

— Kipiatok, — chytrze uśmiechnęła się Kaziunia, — na i toto, — dodała, podając chleb.

— Kto ci to dał?

— Wzianam — odpowiedziała.

— Skąd?

— Tam — pokazała na stację.

— U kogo?

— U baby — zachichotała.

— A baniak?

— Tes.

Nie było czasu na dalsze indagacje. Pani Stefania wsadziła dziewczynkę do wagonu i pociąg ruszył. Kaziunia z pośpiechem zajęła miejsce przy oknie, z zainteresowaniem wpatrując się w mijany budynek stacyjny.

— Foksal, foksal — mamrotała pod nosem.

Nagle zachichotała złośliwym, charkotliwym śmiechem, z lubością przeżywając raz jeszcze scenę oszukania staruchy, której ukradła baniak i chleb.

Dobrze się spisała — była zadowolona z siebie.

A przecież Kaziunia miała nie więcej niż pięć latek.

HISTORIE I HISTORYJKI

— Ależ drogi panie Michale, wy tu wszyscy macie uraz psychiczny na punkcie Sowietów. Jesteście chorzy na niefność, — tak, chorzy, bo inaczej nie można tego nazwać. Przeżyliście ciężkie chwile, to prawda, no ale kiedyś trzeba się z tego otrząsnąć. Tyle rzeczy już się zmieniło na korzyść: wypuścili was i wypuszczają z łagrów i więzień, tworzy się wojsko polskie na terenie Rosji, jest Ambasada Polska w Kujbyszewie. Nie mamy naprawdę powodu źle myśleć o ich terażniejszych intencjach co do nas. Pewnie, że niektóre sprawy przeciągają się — ale, mój Boże, na całym świecie są formalności, które trzeba przewyciężyć, a to zawsze zabiera trochę czasu, jednak trzeba mieć więcej wyrozumiałości. Z czasem stosunki uzdrowią się.

Tak perorował dopiero co przybyły z Londynu radca, dżentelmen w każdym calu. Dyplomata z kariery, radca specjalnie był przysłany do Rosji w celu ruszenia z miejsca spraw, które z niewiadomych przyczyn grzęzły niezalutowane, gdyż liczone na jego takt i wyrobienie. Był to pan błękitnooki długonogi, średniego wieku, pełen optymizmu i rozmachu.

Jako pierwszą i pilną pracę na terenie Z.S.S.R., powierzyła mu Ambasada sprawę uzyskania zgody władz sowieckich na uruchomienie dużego sierocińca w Aszchabadzie, nad granicą perską, oraz wynalezienie na ten cel odpowiedniego pomieszczenia. Znalazienie garaży dla samochodów, którymi ekspedycja Polskiego Czerwonego Krzyża miała przybyć z Indii, oraz składów na towary, które ta ekspedycja wiozła, wydawały się radcy drobnostką, którą nie warto było sobie zaprzętać głowy.

— Poprosi się i dadzą — mówił.

Ale stary łagiernik, bywalec Łubianki i Butyrki^{*)}, pan Michał kiwał z powątpiewaniem głową powtarzając:

— Zobaczmy, zobaczymy.

Pan radca, jak nakazywał protokół dyplomacyjny, zaraz po przyjeździe do Aszchabadu złożył czeladkowe wizyty wszystkim wysoko postawionym osobistościom Związkowej Republiki Turkmeńskiej, które przyjmowały go z otwartymi rękami, obiecując wszystko natychmiast załatwić.

— Ach, — rozpływał się radca — to czarujący ludzie, z którymi łatwo dojść do porozumienia, obiecali mi, że jutro pokażą mi trzy budynki do wyboru.

Ale jutro minęło, i pojutrze także, a o budynkach nie było nie słyhać. Za to przyszło zaproszenie na

^{*)} Łubianka i Butyrki — więzienia w Moskwie.

galowe przedstawienie do narodowej opery turkostańskiej, gdzie radcę posadzono w łoży na honorowym miejscu. Potem przez tydzień trwały bankiety wydawane na jego cześć.

Minęły dwa tygodnie, ba... minęły i trzy. I o pewnego ranka zjechała do Aszhabadu piętnastoma samochodami ekspedycja Polskiego Czerwonego Krzyża z Indii. Przywiozła ona trzydzieści ton cennego towaru, lekarstw, ubrań i żywności i miała w powrotnej drodze zabrać dzieci do Indii. Spodziewała się je zastać zgromadzone w aszhabadzkiej sierocińcu i przygotowane do drogi. Personel ekspedycji składał się z kierownika, pedagoga, lekarza oraz dwunastu szoferów hinduskich, dowodzonych przez Polaka, starszego mechanika, pana Dajka. Zjechali oni niespodzianie, nieoczekiwani jeszcze przez nikogo.

— Czemuż nie zatelegrafowaliście? — biedził się radca.

— Owszem, wysłaliśmy telegram z Bombaju, Querty i Meszhedu — odpowiedział niezadowolony z takiego przyjęcia kierownik ekspedycji.

— Myśmy ich nie dostali — zalił się radca, który nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że dla Z.S.S.R. telegram z zagranicy to dokument, z którym najpierw wiele urzędów musi się zapoznać, zanim doręczą go, lub nie, adresatowi. A przecież taka procedura wymaga czasu.

— Tymczasem rozgoście się w naszych pokojach, — proponował, — zatelefonuję do prezydenta sownarkomu,*¹⁾ wytłumaczę mu sytuację i pewien jestem, że zaraz znajdą się potrzebne pokoje dla was i pomieszczenie dla towarów.

Dyrektor hotelu skrzywił się, nie chcąc przyjąć nowoprzybyłych. Po długich namowach, osłodzonych paroma kilogramami cukru, zgodził się, aczkolwiek niechętnie, ulokować kierownika, pedagoga, lekarza i pana Dajka w małych, zajmowanych przez radcę i pana Michała pokojach.

— Jak w pudełku od sardynek, — narzekał doktor — tylko łebki nam uciąć i gotowe.

— Dziękuj Bogu, że masz gdzie spać — mówił profesor — mogłoby być gorzej.

— No niby nie widzę tych rozkoszy — krzywił się kierownik ekspedycji.

— I boję się, że pan ich tu nie zobaczy — śmiał się pan Michał.

Szoferzy Hindusi spać mieli w samochodach, które koczowały na ulicy, i na zmianę pilnować towarów.

Zaledwie trudności noclegowe zostały pokonane, gdy jak spod ziemi zjawił się milicjant z urzędowym nakazem, aby samochody ekspedycji natychmiast opuściły granice Z.S.S.R., gdyż jak oświadczył

*¹⁾ Przewodniczący rady komisarzy ludowych.

czenie brzmiało, w pozwoleniu na przyjazd samochodów, wystawionym przez konsula sowieckiego w Mieszbedzie — były braki formalne.

— To chyba pomyłka! — wykrzyknął radca i złapał za słuchawkę telefoniczną. — Sownarkom?

— Tak.

— Predsiedatiel?

— Nie ma.

— Wyjechał? A kto go zastępuje?

— Towariszcz Sznorkin.

— To proszę poprosić go do telefonu. Nie ma? Wyjechał? To proszę... — Rozmowę przerwano.

Radca poczuł, że ziemia rozstępuje mu się pod nogami. Usiadł.

— Dziś wieczorem wozy muszą opuścić Z.S.S.R. Tu jest nakaz. — Lakonicznym głosem wyrecytował urzędnik milicji i położył przed radcą papier z pieczętką, obrzuciwszy zebranych wzgardliwym spojrzeniem. Po jego wyjściu cisza zapanowała w pokoju.

— Cholera by ich wzięła — zaklął wreszcie kierownik ekspedycji.

— To późniejsza sprawa, — kpił profesor — trzeba coś wymyślić, żeby towarów, któreśmy z takim trudem przez całe Indie i Persję tu wieźli, nie wzięła cholera przed nimi.

— Co robić? — spytał bezradnie rozkładając ręce błękitnooki radca.

— Coś trzeba zrobić — przytaknął pan Michał. — Samochody jednak muszą dziś odjechać, to nie ulega wątpliwości, bo w przeciwnym razie sowieci zabiorą je i nie będzie czym zawieźć dzieci do Indii, kto wie, może im nawet o to chodzi. Towar więc trzeba tu natychmiast wyładować.

— Daję panu carte blanche — westchnął zrezygnowany radca.

Po dwóch godzinach wrócił pan Michał z dyrektorem hotelu „Kołchoźnego”, który znów za dobrą opłatę i cukier zgodził się, po długich targach, wynająć na dwa tygodnie szopę, stojącą w drugim podwórku hotelu. Szopa była stara z podziurawionym dachem, ale miała drzwi i zamki. Fiedka, odzwierny i stróż „Kołchoźnego” hotelu, aż podskoczył z radości, gdy mu niespodzianie wpadło parę rubli w łapę, za pilnowanie rudery, którą zapelniono towarami, pośpiesznie wyładowanym.

Samochody wieczorem wraz z panem Dajkiem i hinduskimi szoferami opuściły niegościnną ziemię i zatrzymały się w Badżigiranie, na granicy perskiej, do dalszej dyspozycji kierownika ekspedycji.

Ten zaś, przez kilka następnych dni, czynił bezskuteczne wysiłki starając się uzyskać pozwolenie na wyjazd do Kujbyszewa, dokąd chciał jechać, by porozumieć się z Ambasadą Polską.

— Chcecie, damy wam pozwolenie na wyjazd do Taszkentu, to ładne miasto — odpowiadały miarodajne władze sowieckie.

— Co robić, musieli jechać do Taszkentu w braku innych możliwości.

— Może stamtąd załatwiecie sobie łatwiej przejazd do Kujbyszewa, stamtąd też można mieć telefoniczne połączenie z ambasadą — pocieszał zmartwionych uczestników ekspedycji radca.

Gdy wreszcie zdecydowali się na wyjazd, radca odetchnął. Niedługo jednak sądzonym mu było cieszyć się spokojem, bo nazajutrz stróż hotelowy Fiedka wręczył mu z przyjaznym uśmiechem telegram z wiadomością, która radcę wprawiła w nieładą zakłopotanie. Z braku pomieszczenia w okolicznych sierocińcach, delegat ambasady w Taszkencie skierował partię stu pięćdziesięciu dzieci z opiekunami do Aszhabadu, licząc że sprawa budynku jest załatwiona. Dzieci były już w drodze.

— Panie Michale, przecież wysłaliśmy telegram do ambasady z zawiadomieniem, że nie mamy jeszcze lokalu?

— Owszem, wysłaliśmy, ale przecież i oni pomieszczeń dla dzieci nie mają, a może też liczą, że gdy dzieci będą już tu na miejscu, władze sowieckie staną się wtedy ustępliwsze? A z resztą zawsze to bliżej granicy — rozumował pan Michał, patrząc z tęsknym uśmiechem przez okno na pasmo gór Elbrusu, oddzielające Z.S.S.R. od Persji.

Radca, który był silnie zdenerwowany, poczuł nagle przenikliwy ból w sercu, zbladł.

— Co się panu stało? — spytał niespokojnie Michał.

Radca próbował coś odpowiedzieć, ale poczuł się dusić i upadł na łóżko. Pan Michał zmierzył puls — tętno wariowało.

Nie łatwo było znaleźć i nakłonić do przybycia do cudzoziemca doktora sowieckiego, każdy z nich wymawiał się pracą, która jakoby nie pozwalała mu oddalać się z miejsca. Dopiero na skutek interwencji N.K.W.D. przysłano lekarza, największą sławę miejscową, który sumiennie zbadał chorego. Stan radcy okazał się groźny. Angina pectoris — brzmiało orzeczenie doktora. Papaverina - nitroglicerina i kwas nikotynowy były jedynymi środkami, które chorego mogły uratować. Niestety tych lekarstw nie było nie tylko w Aszhabadzie, ale nawet i w Taszkencie, z którym się pan Michał telefonicznie porozumiał. Mimo usilnych starań doktora, który potrafił choremu zapewnić stałą opiekę wykwalifikowanej siostry, mimo zastrzyków kamfory i poduszki z tlenem, stan chorego wydawał się beznadziejny.

Łut szczęścia, którym przy urodzeniu obdarzyła radcę dobre wróżki, zaważył teraz na szali i zjawił się ratunek w osobie pana Fajgelbauma, aptekarza z zawodu, obywatela polskiego wywiezionego w 39 roku ze Lwowa. Pan Fajgelbaum zjawił się z potrzebnymi lekarstwami tak po prostu, jak gdyby rzecz ta była dawno ustalona.

Przypadek zrządził, że w Aszchabadzie grał wtedy żydowski teatr literacki z Polski. A pan Fajgelbaum kochał teatr. Poszedł więc i tam właśnie w czasie antraktu usłyszał od znajomych, między innymi wiadomościami, o chorobie radcy i braku potrzebnych lekarstw, papeveriny–nitrogliceriny i kwasu nikotynowego. Przypomnił sobie wtedy pan Fajgelbaum, że on je ma, bo gdy owego pamiętnego dnia kazali mu się zabierać z domu na Akademickiej, wziął do walizki co cenniejsze lekarstwa, — ani butów, ani marynarki, nie, tylko lekarstwa. Teraz walizka była już prawie próżna, zostało w niej jeszcze parę specyfików, o których nie myślał nawet że się przydadzą. Aż tu zdarzył się traf, że właśnie on miał to, czego potrzebował ten umierający człowiek.

W następny piątek, tuż przed wzejściem pierwszej gwiazdy, pan Fajgelbaum stał patrząc na siedmioramienny świecznik, i gładził długą brodę, i było mu ciepło na sercu, bo dowiedział się, że uratował życie człowieka. Potem mocniejszym niż zwykle głosem zaintonował pieśń szabasową.

Natomiast pan Michał w oczekiwaniu zapowiedzianego telegraficznie przyjazdu dzieci, kręcił się jak w ukropie, biegając od łóżka chorego radcy do wszystkich władz sowieckich w nadziei, że wreszcie uzyska od nich jakieś pomieszczenie, nadające się na sierociniec. Ale wszystko co zdołał w tym względzie uzyskać, to obietnice, że jak nadejdą „ukaza-

nja” z centrali w Kujbyszewie, sprawa będzie natychmiast załatwiona.

Telegrafował więc do Ambasady Polskiej w Kujbyszewie i błagał telefonicznie delegata w Taszkencie, by transport wstrzymano, jednak bezskutecznie. Zarządzenia zostały wydane, dzieci były w drodze, przyrzeczono jedynie, że wszczęte zostaną starania, by wagony z dziećmi przetrzymano dzień lub dwa na dworcu w Taszkencie.

Wydawało się Michałowi, że głowa mu pęka, krew pulsowała w skroniach, a myśli krążyły uparcie koło zagadnienia, jak znaleźć pomieszczenie na sierociniec i gdzie rozlokować te biedne dzieciśka? Z pedantyczną lubością, przed pójściem spać, układał teraz swoje rzeczy na krzeselku. Ład, nawet w tak nieporządkowanym, chaotycznym kraju, sprawiał mu wielką przyjemność. Starał się więc ustawić zniszczone buty jeden przy drugim równiutko, a polatane spodnie prawidłowo ułożyć na kant. Ale gdy kładł się do łóżka, sen ulatywał, a męczące myśli znów kołatały się po głowie. W taką to bezsenność przyszedł mu zbawienny pomysł — sierociniec urządzi się w hotelu.

Rankiem, po zetknięciu się z rzeczywistością, pomysł nocny wydawał się nie do urzeczywistnienia. Dyrektor hotelu na samą wzmiankę o takiej ewentualności, skoczył jak oparzony i zaczął biegać po pokoju krzycząc... że N.K.W.D., że co sobie myślą,

że dość tego, że i tak zrobił głupstwo oddając szope
a teraz jeszcze żądają pomieszczenia dla stu dzieci.

— Nie, nie żądają — protestował niezrażony wybuchem dyrektora pan Michał. — Nie żądają, ale proszą o ułatwienie im przetrzymania dzieci do czasu, aż przyjdzie przychylna decyzja władz Z.S.S.R. Władze te dały zezwolenie na wyjazd dzieci z Rosji, to na pewno dadzą i na zajęcie lokalu, w którym zbiorą się dzieci do drogi. Zresztą chodzi tu przecież tylko o kilka pokoi, najwyżej o sześć dużych. Niewątpliwie władze moskiewskie pocztywać będą dyrektorowi za zasługę pomoc w wybrnięciu z tej nieprzyjemnej sytuacji.

Dyrektor był łasy na pochwały naczałstwa sowieckiego i ani się spostrzegł, jak tyknął przynętę. Potargowano się jeszcze, ustalono cenę, dokładając kilogramową paczkę wonnej herbaty, i pokoje od dnia następnego stały do dyspozycji pana Michała. Widocznie i miejscowy urząd N.K.W.D. w obawie że odpowiedzialność za los dzieci może go w końcu obciążyć, zgodził się na takie rozwiązanie, bo dyrektor był w dobrym humorze i sam pilnował przygotowań. O meblach jak łóżka, stoły, szafki, nie można było nawet marzyć — w hotelu było kilka takich sprzętów, ale dyrektor za nic nie chciał się zgodzić na ich oddanie, a w Rosji były to rzeczy prawie nie do nabycia.

— Trudno — rozumował Michał — pościele się koce i dzieci będą spać na ziemi. Ale w czym gotować

wać i z czego je karmić? Sto kubków, misek i łyżek to nie byle problem.

Stary stróż hotelowy, Fiedka, pomógł rozwiązać te trudności: gdy mu pan Michał zrobił nadzieję, że zona jego gotować będzie dla dzieci i za to będą dostawać z Fiedką jeść i trochę rubli, — podrapał się w głowę, dumął, dumął, aż przypomniał sobie o pewnej jadłodajni, której kierownikiem był jego znajomy. — „Stołowaja” z powodu wojny była nieczynna, muszą mieć więc zbędne naczynia, — kombinował Fiedka. Przyprował wystraszonego kierownika jadłodajni, który kłaniając się i przytakując, zgodził się na wypożyczenie naczyń, garnków i łyżek, dołączając prośbę, by jego mały synek dostawał w sierocińcu jeść.

Pan Michał zgodził się z radością i sprawa została ubita. Fiedkowa zona, Aspazja, wykrzyczała od dyrektora nieczynną kuchnię hotelową i składzik. Dosłownie wykrzyczała, wygrazając przy tym pięściami, aż biedak dla świętego spokoju zgodził się i oddał wrzaskliwej kobiecie żadaną kuchnię, wraz ze składzikiem.

Pan Michał tymczasem nie przestawał łechtać próżności dyrektora, który w marzeniach widział już siebie w Moskwie. Stał tam, a towarzyszył — „wysokij, kakoj to naczałnik” — wskazywał na niego zebrany jako na przykład godny naśladowania. Ściskali mu ręce wszyscy dygnitarze i widział, jak wręczano mu order i nominację. Ba — ale na jakie

stanowisko ta nominacja? Nie mógł jeszcze sobie tego sformułować, co by mu najbardziej odpowiadało, zawsze tliła się iskierka możliwości zsyłki na Sybir za nieprzewinione winy, a im wyższe stanowisko, tym to ryzyko było większe. Chyba, że ofiarują mu posadę w N.K.W.D., ale nawet i tam nie można być pewnym ani dnia, ani godziny.

Z takimi borykał się myślami, wybity ze zwykłego trybu zajęć, kierownik hotelu „Kołchoźnego”.

Pan Michał zaś borykał się jeszcze z kierownictwem łaźni — „bani”, która musiała wykąpać ponad sto dzieci i przedzyniefektować ich ubrania. I na to znów trzeba było specjalnego pozwolenia N.K.W.D. Wreszcie przygotowania na przyjazd dzieci zostały szczęśliwie zakończone.

* * *

— Dzieci przyjadą do Aszhabadu w czwartek w nocy o godzinie 12-ej, — telegrafowano z placówki polskiej w Kaganie.

Noc, ulubiona pora władców Z.S.S.R., była nie bardzo odpowiednią porą dla dzieci, które powinny spać w tych godzinach, ale władcom nie chodziło o dzieci, natomiast zależało im na tym, aby w biały dzień ich obywatele nie ujrzeli tego tragicznego pochodu nędzy i wyczerpania.

— Czwartek, to znaczy jutro — z trudem przeliczał dzień na czas radca.

— Tak, to jutro.

— Zmęczony pan? — spytał radca, patrząc na podsiniałe oczy i zapadłą twarz pana Michała.

— Trochę, ale dziś się może wyśpię, bo wszystko jest już przygotowane.

— A autobusy?

— Także, z dworca do łaźni, a z łaźni dzieci będą musiały iść pieszo.

— Dlaczego?

— Dyrektor garażu nie chciał się za nie zgodzić, aby autobusy czekały w nocy pod łaźnią, a i tak zdarł z nas skórę — no ale trudno.

— Ile autobusów pan zamówił?

— Trzy.

— Żeby tylko się dzieci nie poprzeciębiały.

— Poślę pledy do łaźni, poowijają się w nie i przypilnuję, by nie wychodziły rozgrzane.

— Wymęczą się biedactwa. No, ale dzięki Bogu, że i tak pan najważniejsze sprawy załatwił, dzielny chłop z pana, ja bym tak wybrnąć z tych trudności nie umiał.

Michał uśmiechnął się.

— Praktyka, panie radco, praktyka. W tym beznadziejnym kraju, jeśli się chce żyć, nie można tracić nadziei. Nie uda się tak, to trzeba szukać innej drogi — sto z nich zawiedzie, sto pierwsza się uda, oczywiście z czasem, przy tym systemie, nerwy

nie wytrzymują, a siły uchodzą z człowieka jak powietrze z balonika.

— A wtedy co?

— Cóż, wtedy śmierć.

— O Boże, Boże — szepnął radca, zakrywając sobie ręką twarz.

— Tak, w tym kraju i życie nie jest radością i śmierć przestaje być straszna. Ale niech pan o niczym teraz nie myśli, ja załatwię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy. Doktor mówił, że jest duża poprawa w pańskim zdrowiu, więc musi się pan teraz oszczędzać i prędko wyzdrowieć.

— Zimno mi się robi na myśl, że mogę tu umrzeć.

— Proszę być dobrej myśli, to nieprzyjemna choroba, ale nie beznadziejna — pocieszał pan Michał, nie wierząc w to co mówi. Stan radcy był jeszcze bardzo poważny i każdy nowy atak mógł spowodować katastrofę.

Po wyjściu przyjaciela, radca się rozczulił. — Poczciwy ten Michał, — pomyślał, — a i ten Fajgelbaum też poczciwy, przyszedł dowiedzieć się o jego zdrowie i przyniósł mu gdzieś zdobytą polską książkę. Postrzępiona jej okładka pachniała stęchlizną. — Anhelli — Juliusz Słowacki.

Anhelli — czy to nie dziwny zbieg okoliczności? — Zastanowił się radca, że właśnie tę książkę znalazł Fajgelbaum.

* * *

I rzekł Szaman.

— „Oto już nie będziemy cudów okazywać, ani mocy Bożej, która w nas jest, ale płakać będziemy, bo zasłaliśmy do ludzi, którzy nie widzą słońca.

Ani nauk im dawać należy, bo ich więcej nauczyło nieszczęście — ani nadziei im dawać będziemy, bo nie uwierzą. W dekreście, co je potępił, napisano było — „na wieki...”

Oto są kopalnie Sybiru.

Stąpaj tu ostrożnie, bo ta ziemia brukowana jest ludźmi śpiącymi. Słyszysz? Oto oddychają głośno, a niektórzy z nich jęczą i gadają przez sen.

Jeden o matce swojej, drugi o siostrach i braciach, a trzeci o domie swoim i o tej, którą miłował sercem, i o łanach, gdzie mu się zboże kłaniało, jak panu swemu — i szczęśliwi są teraz przez sen... lecz się obudzą.

W innych kopalniach wyją zbrodniarze, lecz ta jest tylko grobem synów ojczyzny i pełna cichości.

Łańcuch, co tu szczeka, smutny ma głos, a w sklepieniu są różne echa — i jedno echo, które mówi: — Bote — wyrwało się westchnienie.

Gdy się litował Szaman, weszli strażnicy i żołnierze z lampami budzić śpiące do pracy.

Powstali więc wszyscy z ziemi i rozbudzili się i szli, jak owce, ze spuszczonej głowami, oprócz jednego, który nie wstał, bo był umarł we śnie.”

I przyszedli nad jezioro podziemne, i postępowali brzegami ciemnej wody, która się nie ruszała, a która była gdzieś niedaleko od światła kagańców.

I rzekł Szaman: „Jestże to morze Genezaretanskie Polaków? A ci ludzie są rybakami nieszczęścia?”

Jeden więc z tych, którzy siedzieli smutni nad brzegami czarnej wody, z twarzą zadumaną, odpowiedział: „Pozwalają nam odpoczywać, albowiem dziś są imieniny królewskie i dzień wytechnienia. Więc usiadamy tu, nad ciemną wodą, думаć i rozmyślać i odpoczywać; bo serca nasze są strudzone gorzej, niż ciała.”

„A nie będziemy Cię już błagać, abys powrócił słońce oczom naszym, i powietrze piersiom naszym; bo wiemy, że Twój sąd nad nami jest zapadły. lecz nowonarodzeni niewinnymi są. Zlituj się Boże.”

* * *

— Boże, Boże, — wyrwało się westchnienie z pierś Michała, a do oczu napłynęły łzy.

Wysypała się oto z wagonów w tę noc aszchabadzką gromadka małych nędzarzy, pozbawiona wszystkiego — włącznie z sercem rodzicielskim, które zastygło gdzieś pod śniegiem. Zamknęły oczy gwiazdy, a księżyc przysłonił się chmurą, pogłębiając ciemność. Kołysała się tylko na wietrze stacyjna lampka

zrucając raz cień, a raz światło, na umęczone, wymiżerowane twarze dzieci.

— Do puchowych łóżek, a nie na twardą podłogę, trzeba by położyć te umęczone ciała — z goryczą myślał pan Michał.

Tragiczna gromada wyciągnęła się w długi pochód. Parami — parami szło nieszczęście z chorobą, głód z wieszakami, — do autobusów, ledwo wlokąc nogami, nie rozpoznając zaspanymi oczami stopni; waliły się na ziemię, na bruk, na kolana — parami.

— Hallo, hallo, pan nie widzi, przecież to wózek z dzieckiem, trzeba uważać, nie trącać, dziecko płacze — strofował dzentelmena policjant, gdzieś w szczęśliwym kraju.

— I am very sorry, — tłumaczył się dzentelmen — very sorry.

Hallo, hallo, czyż nie widzicie, że w tych autobusach jadą najnieszczęśliwsze na świecie dzieci, dzieci więźniowie, dzieci wykolejeńcy, dzieci sieroty, dzieci starcy.

— Hallo, zlitujcie się nad nimi, nie dajcie im ginąć.

— Very sorry, robimy co możemy — mówili dzentelmeni ze szczęśliwych krajów.

W dezynfektorze trzaskały i ginęły wszy. W łaźni dzieci ślaniały się na niepewnych nożynach, kaszłając i oddychając z trudem.

Nawet najkrótsza droga dłuży się w nieskończoność, gdy się jest tak śmiertelnie zmęczonym jak

my, — mówiły smutne oczy utrudzonych wędrowców, gdy po kąpieli wlekli się powoli ulicą. Pled chrząniący przed zimnem, ciężył kamieniem na obrywających się pod nim ramionkach. Nierówny bruk utrudniał pochód tułacznych dzieci, a słabe nogi potykały się o każdą przeszkodę. Chude, wybiedzzone bezdomne psy konwojowały łachmaniarski orszak.

Za dużo... za dużo było tego na jedną niemiłą człowieka.

— O Jezu, Jezu! — jęczał pan Michał w swojej bezsile, gdy pochód ten szedł mijając ulicę za ulicą. Wreszcie doszły. Runęły na twardą hotelową podłogę i zasnęły snem twardym, bez marzeń.

* * *

Józek duży, zaraz po wyjściu z wagonu, zrejtrował.

— Nabrali psiakrew, — myślał — nabrali. To żadne Indy, tylko Rosja. — Utwierdzali go w jego domysłach kręcący się niespokojnie po stacji enkawudziści.

— Ciupasem nas odstawiają do łagra dla bezprawnych. Nie ma głupich — myślał i sadził jak mógł najprędzej przez tory, aż dopadł do pociągu, mającego wyruszyć w powrotną stronę. Mocno trzymając w ręku skradziony nauczycielce zegarek i pieniądze.

— Na początek — obliczał — wystarczy i na wodę i na jedzenie. Potem jakoś sobie poradzę.

Już postawił nogę na stopniach wagonu, gdy żelazna wprawna ręka chwyciła go za kołnierz.

— Ty kuda? — usłyszał ostry głos, i ciarki przebiegły po nim. Ten którego się najwięcej bał, od którego chciał uciec, opiekun bezdomnych dzieci „milicjoner” mocno trzymał go w garści, potrząsając nim jak pustym workiem.

— Co to? — wyrwał mu zegarek i pieniądze.

Józek milczał.

— Ech ty swolocz — syknął stróż bezpieczeństwa i zamierzył się na malca, ale ręka jego nie spadła, bo pan Michał zatrzymał ją.

— Proszę puścić chłopca, on jest z naszego transportu. — Milicjant w najwyższym zdumieniu spojrział na niego.

— To złodziej! Ukradł komuś zegarek i pieniądze.

— Skąd to wzięłeś? — spytał Józka Michał.

Chłopak, czując, że grozi mu sowieckie więzienie, płaczącym głosem wyjąkał prawdę.

— Wzięłem naszej nauczycielce.

— Pieniądze i zegarek należą do nauczycielki, która przyjechała z dziećmi — tłumaczył milicjantowi pan Michał. — Jeśli będą potrzebne jakieś wyjaśnienia, proszę zgłosić się do hotelu „Kółchożnego”.

Milicjant kłął w duchu interweneję, która zmioła mu sprzed nosa złoty zegarek, wołał jednak nie sprzeciwiać się cudzoziemcowi, który był tak pewny siebie. — A nuż to jakaś wielka szyszka, — rozumo-

wał, — bezpieczniej go zostawić w spokoju.

— Później porozmawiam z tobą — oznajmił Józko — wi pan Michał, odprowadzając go do łaźni.

— Owa, dużo się boję — skrzywił się chłopak wyzywająco. Spojrzał na Michała i na znak lekceważenia strzyknął przez zaciśnięte zęby śliną. Swoich się nie bał.

— Ile masz lat?

— To nie pana interes, ja się pana także o to nie pytam.

Pan Michał, mimowoli uśmiechnął się. Ta bezczelna, a zarazem dowcipna odpowiedź żywo przytomniała mu gazeciarzy warszawskich.

— Żebyś mi tu nie zrobił żadnego kawału — powiedział, oddając go w ręce nauczycielek.

Posłusznie, jak kazali, Józek umył się w łaźni i maszerował razem z dziećmi do sierocińca.

Wszyscy już spali, tylko on przewracał się z bok na bok, — coś wybijało go ze snu, czegoś brakowało. Ale czego? — nie mógł sobie na razie tego uświadomić.

— Wódki — wyrwało się nagle z dna jakiegoś zakamarka jego istoty. — Wódki! — Słowo to sprezykowało nieprzyjemny stan chłopca. Wódki... wódki... bał się wyjść, a czuł że nie zaśnie już teraz, gdy świadomość smakiem wypełniła mu usta. — Przemęcę się jakoś do rana, ale rano spod ziemi, a wydostanę choć kieliszek, choć pół — postanowił

i zaczął obmyślać sposoby, jakimi mógłby zdobyć pożądany trunek.

Ranek otworzył smutne oczy dzieci. Ze strachem rozglądały się one dookoła niepewne tego, co je na nowym miejscu spotkać może.

Aspazja wniosła z Fiedką kocioł, rozszedł się zapach kakao. Nauczycielki zaczęły rozdawać dzieciom kubki ze smakowitym napojem i chleb; łakomie oblizywała się Aspazja, a Fiedka, przymykając oczy wciągał w siebie woń bijącą z kotła. Niecierpliwie czekały dzieci na swoją kolejkę, a gdy kubek się wypełniał, zezując weń szły przejęte, niepewnym krokiem ku swemu posłaniu. Fiedka, który na końcu otrzymał swoją porcję, kroczył powoli i ostrożnie, nie chcąc uronić ani kropelki, do swojej stancji, mieszczącej się przy wejściu hotelu, by tam w spokoju spożyć tak niezwykle specjał.

Hotel „Kolchoźny” nie był wielkim budynkiem, ale miał cztery plusy, które według rozumowań pana Michała przemawiały za tym, by zatrzymać go cały na sierociniec. Pierwszy — że był ogrodzony

dość wysokim murem, więc dawał możność izolowania dzieci od zewnętrznego świata i niepotrzebnych ciekawości N.K.W.D.; drugi — że wewnątrz ogródka był ogródek, w którym dzieci mogły się bawić; trzeci — że w drugim podwórku stała szopka, w której złożono towary, oraz kuchnia i pralnia, więc można było łatwo pilnować całości gospodarstwa. Wreszcie plus czwarty — że budynek był parterowy i liczył dziewiętnaście pokoi, połączonych wspólną werandą, poza tym posiadał dużą oddzielną salę, którą można by było w razie potrzeby przeznaczyć na szpitalik.

Niestety, z Michałowych przewidywań najszybciej urzeczywistniło się ostatnie — szpital.

— Musimy położyć chore dzieci do łóżek i odseparować je od reszty — nalegała energicznie lekarzka, która przyjechała z transportem.

Próby pomieszczenia chorych w miejskich szpitalach, które były przepelnione, zawiodły. I w końcu dyrektor hotelu, nastraszony przez pana Michała możliwością wybuchu epidemii i przeniesienia jej na innych gości hotelowych, odstąpił ową oddzielną salę, w której dotychczas mieścił się „krasny ugołok”,*) na izbę chorych. Stan zdrowia dzieci był katastrofalny; poza ogólnym wyczerpaniem, prawie każde z nich miało gorączkę, a wiele cierpiało

*) „Czerwony kącik” — klubowy lokal propagandowo-oświatowy.

na szkorbut, koklusz, a nawet kilkoro rozchorowało się na tyfus plamisty.

— Nie ma co panie Michale, dzieci są tak zawszone, że przed tyfusem możemy je uchronić tylko przez ostrzyżenie włosów do gołej skóry, jedynie wtedy będzie można utrzymać należytą czystość i zabezpieczyć sierociniec przed zarazą — nalegała lekarzka.

Dopieroż to był płacz! Starsze dziewczęta rozpaczały, idąc jak na ścięcie pod nożyce i maszynkę fryzjerską. Spadały na ziemię pukle jasnych i ciemnych włosów, które natychmiast palono, a gołogłowe panienki z ciężkim sercem chowały się po kątach.

Dzieci trzeba było przebrać w czyste odzienie z łachmanów w jakich przyjechały. Rozpruto wory z darami amerykańskimi. Wysypała się garderoba, ofiarowana przez ludzi o dobrych sercach.

Przykro by się zrobiło może poczciwej Miss Hooper, gdyby zobaczyła swoją balową, drogą, koronkową suknię, ozdobioną złotym brokatem, którą z pewnym nawet żalem oddała, bowiem była ona dla niej pamiątką szczęśliwego wieczoru, na którym poznała Johna; przykro by jej było, gdyby zobaczyła, jak bardzo nie pasowała ta toaleta do wymiarów twarzy kobiet, łaknących ciepłych, skromnych, codziennych ubiorów. Dużo niestety było w nadesłanych darach sukien z lam, koronek i żorzet, a nie było ciepłych majtek i koszul, bratki i kożuchów i solidnego obuwia. Brakowało pa-

letek, szalików, czapek, rękawiczek, gum do podwiązek, chustek do nosa. Połowa z przywiezionych rzeczy okazała się bezużyteczna. A szkoda, tyle dobrej woli ludzkiej poszło na marne.

— Heniu, wciągnij brzuszek, bo spodeńki nie chcą wejść — prosiła pani Anna, nakładając z trudem porcięta na wydęty brzuszek malca. Chłopczyzna starał się jak mógł zadośćuczynić jej życzeniu, ale brzuszek chorobliwie napeężniały, sterczał dalej niczym balon, przymocowany do ziemi cienkimi jak nitki nóżkami.

— Nie ma rady, — zawyrokowała Anna — trzeba temu bobasowi dać spodeńki, przeznaczone dla pięciolatek.

— To w co ubierzemy ośmiolatki? — spytała pani Stefa.

— W ubranka dla dwunastolatek.

— A dwunastolatki?

— E, nudzisz Stefeiu.

Heniusz miał trzy lata. Zabawnie więc wyglądał w spodeńkach na pięciolatek. Co prawda pasował one w obwodzie, ale śmiesznie sterczały z szerokich nogawek, które tworzyły coś w rodzaju spódniczki. Nogi jego — piszczele, pokryte tylko skórą. Zapadnięte piersi, obciśnięte swetrem, chudziutka szyja, na której chwiała się ogolona głowina i rączki jak wy-

kałaczką, składały się na żalony obraz polskiego dziecka w Rosji. Ciało i skóra na głowie były usiane ranami skorbutowymi, lub po ukąszeniach insektów.

— To nie dzieci, to ruiny — mówiła, załamując ręce lekarka.

Panie, przeznaczone na opiekunki, zastanawiały się nad tym, czy w ogóle będzie można kiedyś te dzieci doprowadzić do zupełnego zdrowia, i dochodziły do wniosku, że tylko bardzo dobre warunki egzystencji potrafią tego dokonać.

— Mam wrażenie, że pobyt w Rosji odbije się ujemnie na ich psychice i potworzy różne kompleksy. Strach i nieufność nie łatwo dadzą się z nich wykorzenić, — twierdziła jedna z nich.

— Nauka będzie też utrudniona, bo na skutek chorób i wygłodzenia mózgi dzieci są przytępione — niepokoiła się inna.

— Na pewno po przyjeździe do Indii umieszczą nas najpierw w dobrym sanatorium i dopiero po doprowadzeniu do jakiegoś ludzkiego stanu, rozpocznie się normalna praca.

— Tego by należało oczekiwać, bo ostatecznie, po co zabierać stąd dzieciaki, jeśli nie z myślą, żeby im rzeczywiście przyjść z pomocą.

— Na razie — zakończył dyskusję pan Michał — my w tych skromnych ramach, jakie posiadamy, musimy zrobić tu na miejscu wszystko, by i fizycznie

i moralnie wzmocnić je. Proszę, aby trzy panie zajęły się wychowaniem i opieką nad dziećmi, jedna zaś obejmie dział sanitarny, a jedna żywnościowy. W ten sposób, myślę, damy sobie radę aż do przyjazdu nowej grupy, z którą ma przybyć jeszcze pięć pań i ksiądz.

— A kiedy ona przyjedzie? — zainteresowały się panie.

— Za dwa tygodnie.

— A co z pomieszczeniem?

— Na razie nie ma żadnego, trzeba się starać — zakończył zebranie pan Michał.

— Trzeba się starać — łatwo to powiedzieć, ale gdzie? U kogo? Władze sowieckie zwlekały z decyzją w tej sprawie, tłumacząc się brakiem instrukcji z centrali, a setka nowych dzieci musiała przecie być gdzieś pomieszczona. Kierownicy ekspedycji ciągle jeszcze czekali w Taszkencie, nie mogąc dostać przepustek do Kujbyszewa.

Panu Michałowi puchła znów głowa od trosk i niepokoju i wciąż uparcie wracał do koncepcji rządzenia sierocińca w hotelu „Kołchożnym”. Ale jak tu podejść z taką propozycją do dyrektora?

Nauczycielki tymczasem starały się zdobyć zaufanie swoich małych pupilów, — ale nie łatwo przychodziło. Wreszcie pierwsze lody zostały przekłamały. Rozchmurzyły się troszkę twarze i poweselały oczka, z wystraszonych zwierzątek zaczęły przeradzać

się oni powoli znowuż w dzieci. Najbardziej uspokoiło je to, że sowieckie władze nie zaglądały do sierocińca.

— Bo tu, to Polska, prawda proszę pani? — pytała rezolutna Krysia.

— Jaka Polska, jak pełno mochów*) mieszka i klną po ichniemu — oponował Józek duży.

— No tak, ale do naszych pokoi nie wchodzi — broniła Krysie Mila.

— Fi, to ci Polska w pokojach — skrzywił się Józek.

— A mamusia mówiła, że Polska jest wszędzie tam, gdzie są Polacy.

— I miała rację — przytaknęła pani Anna. — Polska, to nie tylko ziemia, wody, drzewa, trawy, kwiaty, ludzie tam w Polsce, ale i to, co jest w nas; wszędzie, gdzie jesteśmy, to, co dla Niej czujemy, i to, że nigdy nie zapominamy o Niej. — Nasza mowa — nasze pieśni — nasze tańce — nasza muzyka — literatura — nasze tradycje.

— A co to proszę pani tradycje? — zapytała Mila.

— Tradycje — to to, co przekazali naszym dziadom — pradziadowie, ojcom naszym dziadowie, a nam — nasi ojcowie, to to, co od wieków przekazuje nam kościół. Na przykład tradycja kościelna, to obchodzenie świąt — narodzin i męki Pańskiej.

*) Moskal (pogardliwie).

— To choinka na Boże Narodzenie — z zabawkami... — westchnęła Władka.

— To szopka ze świeczkami — uśmiechnął się Romek.

— To groby na Wielkanoc — spoważniał Artur.

— To balanek z chiołagiewką — zachwyciła się Zosia.

— Tak, to chrzciny wasze i waszego rodzeństwa to wesela, to pogrzeby.

— I dzień zaduszny — powiedział Bobiś.

— Tak.

— I ślizgawka — zawołał Karolek.

— Nie, ślizgawka nie, — zaśmiała się pani Anna — ale są i tradycyjne zabawy, dożynki, karnawał. Tłumaczyła im, starając się nie zużyć dzieci.

Otoczyły ją gromadką, siadając na ziemi, jedno koło drugiego.

— Są i tradycje narodowe — mówiła dalej.

— Trzeci maj — krzyknął Heniek.

— Powstanie listopadowe — popisał się Tadzik.

— Tak, to nasze tradycje w walce, nie tylko terytorium, ale o wolność myśli i słowa.

— Co to terytorium? — zapytała Basia.

— Terytorium — to ziemia, woda, lasy, łąki, pola — próbowała tłumaczyć pani Anna.

— I bociek na drzewie — dorzuciła dotąd milcząca Kaziunia.

— Bociek na drzewie, to strażnik na granicy — wtrącił Wincuk.

— To tak, jak pan porucznik Łomejko, co wdrapywał się na gromadną wieżyczkę i patrzył z niej na granicę przez pudełko ze szkiełkiem. Sam widziałem! Bociek w gnieździe też tak wypatruje na wszystkie strony i stoi na jednej nodze.

— A dlaczego na jednej nodze? — zapytała Zosia.

— Bo go druga boli — zaśmiał się Bobiś.

— Obtarł sobie, ma cyngę*) — dorzucił Józek duży, a dzieci wybuchnęły śmiechem.

— A może sobie teraz coś zaśpiewamy — zaproponowała Anna, rada z wesołości dzieci.

Zrobiła się cisza.

— No, — zachęcała — na pewno mamusia, albo babcia uczyły was, a może w szkole słyszałyście jakieś piosenki?

Po chwili Krysia nieśmiało szepnęła do ucha nauczycielce:

— Ja umiem coś, ale się boję, bo to jest: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

— Czemu się boisz? zaśpiewaj!

— Nie, nie, tego nie wolno — z trwogą zawołała Krysia.

— Ależ dlaczego? śpiewaj! — namawiała Anna.

*) Po rosyjsku skorbut.

— Nie, nie, proszę pani, na pewno nie wolno na pewno. U nas na posiołku, jak kiedyś jeden chłopców to zaśpiewał, to go dyżurny tak zbił, że go zabrali potem do szpitala, a rodziców aresztowali bo powiedzieli: kontrrewolucjoniści. Antos nie wrócił już ze szpitala, jedni mówili, że umarł tam, a drudzy, że odesłali go do obozu dla „bezprzorycznych”.*)

Groza wspomnień zawisała znów nad dziećmi i twarze ich spochmurniały.

— To było tam, ale tutaj nie śmie już nikt wkurzyć — próbowała je uspokoić Anna. — Teraz możecie się śmiać i radować, tamto już minęło. Nie długo pojedziecie do Indii i zapomnicie o wszystkich doświadczeniach smutnego tutaj przeżyły.

— Zapomnieć, ach mój Boże! — rozplakała się Terenia. — Ja nigdy nie zapomnę. Śni mi się ciągle po nocach mamusia, widzę ją, jak pada w śniegu w przejściu z jednego łagra do drugiego i jak ją szarpia psy, te straszne, dzikie psy N.K.W.D. Szarpia ją, a ona nie może wstać. Chciałam wtedy z bratem podbiec do mamy, nie puścili nas, tylko bili i gnali naprzód, a mama została tam sama w śniegu, dogryziona przez psy — mówiła płacząc Terenia.

*) Dzieci — włóczęgi.

Z rozpaczą w sercu patrzyli na tych małych męczenników dorosli. Nie tylko Terenia przeżyła ten koszmar. Każde z tych dzieci nosiło w sobie jakąś tragedię. Jak znaleźć drogę do ich serc, które są tak porażone, że lada słowo trąca o jakieś bolesne wspomnienie? Czy pocieszać te dzieci, czy lepiej niech przetrwają dawny ból w sobie, a ochronić je tylko przed nowymi przykrościami i pilnować, by nowe troski nie pogłębiły skaz na ich zboliałych duszach?

Znacznym polepszeniem doli na tym etapie drogi, jakim był Aszchabad, było to, że potrafią tak teoretyczne problemy rozważać w oderwaniu od trosk o chleb i dach na dni najbliższe. Zapasy przywiezione przez ekspedycję zapełniły spiżarnię, a sprawą pomieszczenia zajmował się pan Michał, który z całą bezwzględnością natarł na dyrektora hotelu, by odstąpił mu nowych osiem pokoi dla dzieci, które miały niebawem przybyć.

— Hotel świeci pustkami i na pewno ma pan deficyt, — mówił — jeśli odstąpi mi pan tych osiem pokoi, zapłacę z góry i przekonany jestem, że wtedy pańscy przełożeni tylko pana pochwalą za dobrą gospodarke.

Dyrektor, któremu trudno było pokonać strach, ciągle się w nim budzący, a raczej nigdy nie uspiony, wahał się długo. Potworne uczucie lęku przed wszystkimi i wszystkim wypełniało połowę jego życia, drugą stanowiła troska o chleb codzien-

ny dla rodziny, którą kochał nad życie. Obawa jego przed powzięciem decyzji zwalczał pan Michał argumentem, że władze N.K.W.D. dotychczas towarzyszą pobyt sierot w hotelu, więc nie ma dobrej racji, aby miały zmienić swoje nastawienie na przyszłość. Gdy uderzył w końcu w czułe struny sentymentu dyrektora, ofiarowując kilka tabliczek czekolady dla jego dzieci, otrzymał zadane osiem pokoi.

— Najpierw rozmieszczę dzieci, które przyjadą w tych pokojach, a potem zdobędziemy cały budynek — cieszył się pan Michał.

— Chce pan powtórzyć historię konia trojańskiego — śmiał się radca, który czuł się z dnia na dzień lepiej.

Następnej nocy przyjechała nowa partia dzieci. Przeszły one, jak było w programie, przez łaźnię oględziny lekarskie i postrzyżyny.

Powoli, powoli udawało się opiekunom rozruszać rozspiewać i rozbawić dzieciaki. Anna wyprowadzała je, jak kwoka na podwórko, do tak zwanego ogródka, gdzie wśród gier i zabaw dzieci z dnia na dzień rozkwitały.

— Jak kwiaty, jak kwiaty, — cieszył się pan Michał.

— W oczach się rozwijają, nabierają życia — rozrzewniały się nauczycielki.

— Odjadły się trochę i nerwowo wypoczęły — przytakiwał ksiądz z uśmiechem.

Aspazja Iwanowna nie kucharzyła teraz, a zmywała naczynia i sprzątała w sierocińcu. Gotowaniem zajęła się jedna z pań, a dzieci ustawiały się na podwórku w kolejce z miseczkami, same odbierając swoje porcje, co było dla nich o wiele zabawniejsze. Pani Jadwiga z powagą rozdzielała jadło, znając dobrze wagę, potrzebną aby napełnić żołądki dzieci. A dzieciaki miały wilczy apetyt.

— Dobrze jedzą — mówiła pani Jadwiga.

— Utyły — radował się pan Michał.



RODZINA CZYNCZYKÓW

— Jak dajom to bies i schowaj u Genki pod poduszką — szeplecił przez brakujące dwa przednie zęby sześciolatek Józek, głowa rodziny Czynczyków składającej się z czterech osób.

— Jak dajom, to bies — powtórzył, podciągając w górę opadające spodnie.

— Kiedy ja już wzienam — odpowiedziała Zosia piwnooka fryga.

— To nicz, jesse raz weź.

— A gdzie schować? — spytał czteroletni chuderlawy Maniek.

— Jus mówiłem, u Genki pod poduszką.

— Kiedy Genka nie da, zara płace.

— Genka — zwrócił się ostro szef rodziny, do małego krasnoludka, ledwie odrastającego od ziemi. — Dlaczego nie das schować kleba pod poduszkę?

Mały krasnoludek, ubrany w czerwony paltocek i białe kapturek z czubem, milczał, ssąc koniec wstążki na zmianę z własnym palcem.

— Dlaczego nie das? — napierał brat.

Krasnoludek popatrzył na niego dziwnym wzro-

kiem, wygiął bródkę w podkówkę do płaczu, skrzywił się i przestępując z nózki na nóżkę, krzyknął przerażony.

Siii.... siii — już kręty zygzaczek zaczął wypływać spod nówek krasnoludka.

— Nie scyń Genka pod siebie, nie scyń Genka — wołała Zosia, ciągnąc krasnoludka za rękę do ubikacji, a krasnoludek po drodze zrobił już resztę w majteczki i płacząc wydierał się siostrze.

— Cicho bądź, bo pani usłyszysz! — krzyknął Józek, podbiegając do Geni. — I co? — zapytał Zosię.

— Nic, — lakonicznie odpowiedziała — zesała się.

— Zdejmij jej majtki, to wysusę.

Rozejrzeli się, czy nie ma kogoś na korytarzu — był pusty. Maniek na wszelki wypadek ustawił się tak, by zasłonić siostrę, Zosia ściągnęła prędko z Geni mokre majteczki i podała je starszemu bratu, który skrzywił się i schował je do kieszeni, spojrzawszy przy tym wymownie na krasnoludka.

— Genka niech idzie do szwojej szali, a ty i Maniek po kleb — zadysponował, po czym wyszedł.

Szedł na zakazane drugie podwórko, zachowując wszelkie ostrożności, by nie być przez kogoś zauważonym. Gdy minął bramę z napisem „Dzieciom wstęp wzbroniony”, puścił się pędem za rozwaloną szopę, stojącą pomiędzy składem i parkanem, gdzie była skrzynia chroniąca jego skarb — worek

z sucharami. Worek ten nie był wszakże workiem a po prostu sukienką Geni, powiazaną sznurkami. Józek z lubością obejrzał wypchany tłumok, uśmiechając się na myśl, że dziś jeszcze przybędzie no wy, po czym narzuciwszy nań różne rupiecie, odszedł na bok i okiem znawcy sprawdził, czy schowek jest dostatecznie dobry. Zadowolony z wyniku oględzin wyjął z kieszeni mokre majteczki Genki i rozwiesił je na skrzyni. Gdy skończył tę czynność, obciągnął na siebie sweter w poprzeczne pasy, nacisnął głębiej na głowę pepita cyklistówkę i wsadziwszy ręce do kieszeni wiecznie opadających spodenek, powolnym krokiem ruszył w drogę powrotną.

Nikt by nie uwierzył, widząc tak manewrującego Józka, że zaledwie kilka miesięcy temu wśród strasznej zamieci, przyniósł na plecach do sierocińca w Kazachstanie na pół zmarzłą Genkę, prowadząc czepiających się go i ledwo włączających nogami Zoskę i Mańka. Cały dzień szli, zapadając się co chwila w głęboki śnieg, marznąc i moknąc, z wysiłkiem wydostając się z głębokich zasp. Śnieg oblepiał im rzęsy, aż trudno było otworzyć oczy. Myślał, że już nigdy nie dojdą, że umrą chyba po drodze. Genka z głodu gryzła własne palce do krwi i to było dla niego najstraszniejsze.

— Uzbieram tyle sucharów, żeby starczyło na zawsze — myślał wracając z zakazanej strefy Józek, który był nie tylko głową rodziny Czynczyków, ale i jej bożyszczem. Rodzeństwo bowiem kochało go i czekało

ogromnie, chcąc instynktownie wynagrodzić mu miłością to, że wziął na swoje sześćioletnie barki cały ciężar trosk codziennego dnia, zostawiając im w udziale wesołość i bez troskę.

— Uzbieram dużo, dużo sucharów, — myślał — żeby Genka miała zawsze co jeść, nie tylko teraz, ale i potem, potem. Musi mieć tyle chleba, żeby się raz wyzbyć tego lęku o jutro, to jutro, które straszło go nocami przez swoją niepewność, rzucając mu przed oczy wizje głodowej śmierci jego całej rodziny.

Straszne to było we śnie, a troską męczyło na jawie.

Gdy wrócił do budynku, na korytarzu podbiegła do niego uszczęśliwiona Zosia.

— Mam, — krzyknęła pokazując bratu chleb — mam.

— Dobrze — pochwalił ją.

— A ja nie mam, mnie pani nie dała — smucił się Maniek.

— Dlaczego?

— Bo Franek Bacyk, świnia, powiedział do pani, że widział, jak jus ras branem kleb i pani się guiewała.

— Bacyk to świnia — podtrzymała braciszka Zosia — on zawsze skarży.

— To nic, weście tera wysstek was stary kleb i schowajcie u Genki pod poduszkę, późni go wymnę

stamtąd — powiedział Józek i rozeszli się, rodzzeństwo do swojej sali, a on na podwórze sierocińca.

Genka, posłuszny krasnoludek, siedziała u siebie na łóżku (opiekunka zezwoliła na ten przywilej z powodu przeziębionego pęcherzyka) i z wielkim zainteresowaniem oglądała palce u nóg, jak gdyby dopiero teraz odkryła, że je posiada. Dotykała kójno każdego z nich, dziwiąc się że nie są równe. Największą uwagę dziewczynki skupiał na sobie duży palec u prawej nogi, który kiwał się jakos głupio, gdy Genia poruszała nóżkami i wystawał zabawnie.

— Może nie wliże do buta — przestraszyła się — i Józek będzie się gniewał?

Wzięła prędko bucik i wciągnęła go na nogę — wszedł! — roześmiała się radośnie i zaczęła dla odmiany ssać koniec prześcieradła. Pomna jednak, że tego robić nie wolno, rozejrzała się po sali, chociaż wiedziała, że nikogo tam nie ma o tej porze, bo wszystkie dzieci zebrały się na podwórku, na lekcję śpiewu i godzinę zabaw.

Żeby nie to, że Józek kazał jej iść do sali i czekać, i ona by chętnie pobawiła się w „lata ptaszek” na podwórku. Lubiła tę zabawę, zwłaszcza gdy jej wypadło być ptaszkiem. Stała wówczas w środek pokoju, a dzieci, trzymając się za ręce, chodziły wokół niej.

Gdy tak Genia rozmyślała, Zosia i Maniek weszli do sali, niosąc schowany pod ubrankiem chleb. Zło-

zyli go na łóżku siostry, po czym Maniek skierował się w stronę drzwi.

— Będę pilnował na korytarzu, jak gwizdnę — to znaczy, że ktoś idzie. Zośka, ulóż chleb, a ty Genka nie płac.

Genia skrzywiła się nie bardzo zadowolona, że taką ilość chleba, który potem będzie ją gniótl w głowę, mają schować u niej pod dość cienką poduszką. No, ale Józek kazał, więc trudno, tak musi być.

Maniek wyszedł na korytarz, a Zosia zabrała się do układania zapasów. Była to czarująca istotka, która nie umiała ustać w miejscu by nie pokręcić to nóżką, to rączką, to główką — istne żywe srebro. Jeśli można było nazwać Józka prozą rodziny Czyńczyków — to Zosia była jej poezją. On dbał o sprawy materialne, ona zaspakajała duchowe. Nieraz w zimne, pochmurne, głodne dni, Zosine „bajki” dawały zapomnienie i wtedy zimno nie było tak zimne, a głód nie był tak dokuczliwy.

Skąd umiała tak bając, trudno było dociec. Od Mamy może? Ale przecież Mama opowiadała im to samo, a nie umieli tego powtórzyć, ona zaś umiała.

Zosia wiedziała kiedy i czym można rozchmurzyć rodzeństwo, więc i teraz, widząc zmartwioną minkę siostrzyczki, zaśpiewała ochoczo „Jesce Polska nie zginęła”. Lubiła, bardzo lubiła tę pieśń. Nie przeszkadzało jej to, że przy słowach „z ziemi wońskiej do pońskiej” starsi poprawiali ją stale, kazać śpie-

wać „z ziemi Włoskiej do Polskiej” i przytupywała sobie nóżką, robiąc groźną minę i ruch cięcia szabli, gdy dochodziła do słów „mocą odbierzemy”.

Genia, zapomniawszy o chlebie i niewygodnym posłaniu, uśmiechnęła się i wyciągając rączki do siostrzyczki zawołała — pocałuj. — Zosia chwyciła krasnoludka za szyję i całowała po policzkach, nosku, oczkach, czółku i bródce, łaskocząc przy tym małą, która piszczała z uciechy.

— Jus? — zapytał wchodzący Maniek.

— Jus — zawołała Zosia i szybko zaczęła ubierać krasnoludka, po czym cała trójka ruszyła na podwórko, aby przyłączyć się do bawiących się tam dzieci.

— Jawor, jawor, jaworowi ludzie, co wy tu robicie?

— Budujemy mosty dla pana starosty, tysiąc koni przepuszczamy, a jednego zatrzymamy.

— Pierwsze przepustne, drugie kapustne, trzecie darowane, a czwarte za łeb złapane.

Bramka z rąk zamknęła się i biedny Maniek wpadł w potrzask. Musiał odejść na stronę lewą, gdzie stali przytrzymani, by potem wykupić się, czy to opowiedzeniem bajki, czy piosenką, czy też innym solowym popisem. Genia przyłączyła się do kółeczka malutkich dzieci i śpiewała z zapalem swoje ulubione „Lata ptasek po ulicy — zbiera sobie ziarno pszenicy — a ja sobie stoję w kole — i wybieram

kogo wolę”. Zosia podbiegła tam, gdzie bawiono się w „kotka i myszkę”. Zaróżowione twarze dzieci i błyszczące oczy świadczyły, że zabawa jest dobra.

— Odejdź smarkata — odtrąciła ją uciekająca przed kotem myszka — Mila.

— Odejdź, bo przewrócą cię i będziesz płakać — ostrzegala Krysia.

— Idź do małych dzieci, tu nie dla ciebie zabawa.

W „kotka i myszkę” bawiły się ośmio lub dziesięcioletnie panny i kawalerowie, nie lubiący zadawać się ze „smarkaterią”.

Zosia pokazała im ze złości język i przyłączyła się jako wagonik do biegającej Marcelki.

— Uu — u! — krzyczały teraz obie — uu — u! i pędziły co tchu pomiędzy dziećmi.

— Wijo, wijo — poganiała Kaziunia Piotrusia — wijo, wijo!

Józek Czynczyk nie brał udziału w tych zabawach, zajmował go inny problem. Zastanawiał się w jaki sposób zdobyć dużą miskę, z której smakowicie coś zjadał siedzący w kącie Fiedka. Żeby mieć taką dużą miskę, — marzył — wtedy rodzina chodziłaby po kolei z nią po obiad, a pani na pewno nie zauważyłaby podstępu i nalewałaby im większą porcję zupy, którą by się można najeść do syta, oszczędzając na chlebie. W ten sposób dałoby się odłożyć dużo sucharów.

Fiedka zjadł, otarł rękawem usta i powolnym krokiem wyszedł z podwórza. Za nim wymknął się Józek. Weszli w pusty korytarz.

— Daj mi miskę dam ci kleb — przystąpił odrazu do interesu szef rodziny Czynczyków.

Fiedka przystanął, spojrzął na Józka nawet nie zaskoczony zbyt tą dziwną propozycją.

Udaje czy mówi prawdę, — zastanawiał się tylko — skąd by miał zapas chleba? Dziwić się nie miał czemu, bo tego rodzaju transakcje w jego okolicy były sprawą codzienną. A że mały? Widział już jak tacy mali zatrzymywali pociągi, terroryzowali starszych, kradli, nawet mordowali. Takim to już był jego świat.

— Daj miskę, dam dwie ćwiartki kleba — przerwał mu tok rozmyślań Józek.

— Mało — skrzywił się Fiedka.

— Ale miska stara.

— Stara nie stara, a dwie ćwiartki za mało — powiedział stróż i ruszył w stronę swojej stacji.

— Dam trzy.

— Mało.

— Ale miska stara!

— Dasz cztery — miska twoja, nie dasz, nie dam miski — targował się chytrze Fiedka, przyspieszając kroku.

— Czekaj — krzyknął zrozpaczony Józek — czekaj — dam cztery, daj miskę.

— Przynieś chleb do stacji — zgodził się stróż.

— Cztery ćwiartki chleba — rozmyślał, czekając u siebie na chłopca Fiedka — to kilo. Kilo na rynku kosztuje trzydzieści rubli, a miska dziurawa i nie już nie warta.

Józek z ciężkim sercem wyjął chleb spod swojego posłania. Chleb oszczędzony przez dwa dni. — Ale będzie za to miska — pocieszał się, licząc że powetuje sobie stratę.

Z podwórza dobiegał śpiew:

Nie damy ziemi skąd nasz ród,

Nie damy pogrześć mowy,

Polski my naród....

Echem odbijały się słowa po korytarzu, przez który szedł niosąc od ust odjęty sobie chleb, unęziony przedstawiciel tegoż narodu, mały Józek. Podał go stróżowi, ten odważył chleb w rękę, a przekonawszy się że waga dobra, oddał miskę, z którą chłopiec pognął do siebie.

Na podwórzu skończono właśnie lekcje śpiewu i starszyzna sierocińca — dzieci w wieku od dwunastu do czternastu lat, rozchodziła się, gwarząc.

— Panna Sabinka dzisiaj coś nie przy głosie.

— No, pan Bobiś także — odcieła się Sabinka.

— Nawet kiksował — śmiała się Terenia.

— Panie są złośliwe — wtrącił wytworny, najstarszy wiekiem, bo aż piętnastoletni Tadeusz.

— Oj — krzyknęła Basia — bucik mi się rozwiązał.

— Zaraz zawiążę — zaofiarował się z galanterią Heniek.

— Nie, dziękuję, to nie wypada.

— Oni nas ciągle traktują jak dzieci — irytował się Tadeusz.

— A pan Tadeusz to już taki dorosły, że tylko patrzeć, a wąsy mu wyrosną — kpiła Ala.

— A pani to wielka sroka jeszcze — zgniewał się Tadeusz i odszedł od towarzystwa.

Pora obiadowa, wyczekiwana przez Józka Czyżczyka nareszcie nadeszła. Ustawił się wśród zebranych przy kuchni dzieci, kurczowo trzymając nabytą miskę pod płaszczykiem, by ją ukryć przed wzrokiem ciekawych kolegów. Właśnie Maniek, stojący przed nim dostał już swoją porcję, teraz przyszła kolej na niego, podszedł i z drżeniem serca podał miskę. Widział jak pani nalala w nią zupy do pełna, już wyciągnął po nią ręce, gdy wtem miska zaczęła ciec.

— Co to za stara, obrzydliwa miska — zapytała oblana ciekącą zupą pani Jadwiga. — Gdzie masz swoją?

Ziemia rozstała się pod Józkiem, wszystkie bowiem jego nadzieje zostały w tej jednej chwili przekreślone. Nie słyszał już co do niego mówiono, myślał tylko o tym, że przecież u stróża miska nie

ciekła, czemu nagle tutaj zaczęła ciec? Westchnął zrozpaczony. Wszystko stracone, bez tej miski nie odłoży, jak marzył, chleba na „potem”.

— Gdzie masz swoją miseczkę? — powtórzyła pytanie pani.

— Ni mam, — odpowiedział zdruzgotany — ukradli.

— Masz dzisiaj w tej — powiedziała pani Jadwiga, dolewając do pełna zupy w ciekącą miskę — jutro dostaniesz nową. Uważaj, nie pochlap się.

Józek porwał miskę i popędził do sali, gdzie oczekiwało na niego rodzeństwo z nietkniętym jedzeniem.

— Jedzcie prędko z dużej miszki, bo cieknie — zakomenderował i cztery łyżki na wyścigi zaczęły opróżniać uszkodzone naczynie. Gdy już dotarto do dna, Józek pod światło oglądał miskę, zalepił dziury chlebem, przelał do niej zupę innych i podając krasnoludkowi pustą jego miseczkę rozkazał:

— Genka, idź jesce po zupę. Krasnoludek zamrugał długimi rzesami i wybiegł z pokoju.

— Genusia nie dostała jeszcze zupki? — zdziwiła się pani Jadwiga, która nadzorowała przy wydawaniu obiadów.

— Nie — pisnął krasnoludek.

— Nie? To niemożliwe, małe dzieci przecież dostają pierwsze.

— Nie — powtórzyła Genia i buzia jej wygięła się w podkówkę.

— No to daj miseczkę, zaraz ci naleję.

— Oszukują nas dzieciaki, oszukują — pomyślała pani Jadwiga, a mały krasnoludek, chwyciwszy pełną miskę, poczłapał do rodzeństwa.

Poobiednia godzina ciszy nie była lubiana przez dzieci, zmuszone leżeć spokojnie. Nie mogąc zasnąć, Józek Czyńczyk obliczał sobie w tym czasie straty i zyski dnia dzisiejszego. Niestety strat było więcej. Cały gmach tak wspaniale obmyślony runął. Po drugi raz pani już nie należy zupy w tę cieknącą miskę, postanowił więc pójść do Fiedki, odebrać mu chleb i zwrócić kaleką miskę.

Gdy utrapiona pora ciszy minęła, Józek zapomniawszy o wszelkich ostrożnościach, jak strząść pomknął do stróża.

— Oddaj chleb, bo miska cieknie — krzyknął, gdy tylko dopadł Fiedkę na podwórzu.

— Oddaj chleb!

— Odejdź szczeniaku — burknął, popatrzywszy na chłopca stróż, splunął i ruszył na drugie, zakazane dla dzieci podwórko.

Józek stał oszołomiony. I miska na nie i chleba nie oddał.

Nagły krzyk zelektryzował go, nastawił ucha, — to bez wątpienia krzyczała Genka.

— Może znaleźli u niej chleb? — pomyślał i pędził na ratunek.

Wpadł do sali zadyszany i czerwony, rzucił okiem i zmartwiał. Pani wyjmowała spod poduszki krzyżującą w niebogłosy Genki, z takim trudem uzbierane jego zapasy.

— To mój chleb — wrzasnął i rzucił się w stronę łóżka — to mój chleb, mój, mój! — wołał i wydierał go z rąk osłupiałej tym zajściem pani Stefanii.

Genka zobaczywszy Józka natychmiast uspokoiła się, spełniła swoją funkcję dzwonka alarmowego, reszta należała już teraz do brata. Przybiegła i Zośka, czujna na płacz siostry.

— Skąd się tutaj wziął chleb? — zapytała pani Stefania.

— Zośka schowała — wysepleniał osmielony obecnością rodziny krasnoludek. Winowajczyni zaczerwieniła się jak piwonia.

— Po co chowacie tyle chleba?

— Na suchary — poważnie oznajmił Józek.

— Po cóż ci suchary, kiedy dostajesz pod dostatkiem świeżego chleba.

— Mogom nie dać i Genka będzie głodna — odpowiedział z troską w głosie Czyńczyk,

które zakręciły się w oczach pani Stefanii. Józek z powagą zbierał rozrzucony chleb, troska malowała się na jego twarzy, troska ojca rodziny o przyszłość najbliższych.

— Czy masz worek na suchary?

Zawahał się. Miał już przygotowany worek zrobiony z sukienki Zosi, ale bał się do tego przyznać.

— Ni mam — odpowiedział na wszelki wypadek.

— To ja ci dam swój stary, w którym kiedyś chowałam lepioszki. Jest jeszcze w dobrym stanie — zaproponowała pani Stefania i wyjęła ze swojej walizki czysto wyprany, obszerny, płócienny worek.

Józek obejrzał dokładnie podarunek, po czym zaczął składać w nim chleb. Krasnoludek zadowolony, że Józek odebrał ich własność, klaskał w ręce, mamrocząc niewiadome słowa.

— Czy masz gdzie worek schować? — zapytała pani Stefania, gdy Józek skończył już swoją czynność.

— Nee, — niepewnie zabrzmiała odpowiedź. Wyczuła, że kłamie.

— Jeśli nie masz, to ci go schowam tutaj w szafie, bo w sali nie pozwolą tego trzymać.

Nie wiedział co zrobić. Czy wydać skrytkę, w której złożył suchary i różne potrzebne przedmioty „na potem”? Mogło być to rzeczą niebezpieczną, bo a nuż zabiorą? A kto wie co to za posiołek w Indiach i gdzie to jest, może tam tak zimno, jak na Syberii i kto zaręczy, że im później coś dadzą? Czy raczej oddać ten worek, bo jeśli przypadnie, to tylko ten jeden, a reszta ocaleje? Tak rozważywszy sprawę, oddał worek pani Stefanii.

— Jutro pokroimy chleb i wysuszymy go na słońcu, żeby ci nie spleśniał, a tymczasem schowaj go tutaj, zamknę go na klucz i nikt ci tego nie ruszy — zdecydowała pani otwierając szafę. — Proszę jednak, żebyście od dzisiejszego dnia zjadali wszystek swój chleb, który dostajecie. Musicie być silni, bo czeka was długa podróż przez góry i pustynie.

Józek przypomniał sobie coś nagle.

— Zośka! — zawołał na siostrę — chodź tu i pokaz pani buta.

Siostra posłusznie wykonała polecenie.

— Buty za małe — tłumaczył nie rozumiejącej o co chodzi pani — buty za małe.

— Za małe? — zdziwiła się pani Stefania — ależ jeszcze dużo brakuje do noska — orzekła, sprawdzając gdzie się kończą palce Zosi.

— A jak Zośka urośnie? To co? Będem za małe.

— Jak Zosia wyrośnie z tych, to dostanie od nas nowe, i nie musisz się teraz o to martwić. Troska o wszystko co wam potrzeba spada teraz na nas, będziemy się starać żebyście byli zawsze syci, zawsze ubrani, mieli gdzie mieszkać, uczyć się i bawić.

Józek nie wierzył w te obiecanki na przyszłość, wiedział, że teraz dają buty i można je zamienić na większe. Potem?... Potem mogą nie mieć i nie

dadzą. No ale trudno. Musiał się pogodzić ze zdaniem pani Stefanii. Cóż miał robić?

— Ci starsi są zawsze lekkomyślni — pomyślał z westchnieniem i wyszedł z sali, bo zbliżała się pora podwieczorku.

HOTEL „KOŁCHOŻNY”

W miarę jak dzieci odzyskiwały zdrowie i siły, wracała im ochota do psot. Dobra opieka, czystość i obfite pożywienie były cudownymi lekarstwami, które wyzółkłym twarzom wracały rumieńce, a zagastył oczom blask. Toteż nie lada kłopot miały opiekunki, by utrzymać pupilów w karchach dyscypliny, koniecznej chociażby ze względu na spokój hotelu, którego jedno skrzydło zajmowali wciąż jeszcze przejezdni obywatele sowieccy. Mimo największych starań i dozoru, awantury jednak wybuchały raz po raz.

W hotelu „Kołchożnym”, jak w większości prowincjonalnych hoteli sowieckich, umywalnie i ubikacje były wspólne dla wszystkich gości i mieściły się w specjalnie przeznaczony na ten cel części budynku. Rano i wieczór w porach, które najmniej mogły zawadzać innym mieszkańcom hotelu, prowadzono tam dzieciarnię pod nadzorem pań, aby zadość uczynić wymogom toalety. Dzieci jednak mycie uważały za przesadę, za wymysł starszych, a umywalnię obrały sobie jako najlepsze miejsce do zabaw i wymykały się do niej przy lada okazji. Tam można było oblewać jedno drugie wodą, chlapać

się i puszczać bańki mydlane przez słomki, znalezione na zakazanym podwórku, które zdążyli już spenetrować, lub bawić się łódkami z papieru, napelniając umywalkę wodą po brzegi.

W tych warunkach oczywiście mowy nie było, aby któryś z gości hotelowych, których zresztą była już niewielka ilość, mógł spokojnie korzystać z tualety, bo dzieci prócz mycia i zabaw, mając poprzębiane pęcherze, okupowały wciąż ubikacje. Sarkając więc na dyrektora, wyprowadzili się obywatele sowieccy z hotelu. Któryś z nich jednak wylał swoją złość i napisał donos do N.K.W.D., że hotel jest zakonspirowanym siedliskiem polskiej reakcji, że „krasnyj ugołok”*) został zamieniony na szpital, a Polacy usunęli stamtąd portret Stalina. Na skutek tego donosu, pewnego ranka wkroczył do hotelu przedstawiciel porządku sowieckiego z błękitną opaską N.K.W.D. na czapce. Dyrektor witając go składał się jak scyzoryk, posławszy Fiedkę po pana Michała.

— Dlaczego tu mieszkają polskie dzieci, czy sierociniec? — spytał srogo urzędnik dyrektora.

— Pokoje wynająłem po tej samej cenie, co innym obywatelom, według urzędowego cennika.

— A co z „krasnym ugołkom”?

*) Czerwony kącik — klubowy lokal propagandowo-oświatowy

Na to pytanie dyrektor zbladł.

— Gdzie tu może sowiecki obywatel wypocząć kulturalnie?

— Oddałem „ngolok” dla chorych dzieci, których z powodu przepełnienia nie mogły przyjąć nasze szpitale.

— Chorzy tutaj?! — ryknął enkawudzista. — Dostyc tego, będziecie odpowiadać za ten nieporządek. Gdzie jest zezwolenie władz na przyjęcie dzieci?

Dyrektor, błąd jak ściana, błagalnie spojrzał na wchodzącego pana Michała, który zorientowawszy się w sytuacji, postanowił zaatakować ostro niebezpiecznego gościa.

— Wasze władze w Moskwie pozwoliły opuścić Z.S.S.R. pięciuset naszym dzieciom, wskazując że w Aszchabadzie ma być zorganizowany przejściowy polski sierociniec, w którym by się one przed wyjazdem mogły zgromadzić. Te same wasze władze obiecywały, że dadzą na ten cel pomieszczenie, ale jak dotąd nie otrzymaliśmy go, a dzieci przyjechały i gdzie miały mieszkać? Na dworcu? Proszę, jeżeli to wam dogadza, mogę zaraz wszystkie wyprować na ulicę, razem z chorymi na tyfus, których nie chcecie przyjąć do szpitala. Możemy, jeśli chcecie, urządzić takie widowisko, ale bardzo wątpię, czy wasze władze w Moskwie będą z tego zadowolone — zakończył swoją tyradę pan Michał.

Dyrektor ze strachu dygotał jak w febrze. Enka-

wudzista zaś o dziwo, zamiast unieść się, zaczął przemawiać słodkim tonem.

— No nie, po cóż zaraz wyprowadzać dzieci na ulicę. Chore na tyfus nakażę przyjąć do szpitala, a inne niech już zostaną w hotelu. Dyrektor jednak będzie odpowiadał za to, że nie zawiadomił o tym wszystkim władz N.K.W.D.

— Przecież zawiadoniłem milicję — bronił się dyrektor.

— A jeśli tak, to w porządku, widocznie zaszło nieporozumienie — zakończył rozmowę urzędnik i przepaszając za najście, wyszedł słodko uśmiechnięty.

Dyrektor był zdumiony takim obrotem sprawy. Pan Michał zaś postanowił kuć żelazo, póki gorące i udał się nazajutrz do najwyższych władz N.K.W.D. żądając całego budynku hotelowego na użytek sierot. Serie argumentów: że Londyn, że Ameryka, że świat... że Moskwa, w Moskwie, o Moskwie... — zostały należycie wyczerpane i ostatecznie wobec faktu, że dzieci i tak zajmowały większą część budynku, a pobyt ich był tylko czasowy, wydane zostało potrzebne zarządzenie na piśmie i hotel „Kolechozny” został przeznaczony na tymczasowy sierociniec dla polskich dzieci. Dokument jednak zaczynał się od słów: „Od dnia dzisiejszego aż do odwołania...”, bo w ten sposób N.K.W.D. miało wolną rękę, a petent nigdy nie był pewny ani dnia, ani godziny, a im bardziej obywatel nie był pewny

swego jutra, tym pewniej w rękach... miało go N.K.W.D.

Goście hotelowi wyprowadzili się. Zjechała reszta dzieci, razem było ich teraz dwieście, oraz dziesięć nauczycielek i ksiądz, który miał powierzoną opiekę duchową nad nimi. Hotel, rozbrzmiewający teraz śmiechem i gwarem dzieciennym, stał się polską wyspą w sowieckim morzu.

Pan Michał, zakończywszy zwycięsko wojnę o budynek z N.K.W.D. rozpoczął teraz walkę z wszami. Uparte robactwo nie bało się miejskich dezynfektorów, do których odsyłano ubrania dzieci i mnożyło się w zatrważających ilościach. I tak to, ku swojemu przerażeniu zauważył, że stare rzeczy dzieci, złożone w jednym ze składników, roją się po prostu od niebezpiecznych w czasie epidemii tyfusu insektów, mimo gwarancji dyrektora dezynfekcyjnego oddziału miejskiego, że wszy wyginęły. Nie namyślając się wiele, zabronił więc pan Michał, komukolwiek wychodzić przez dwie godziny na podwórko. Tym ciekawiej wypatrywały dzieci co się działo w zakazanej strefie, a nosy rozplaszczały się o szybę okien w korytarzu, skąd był widok na podwórze. Zainteresowanie ich doszło do szczytu, gdy w ogródku zaczęła się uwijać biała wysoka postać, przenosząc w półmroku stare łachmany i manatki na drugie podwórze, z którego dochodziły odblaski ognia.

— Może to anioł — zapytała mała Marcelka.

— Ōch, ta Marcelka, to taka głupia, że nie wiem. Anioł będzie prznosił stare rzeczy — denerwowała się Mila.

— A może to Alektryst? — wykrzyknął mały Piotruś.

— E, gdzie tam Alektryst. Alektryst to daje nowe rzeczy.

— Tera wojna, to może nie ma nowych — rzeczo wo odezwał się Józek Czynczyk.

Białą, tajemniczą postacią był pan Michał, który ubrawszy się w fartuch i owinąwszy ręcznikiem głowę, nosił ze składziku stare, zawzzone łachy i rzucał je w płomień sztuka po sztuce, dopilnowując, by spalały się do cna. Do późna w noc świeciło się ognisko, w którego płomieniach ginęła pozostałości przebytej nędzy i jej symbol — wszy.

Po tym całopaleniu, nauczycielki i lekarka odechnęły z ulgą, bowiem małe, natrętne insekty coraz rzadziej pojawiały się na ubraniach, lub głowach pupilów. Życie sierocińca zaczęło biec uregulowanym trybem, to znaczy, że ułożony został program zajęć dla dzieci, chętnie poddających się nowym rygorom, które oddalały je od chaosu i smutnych chwil przeżytych.

Kierownik ekspedycji, nie doczekawszy się w Taszkencie pozwolenia przejazdu do Kujbyszewa, powrócił do Aszhabadu. Zjechali z nim i pozostali uczestnicy z raportami z ośrodków, które zwiedzili

Na razie nie można było przysłać do Aszhabadu więcej dzieci, gdyż zbieranie ich w sierocińcach było uniemożliwione przez brak odpowiednich pomieszczeń, oraz trudność dojazdu i skomunikowania się z dalekimi posiołkami.

Czekanie w Aszhabadzie na dalsze transporty sierot, wobec przywiezionych relacyj, opóźniłoby znacznie wyjazd ekspedycji z Rosji. Kierownik więc — zwłaszcza, że terminy udzielonych przez rząd sowiecki pozwoleń na pobyt dla uczestników wyprawy miały się ku końcowi — postanowił ulokować zebrane już w sierocińcu dzieci, w Meszhedzie, pierwszym, większym mieście po perskiej stronie, i tam oczekiwać, dopóki pozostałe trzysta sierot nie zjedzie do Aszhabadu z posiołków. Samochody wróciłyby po nie raz jeszcze, z Meszhedu, przed definitywnym wyjazdem do Indii.

Któregoś więc popołudnia opuścił kierownik Aszhabad, bez większych trudności ze strony N.K.W.D. i udał się do Persji, by tam osobiście dopilnować przygotowań. W Aszhabadzie został doktor i pedagog, których zadaniem było pokierować przejazdem sierocińca do Meszhedu. Niestety, powszechnie lubiany „profesor” rozchorował się na tyfus, co znowu groziło spowodowaniem zwłoki w wyjeździe.

— Nie, nie, w żadnym wypadku nie zgodzę się, żeby przeze mnie dzieci czekały. Tam będą miały wszystko, a tutaj ciągle jesteśmy niepewni, czy gospodarze jutro nie zabronią czegoś, na co pozwo-

lili dziś — perorował mimo wysokiej gorączki „profesor”. — Jeśli nie wyzdrowieję do wyjazdu to proszę mnie tu zostawić, niech ksiądz mnie zastąpi w tej podróży.

Dni mijały w oczekiwaniu przyjazdu samochodów, które miały przewieźć dzieci do Persji.

Jednostajny ich bieg przerwał kiedyś Zbyszek który wpadł zadyszany do lekarki i wyrzucił z siebie jednym tchem :

— Proszę pani, proszę pani ! Duży Józek strasznie chory. Leży, ma gorączkę, czerwony jest jak burak i coś mamroce.

Lekarka pośpieszyła na pomoc. Koło leżącego stała już gromadka dzieci, przyglądając się mu. Józek wydawał z siebie nieokreślone dźwięki, wśród których od czasu do czasu przewijały się najgorętsze rosyjskie przekleństwa. Doktorka pochyliła się nad nim — alkohol zionął z uchylonych ust Józka. Gdy wyprostowała się, dzieci ciekawie spojrzali na nią.

— Proszę zebyście zaraz stąd wyszły, Józek jest chory i potrzebuje spokoju — zadysponowała.

Powoli, niechętnie, dzieci opuściły pokój. Józek tymczasem rzucał się jak ryba bez wody, klął najokropniejszymi słowami.

— Pijany do nieprzytomności, — zdawała relację panu Michałowi doktorka — trzeba go natychmiast usunąć z sali.

— Ja go wezmę do siebie — zaproponował ksiądz.

Nieprzytomnego chłopca przeniesiono do pokoju kapelana. Gdy Józek po kilku godzinach twardego snu ocknął się, niemało był zdziwiony, że znalazł się w nieznanym sobie miejscu. Próbował wstać, ale nie mógł, kręciło mu się w głowie, która go przeraźliwie bolała, mdliło go przy tym nieprzyjemnie.

— Psia krew, urzynałem się ! — skonstatował i postanowił leżeć dalej.

Zachodzące słońce, wpadając promieniem przez okno zatrzymało się na krucyfiksie, stojącym na stoliku. Oczy Józka spoczęły na krzyżu — patrzył ot tak sobie, bez myśli, aby patrzeć. Po chwili poczuł, że głowa go mniej boli, mdłości ustały. Zrobiło mu się dobrze, cicho, spokojnie i... zasnął ponownie.

— Masz tu herbatę i chleb — zbudził go głos księdza, podającego mu kubek.

Józek zląkł się. — Pewnie katabas mnie zbije — pomyślał i zmierzył oczyma postać księdza, obliczając jego siłę.

— Dam sobie radę — stwierdził po oględzinach — niech tylko spróbuje, niech mnie ruszy. — Ale ksiądz ani myślał go bić. Postawił kubek na krześle obok łóżka, położył chleb i nie mówiąc nic,

ukłękł przed krucyfiksem, zatapiając się w modlitwie.

Józek sięgnął po herbatę i chleb, jadł powoli, bez apetytu, przyglądając się kłęczącemu księdzu. — Kiedy ja się ostatni raz modliłem, — przypominał sobie — ostatni raz? Phi.... jeszcze w Polsce, u Floriana na Pradze w dzień imienin ojca. Dostał w tym dniu kolportaż „Gazety Warszawskiej” po „Kusym Genku”, któremu autobus obciął nogę. Warszawa, kochane miasto, co za życie, co za ruch! — zatopił się w rozmyślaniach — jakie teatry, kina, cukiernie, restauracje. Dobrze mu się tam wiodło. Rozsprzedawał zawsze swój przydział gazet, a nieraz i naddatkowe brał od „Czarnego Walka”. Miał stałą klientelę — adwokatów, doktorów, pisarzy.

— Pan Lechoń — poeta, to nieraz go do kawiarni zaprosił na kawę z ciastkami i do domu dla matki słodczyce kazał zabierać. Znał dobrze wszystkich artystów i panią Ówiklińską, i Osterwę, i Solskiego, i Ordonkę. Pożyczał od nich nieraz pieniądze na wykupienie weksli ojcowskich. Dobrzy to byli ludzie. A wtedy u Floriana, — pamięta jak dziś — dostał od matki szturchańca, bo wytarł nos w palce, a potem palce o nogawki nowych spodni. Po kościele była w domu libacja, wiadomo — imieniny. Złote to były czasy, najlepsze. — Kurier Warszaaaa....! — Goniec Wiczoooo....!

przypominał sobie, jak to krzyczał, biegnąc przez ulice Warszawy. — Kurier Warszaaaa....! —

Ksiądz przeżegnał się i wstał.

— Wypiłeś herbatę? — zwrócił się do zatopionego we wspomnieniach Józka.

— Nie wszystko, głowa boli.

— Dam ci proszek, do jutra ból przejdzie.

— Kiedy on zacznie mnie rugać? — myślał Józek — przecieżem się upił, jak świnia.

Ksiądz podał mu proszek i wodę, po czym zgasił światło, rozebrał się i położył.

— Śpij z Bogiem — powiedział na dobranoc i po chwili słychać było jego miarowy oddech.

— Śpi — myślał Józek — może uciec teraz? — Nie chciało mu się co prawda. — To jakiś dobry katabas, nic złego nie robi. Prześpiję się, a jutro zwieję — zdecydował i odwróciwszy się twarzą do ściany, usnął.

— Czy ty kiedy służyłeś do mszy? — spytał go rano ksiądz.

Józek otworzył, jak mógł najszerszej oczy, nie rozumiejąc pytania.

— Czego ksiądz chce ode mnie, co za służenie? — odpowiedział hardo — sprzedawałem gazety, pracowałem i już.

Ksiądz uśmiechnął się na te wywody.

— Chodziłeś do kościoła?

— No, — bąknął Józek.

— Widziałeś, jak na stopniach ołtarza, gdy ksiądz odprawia mszę, stoją dwaj ministranci, chłopcy?

— No.

— Chciałem żebyś i ty służył do mszy, którą odprawię na intencję szczęśliwej drogi, służyłbyś z Bobisem.

— Ale ja nie umiem.

— To nic, Bobis cię nauczy, on umie.

Jak przez mgłę, przypomniał sobie teraz Józek jak w starym kościółku na Pradze modliło się przy księdzu dwóch synów maglarki Franciszkowej.

W słoneczną niedzielę, w końcu długiego korytarza, ustawiono ołtarz, po prostu stół nakryty prześcieradłem, przybrany zielonią, o którą postarała się Aspazja Iwanowna. Pośrodku zawieszono obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, a pod nim postawiono krucyfiks.

Msza się rozpoczęła. Bobis z Józkiem w skupieniu usługiwali do niej. Jak ptaki drzewa, tak drgające wzruszeniem głosiki dzieci obsiadły obraz Maryi, zawieszając koło niego srebrzyste vota serc rozmოდionych. A starsi w czasie tej pierwszej mszy, której słuchali na terenie Rosji, modlili się z gorącą wiarą nowonawróconych i wdzięcznością za cud, który ich wyratował z więzień i łagrów. Gdy po

skończonym nabożeństwie zabrzmiało „Boże coś Polskę” — łyzy tamowały głosy.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,

Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie...

— rozniosło się szlochem po korytarzu, w którego kącie stała blada Aspazja Iwanowna i z czapką w ręku stary stróż Fiedka.

W żarliwej modlitwie uspokoiły się serca i uciszyły burze. Długo jeszcze po skończonej mszy paliły się świece na przygodnym ołtarzu, rzucając migotliwe blaski na dobrotliwą twarz Maryi, od której spływało na modlących się błogosławieństwo ukojenia i nadziei.

Po tej pamiętnej niedzieli zwawo przygotowywano się w sierocińcu do wyjazdu, licząc się z tym, że lada dzień kierownik wraz z samochodami powróci z Persji, aby zabrać dzieci i że wówczas mało może być czasu, aby zorganizować sprawne załadowanie wyprawy.

Podróż do granic Indii odbywać się miała ciężarówymi samochodami, specjalnie przystosowanymi do tego celu. Każdy z samochodów mógł pomieścić dwadzieścioro dzieci i nauczycielkę, trzeba więc było zawczasu podzielić dzieciarnię na grupy i przydzielić im opiekę. Aby uniknąć w chwili wyjazdu zamieszania, odbywały się na podwórzu codziennie ćwiczenia przygotowawcze, a dzieciom poroządzano tabliczki z numerkami, które kierownikom ułatwiać

miały orientację i komendę. Dzieci, nie mogąc doczekać się wyjazdu, zamęczały opiekunki tysiącem spraw i pytań.

— Proszę pani — mówiła zatrwożona Zosia — Heniek powiedział, że tamuj, gdzie jedziemy, to som dzikie ludy i że one zjadają dzieci.

— Na pewno nie zjadają dzieci, ale jedzą różne inne dobre rzeczy — śmiała się pani Maria, uspaka-
jając małą.

— To co Heniek mówi? — dąsała zię Zosia.

Nic nie było w stanie zaspokoić rozbudzonej fantazji dzieci, których zajęcia, zabawy, a nawet sny były pod znakiem podróży. Nastrój ten udzielił się i starszym, a zwłaszcza radcy, który dostał wiadomość, że odwołują go do Londynu.

— Dzięki Ci Boże — mówił — że umrę nie tutaj.

Radcę miano przewieźć do Meszhedu osobowym samochodem. Ze względu jednak na zły stan jego zdrowia i potrzebę opieki w drodze, uradzono, że pojedzie z nim pani Anna.

— Biedny pan, panie Michale, — biadał radca, który przywiązał się do towarzysza niedoli — zostaje pan tutaj w tym okropnym kraju.

— Nie ja jeden, — uśmiechnął się Michał — a zresztą z Bożą pomocą wszyscy się powoli wydo-
staniemy.

Wreszcie któregoś dnia przed sierociniec zajechał sznur samochodów pod dowództwem pana Dajka,

starszego mechanika. Przywiózł on wiadomość od kierownika, że konsulát sowiecki w Meszhedzie odmówił jemu prawa wjazdu i z trudem tylko zgodził się wpuścić szoferów i samochody do „raju”, jednak pod warunkiem, że pobyt ich w Rosji nie potrwa dłużej, niż 48 godzin.

— Jutro o 8-mej rano wyjazd — oznajmiono dzieciom, których podniecenie przed oczekującą je podróżą doszło po tej wiadomości do zenitu. Noc spędziły wierząc się i kręcąc z emocji na posłaniach, a rankiem płątały się po korytarzach i biegały niespokojnie.

— Oj, będzie kłopot z tym drobiazgiem, — biadał pan Dajek — będzie kłopot z wsiadaniem, a tu przed zmierzchem trzeba przebyć granicę, bo znów się so-
wiewy do czego przyczepią.

Na sygnał gwizdka dzieci ustawiły się parami, trzymając swoje rzeczy przy sobie.

— Psia kość, — zaklął Dajek — sprawnie to zrobiły.

Zawieszono jadącym na szyi woreczki, w których zaszyta była kartka z nazwiskiem i danymi osobistymi. Kto wie, co w drodze może się przytrafić? Na dalszy znak dzieci podzieliły się na oddzielne gromadki i ustawiły się przy wyznaczonych samochodach. Nastąpiła wzruszająca scena pożegnania z panem Michałem. Dzieciska rzucały mu się na szyję, ściskając go i prosząc by „Wujcio Michał” przyjechał do nich jak najprędzej.

Wsiadanie do lor odbyło się sprawnie. W die-
sięciu samochodach umieszczono dzieci, jedenasty
przeznaczono na rzeczy. Ten z rzeczami ruszył pierw-
szy, za nim kolejno drugi, trzeci, czwarty, jedy-
nasty, aż na podwórzu sierocińca został tylko pan
Michał, Aspazja Iwanowna i Fiedka.

— Ujechali — stwierdziła pochlipując Aspazja.

— Tak — westchnął pan Michał.

— Żalco — dorzucił Fiedka.

A samochody z dziećmi, wyjechawszy z miasta,
zaczęły pustynną najpierw drogą, zbliżać się ku
pasmu wysokich gór, po którego szczytach snuła
się granica. Tysiące długich mil, przebytych w
ostatecznej niedoli, dzieliło jadących od innej gra-
nicy tego samego państwa, do którego ich wwie-
ziono brutalną przemocą. Linia, którą mieli przed
sobą, obejmowała swoim obwodem największy pań-
stwowy obszar świata i zamykała równocześnie naj-
straszniejsze więzienie. Poza nią była wolność. Ku
niej zbliżali się, wspinając się coraz wyżej po
dzikich serpentynach górskich, pilnie strzeżonych
przez straż graniczną i psy, czuwające aby nikt
nieupoważniony nie zaznał wolności.

Jechali to z góry, to pod górę, przez przesmy-
ki i skaliste przełęcze Kopet-Dagu, w ciszy i
skupieniu, nie bardzo jeszcze uświadamiając sobie,
że niedaleko inny świat się zaczyna. Po paru go-
dzinach jazdy zatrzymali się na granicy sowieckiej.

Gdy wszystkie formalności skończono, długi sznur
samochodów ruszył, wzbijając tumany pyłu, które
przesłoniły przed oczyma jadących budynek granicz-
ny i umieszczony na nim wielki sierp i młot.

— Oby na zawsze — westchnął ksiądz.

W pół godziny po przejeździe dzieci, po tych sa-
mych serpentynach, jechała czarna limuzyna, od-
dana uprzejmie przez aszchabadzkie N.K.W.D. do
dyspozycji chorego radcy, któremu w drodze towa-
rzyszyła Anna. Radca, blady, siedział wygodnie
oparty na specjalnie ułożonych poduszkach. Anna
powtarzała sobie po cichu ostatnie wskazówki leka-
rza, co należy uczynić w razie gdyby atak choroby
się ponowił. Spoglądała przy tym ukradkiem na
rekonwalescenta, kontrolując, czy znaczna zmiana
ciśnienia, wywołana wzniesieniem na które wjeź-
dzali, nie wpływa ujemnie na jego stan.

— Jam jest Pan Bóg Twój, którym cię wywiódł z
ziemi egipskiej, z domu niewoli — szepnął radca
i zwracając się do Anny dodał — czy pani nie
zauważyła, jak to jest wiecznie aktualne?

— Nie będziesz miał cudzych bogów przede mną,
— podchwyciła myśl radcy Anna — a jeśli to
przykazanie złamiesz, cierpieć będziesz przez tych
cudzych bogów, tak jak przez swojego czerwonego
bożka cierpią Rosjanie.

Radca uśmiechnął się i dodał:

— Wie pani, strach przed śmiercią i nieszczęście
zbliżają człowieka do Boga — ale nie miał już da-

lej czasu rozwinać swojej myśli, bo limuzyna zatrzymała się przed urzędem granicznym.

Paszport dyplomatyczny radcy oszczędził jadącym trudów związanych z rewizją bagaży, ale i tak załatwianie innych formalności trwało dobre pół godziny i zmęczyło chorego, tym bardziej, że musiał wyjść z samochodu i udać się do kancelarii urzędu dla ich dopełnienia. Wyszedł stamtąd blady i nagle zachwiał się, widocznie wysiłek i wzruszenie były za wielkie dla chorego serca.

— Nie dobrze mi, umieram — wyszeptał, opierając się na ramieniu Anny.

Sytuacja stawała się groźna. Atak choroby, na który się zanosilo, mógł unieruchomić ich na granicy, a nawet zmusić do powrotu do Aszchabadu, zaś przed nimi była jeszcze tylko niecała godzina drogi do najbliższego postoju, gdzie wraz z dziećmi oczekiwała lekarka.

Anna, której cała powaga sytuacji stanęła przed oczyma, postanowiła zagrać *va banque* i chwyciwszy za rękę mdlejącego pacjenta, szepnęła:

— Radcuniu, tylko bez kawałów.

To nieoczekiwane odezwanie się rozprężyło napięte nerwy radcy, który zamiast zemdleć, roześmiał się i zebrawszy wszystkie siły wsiadł do samochodu, a za nim z uczuciem ulgi wsiadła Anna.

Ruszyli, pęd świeżego powietrza i świadomość, że przezwyciężył własną słabość, dodawały sił choremu.

— Radcuniu, tylko bez kawałów — powtarzał sobie i śmiał się.

— Bardzo przepraszam — tłumaczyła się Anna.

— Ależ, ależ — przerwał jej radca — dziękuję pani za to z całego serca. Jest pani najwspanialszym lekarzem. Dawno się tak serdecznie nie uśmiełem. To byłby rzeczywiście kawał z mojej strony, gdybyśmy musieli wracać.

Z daleka na drodze widać było kurz. Samochody z dziećmi jechały tuż przed nimi.

— Za dziesięć minut granica perska — powiedział radca, popatrzwszy na zegarek.

— Za dziesięć minut wolność — wyszeptała Anna.

W nocy zbudziło pana Michała uporczywe kołatanie do drzwi.

— Cóż ten Fiedka? ogłuchł, czy co? czemu nie otwiera?

Kołatanie nie ustawało. Zirytowany pan Michał wstał i poszedł otworzyć. Na progu stał obdarty, brudny, mały chłopczyna.

— To sierociniec? — spytał zmęczonym głosem.

— Tak.

— Tu som polskie dzieci?

— Tak, wejdź.

— Na pewno som dzieci?

— Na pewno.

Wszedł, chwiejąc się z osłabienia na nogach.

— Skąd przyszedłeś — pytał, prowadząc go do pokoju, Michał.

— Z foksala.

— Kto cię przysłał?

— Babka.

— A babka gdzie jest?

— Została na foksalu.

— Dlaczego nie przysłała tutaj?

— Tu tylko dzieci som, a ona już stara.

Wypucował pan Michał malca, przebrał, nakarmił, ułożył spać i ruszył na dworzec na poszukiwanie babki. Znalazł ją skuloną, siedzącą na tobołkach pod stacją. Od razu wiedział że to ona. Podszedł, zagadał do niej — spojrzały na niego stare, wyblakłe, niebieskie oczy. Była śmiertelnie znużona. Przeżyła już chwilę rozstania, gdy wnuka posłała do sierocińca, czuła się niepotrzebną nikomu i czekała tylko na śmierć. Zabrał ją, nie broniła się, nie mówiła nic.

I tak hotel „Kolchoźny”, przemieniony na polski sierociniec, znowu zaczął się zapelniać.

Gdy granicę minięto — z pierzi tubacznych dzieci wyrwał się hymn polski, dla nich radość i smar-
wychwstał.

O zmierzchu samochody ekspedycji wjechały na duże podwórze karawanszaju w Badkigiranie. Było to miejsce pierwszego postoju dzieci na perskiej

C Z E Ś Ó D R U G A

domi. Wokół wysokiego muru, chroniącego przed napa-
dami górskich bandytów, zamknięta żelazna brama. Gdy tylko ostatni samochód z dziećmi wjechał do zajazdu, zawarto ze zgrzytem te wrota, oddzielając przyjeżdżących od tłumów zabranego jakiegakolwiek gawie-
dzi. Na ziemi, noszącej ślady wieblądziwej karawany, wystąpiła się dziedziarnia. Kierownik ekspedycji oszukiwał tutaj na nią.

Za bramą gwar był wielki. Przejazd tylu samo-
chodów, wyladowanych cudzoziemcami z dalekiego Lechistanu, był dla mieszkańców tej granicznej miejsciny nie była atrakcją, toteż mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy wylegli na ulicę, zbiegając się i dyskutując. Wszedł szary gruby Pora w be-
nankowej szacie, uśmiechnął się do zebranych w opłotkach obozowych wyjątkowo często umi-
dło i klepiąc się po wysiadłym brzuchu.

— Tak, wejść.

— Na pewno som dzieci?

— Na pewno.

Wzrost, chwilejąc się z osłabienia na nogach.

— Skąd przyszedłeś — pytał, prowadząc go do pokoju, Michał.

— Z foksała.

— Kto cię przysłał?

— Babka.

— A babka gdzie jest?

— Została na foksału.

— Dlaczego nie przysłała tutaj?

— Tu tylko dzieci som, a ona już stara.

Wypucował pan Michał maka, przebrał, nakarmił, uložył spać i ruszył na dworzec na poszukiwanie babki. Znalazł ją skuloną, siedzącą na tobołkach pod stacją. Od razu wiedział że to ona. Podszedł, zagadał do niej — spojrzeli na niego stare, wyblakłe, niebieskie oczy. Była smiertelnie zmęczona. Przejrzała już chwilę rozstania, gdy wanka posłała do sierocińca, czuła się niepotrzebną nikomu i czekała tylko na śmierć. Zabrał ją, nie bronila się, nie mówiła nic.

I tak hotel „Kolehożny”, przemianowany na polski sierociniec, rurowu zaczął się zapelniać.

DAJKOWE KURCZAKI

Gdy granicę minięto — z piersi tułaczych dzieci wyrwał się hymn polski, dla nich radosny i zmarłychwstały.

O zmierzchu samochody ekspedycji wjechały na duże podwórze karawanseraju w Badzigiranie. Było to miejsce pierwszego postoju dzieci na perskiej ziemi. Podwórze, otoczone wysokim murem, chroniącym ongiś karawany przed złodziejami i napadami górskich handytów, zamykała żelazna brama. Gdy tylko ostatni samochód z dziećmi wjechał do zajazdu, zawarto ze zgrzytem te wrota, oddzielając przyjezdnych od tłumnie zebranej ciekawej gawieździ. Na ziemię, noszącą liczne ślady wielbłądziej karawany, wysypała się dzieciarnia. Kierownik ekspedycji oczekiwał tutaj na nią.

Za bramą gwar był wielki. Przejazd tylu samochodów, wyladowanych cudzoziemcami z dalekiego Lechistanu, był dla mieszkańców tej granicznej miejsciny nie lada atrakcją, toteż mężczyźni, kobiety i dzieci licznie wylegli na ulice, zbierając się i dyskutując. Właściciel zajazdu, gruby Pers w barankowej czapce, udzielał chępliwie zebranymspółziomkom obszernych wyjaśnień, często cmokając i klepiąc się po wystającym brzuchu.

Gdy zbliżył się do rozmawiających pan Dajek, przywitano go jak starego znajomego. I nie dziw, bo przed swoim wyjazdem do Aszhabadu, skupywał u miejscowej ludności z niemałym trudem kurczaki, chcąc ucieszyć dzieci nieoczekiwaną uczcią. Po jakich dziurach nie chodził, ile się nie naklął, natargował, nagadał — bo wiadomo, wschodnie narody lubią dużo mówić — zanim zdobył potrzebną ilość drobiu, tego by i na wołowej skórze nie spisał. Wszyscy więc Dajkowi sprzedawcy kurczaków uważali teraz za swój obowiązek wyjść na spotkanie dzieci; oni, ich rodziny, przyjaciele, przyjaciele przyjaciół, znajomi, tak że bez mała wyległ na ulicę cały Badzigiran. Skorzystali po prostu z pierwszej niecodziennej okazji, by uświetnić sobie któryś ze zwykłych dni.

Pan Dajek odwołał zażywnego gospodarza i polecił mu przygotować zamówioną kolację. Pers zgiął się w pas i tajemniczo uśmiechając się, zniknął we wnętrzu zajezdnego budynku.

Dzieci tym czasem rozglądały się po podwórzu markotne i zawiedzione. Rozczarowane były, że witająca je i długo wyczekiwana wolność wyglądała tak inaczej, niż to sobie wyobrażały.

Wtem z bocznych drzwi budynku wypadło na podwórze, gdacząc przeraźliwie, stado kur, biegły one na oślep, bijąc w śmiertelnych konwulsjach skrzydłami o piasek i bryzgając dookoła krwią z porzniętych gardzieli. Dzieci przerażone tym wido-

kiem uciekły, płacząc, do ustawionych w głębi podwórza samochodów.

— Natychmiast zabrać stąd te kury! — huknął na gospodarza rozgniewany nie na żarty pan Dajek i wraz z kierownikiem podbiegł do drzwi zajazdu, w których stał błogo uśmiechnięty Pers, złożywszy ręce na wystającym brzuchu. — Dziwny naród ci Europejczycy, dziki jakiś — myślał. Chciał zrobić przyjemność polskim dzieciom, a one płaczą zamiast śmiać się z kurzych podrygów, na które tak lubią patrzeć perskie dzieci, a kierownik krzyczy. Cofnął się więc obrażony w głąb zajazdu.

Paru chłopców perskich oczyściło podwórze z porzazanego drobiu i fruującego pierza. Zapalono pochodnie.

Incydent z kurami rozstroił dzieci.

— Idiota, — złościł się na gospodarza zajazdu Dajek — ruszył konceptem jak martwe ciało ognem. Takie już były dzieciśka szczęśliwe, a teraz siedzą znów osowiałe i patrzą wystraszonymi oczyma na nas, jakbyśmy je też mieli zamiar pozarzynać.

Podwórko słabo oświetlone pochodniami, pełne skaczących cieni i tajemniczych zakamarków, pogłębiało nieprzyjemny nastrój.

— Ja się boję — płakała Marcelka, trzymając Alę kurezowo za rękę.

Najmłodsze dzieci rozmazgały się, wszystkim nagle zabrakło aszhabadzkiego sierocińca, sal które

już dobrze znały, korytarza i ogródka, po którym biegały. Strachem przejmowała je myśl, że będą spać w lorach, na obcym i napawającym je obawą podwórku.

— Kolacja — oznajmił pan Dajek w nadziei, że pieczone kurczęta przywróca dzieciom humor i cieszył się w duchu niespodzianką, jaką im tym sprawił. Dzieci ustawiły się czwórkami i bez entuzjazmu odbierały od opiekunek każde po pół kurczaka i duży zytmi placek. Placki, których było dużo, zniknęły w oka mgnieniu, natomiast kurczaki nie znajdowały amatorów na dodatkowe porcje.

— Ciekawe, dlaczego one nie chcą jeść kurczaków — dziwił się pan Dajek.

— Kurczaki są duże, więc prawdopodobnie najadły się nimi od razu, a placki pewnie starym zwyczajem chowają na potem — tłumaczyła pani Jotka.

Pani Stefania poszła jednak do dzieci zebranych przy samochodach zbadać zagadkę i znalazła ku swojemu zdziwieniu w kątach wozów porzucone nietknięte kurczaki. Widok rzezi nieszczęsnego ptactwa odebrał dzieciom apetyt, poza tym wiele z sierot, które jako małe berbecie były wywiezione z Polski, nie znalazło smaku i wyglądu piezowanego drobiu. Nie mógł się temu nadziwić pan Dajek, bowiem do Indii, w których już kilkanaście lat mieszkał, nie doszły jeszcze wiadomości o wszyst-

kich nieszczęściach, przebytych przez dzieci w Rosji.

Nadeszła godzina snu. Pouczono dzieci, gdzie znajdują się miejsca przeznaczone dla nagłej potrzeby, ułożono im w samochodach posłania, zasunięto brezenty i nakazano ciszę. Noc zapowiadała się spokojnie. Mężczyźni objęli dyżury. Rozległy się już pierwsze chrapania, gdy z któregoś wozu doleciał płacz. Kilka głosów wchodziło w pertraktacje z płaczącym, ale bez rezultatu. Rozbudzona nauczycielka podbiegła do wozu.

Okazało się że mały Piotruś przebierał nóżkami, bo nie mógł zejść z wysokiej lory — a musiał. Płacz rozbudził dzieci, którym trzeba było tylko pierwszego hasła, by zacząć wędrówkę do dwóch skromnych, niewystarczających na taką frekwencję ustroni. Dyżurni zjawili się wreszcie, rozbudzeni tym nagłym ruchem, a pan Dajek rozespany mruczał:

— Dziwne te dzieciaki, kurczaków nie jedzą, po nocach nie śpią, dziwne dzieciaki — i zrzędcząc przyświecał latarką, prowadząc je gdzie należy.

Reszta nocy minęła spokojnie, a poranne promienie słońca przegnały niedobre nastroje wieczoru. Chłodna, studzienna woda, którą obmyły się dzieci, orzeźwiła je po śnie. Jasnymi głosami odśpiewały pod batutą pani Anny, która zdążyła z radcą zjechać na wieczór do Badzigiranu, „Kiedy ranne wstają zorze” i z apetytem zabrały się do śniadania. Po śniadaniu zarządzono odjazd.

Lory wyjeżdżają jedna po drugiej, żegna każdą krzyk i machanie rąk zebranych przy bramie Persów. Z każdej wytryska piosenka.

„Morze, nasze morze...” miesza się z piosenką: „Stać będzie kraj nasz cały...” — Każda lora śpiewa, z każdej dobiega radosny pisk mniejszych dzieci. Dzieciaki szczęśliwe, żadne dalszej podróży, która winna zaspokoić ich fantazję, śpiewają coraz głośniej, jakby chciały do syta nacieszyć się wolnością. Pan Dajek ma oczy wilgotne, ze wzruszeniem przysłuchuje się dawno niesłyszanej polskiej piosence i mruczy:—dziwne dzieciaki, kochane dzieciaki...

A dzieciaki czują, że zawojowały pana Dajka, i na każdym postoju wołają: — Panie Dajek, panie Dajek, proszę do nas, do nas, do nas! — robi się krzyk, a pan Dajek chodzi od samochodu do samochodu i radość tryska z jego wypłowiałych, polskich ślepi. Burczy na szoferów, żeby ostrożnie jechali i uważali, bo wiozą polskie dzieci. Te dziwne, kochane dzieciaki, które nie chcą jeść kurczaków, a jedzą czarny chleb i placki.

Gwarno było w samochodach i śpiewnie, pomimo zakazu. Kurz przedostawał się pod budy i opiekunki nie chciały, aby dzieci śpiewając tykały go, ale dzieciśka używały swobody i anarchia była zupełna. Co się tam nie działo! Mało było śpiewu i krzyku. Walono łyżkami w blaszane kubki, robiąc piekielny hałas, dzieciarnia wyrzucała z siebie

wszystkie troski hamujące jej radość, wyrzucała w krzyku niewolę, gubiąc za sobą koszmar przeżytych dni.

W porze obiadu auta zatrzymały się przed samotnym budynkiem, stojącym przy drodze. — Czajchana, czajchana*) — przeleciała wieść od samochodu do samochodu i obudziła zaciekawienie i dreszczyk sensacji wśród małych podróżników. Czajchana nie mogła pomieścić od razu wszystkich, rozdzielono więc dzieci na cztery partie. Pierwsze szły jeść do czajchany najmniejsze, a ciekawość czekających rosła.

— Co jadłeś? — pytał Arturka Romek.

— Nie powiem — droczył się tamten.

— Powiedz — nalegał Romek.

— Fiku miku na patyku — wykrzywił się Arturk.

— Dam ci fiku miku! — rozsierdził się Romek.

— Dużo mi zrobisz — droczył się Arturk, przyskoczywszy do sukni pani Stefanii.

— E e e — pokazała język małej Zosi Kaziunia.

— E e e — odwzajemniła się jej tanta.

— Proszę pani, proszę pani, — krzyczał Zbyszek

— Tadek chce mi urwać guzik od spodenek.

Rozdzielono bijących się, rozdając każdemu po przyjacielskim klapsie.

*) spolszczone: „czajchane” — po persku: herbaciarnia.

— Ffi, — krzywił się powracający z czajchany duży Tadeusz — myślałem, że to coś interesującego, a to zwykła brudna dziura.

Po zjedzonym obiedzie, gdy dzieci załatwiły wszystkie konieczne przed podróżą czynności, usadowiono je w samochodach.

— Czy wszystko w porządku? — informował się kierownik.

— Brakuje Romka! — krzyknęła pani Stefa — przed chwilą był i zniknął nagle.

Znaleziono zgubę w czajchanie, jak plecami zwrócony do drzwi dopijał wodę z kubka.

Pocieszna to była figurka. Ruchliwy, drobny, wyglądający na czterolatka, a miał lat osiem, blondyn o szarych dużych oczach, otoczonych białymi prawie rzęsami, brzuch miał bardzo duży, a głowę małą na cienkiej szyjce, chude nóżki i rączki. Wyśmiewali się z niego koledzy, ale nie mogli się bez niego obejść, bo czego by który nie zapragnął, u Romka zawsze znalazł: sznurek czy ołówek, scyzoryk, guzik, gwóźdź, papier, wszystko co było potrzebne do zabaw, u niego było. Miał nawet igłę z niemi i watę, miał wodę do picia, po dwa łyki i czekoladę na jedno ugryzienie, chleb, placek, lub cukierek. Ale nic za darmo — tylko na handel wymienny. Romus ucziwie oceniał wartość dawanych w zamian przedmiotów i żądania jego nie były wygórowane. Wiedział, co które dziecko ma

zbędnego i co może mu dać bez uszczerbku. — Będzie z niego dobry kupiec — mówiono. O kolegach myślał z wyższością — ot głupie dzieciaki — ale opinii starszych bał się i był na nią wrażliwy. Teraz, usłyszawszy śmiech kierownika, poczerwieniał i o mało się nie rozplakał.

— Co ty tu robisz? — zapytał kierownik.

— Piję — załośnie odparł Romus, sięgając po nowy kubek z wodą, który stał przed nim.

— Ależ dopiero co jeden wypileś, rozchorujesz się, nie można tyle pić naraz.

— A wielbłąd ile pije na zapas?

Kierownik roześmiał się.

— Skąd ci do głowy przyszedł wielbłąd?

— Bo pani mówiła, że będziemy jechać przez pustynię i że tam nie będzie wody — tłumaczył obrażony Romus, po czym wykręcił się na pięcie i popędził do samochodów.

Wyprawa ruszyła.

Za Kuczaniem, perską miściną, którą konwój nie zatrzymując się minął, droga zaczęła opuszczać się w dół i prowadzić przez coraz bardziej pustynne okolice. Skąły ustąpiły miejsca pofalowanej gliniasto-piaszczystej równinie. Zrobiło się nagle rudo, słońce wyblakłe z trudem przebijało promienie przez brudne, beżowe woale. Upał był coraz dokuczliwszy.

— Psia krew! Zanosi się na burzę piaskową — zaklął kierownik i zatrzymawszy samochody, polecił

zapiąć szczelnie brezentowe budy. Szoferom przykazał jechać blisko jeden za drugim, nie zatrzymując się, dopóki niebezpieczeństwo nie minie. Samochody na nowo ruszyły, a przestraszone dzieci ucichły i siedziały skulone na swoich miejscach. Groźnie przedstawiał się widok na zewnątrz bud. Słońce przysłoniła olbrzymia ruda ściana, pędząca wprost na samochody. Suche gorąco uderzyło w nozdrza.

— Zasypie nas, psia krew, jeśli wiatr się nie zmieni — klął pod nosem pan Dajek.

Koła ciężkich wozów grzęzły w lekkim, ruchliwym piasku, ziemia falowała, drogi nie było widać. Wysychało boleśnie w gardle i nosie, a oczy piekły dokuczliwie. Pył piaszczysty wciskał się wszystkimi szparami, przewiązano więc dzieciom usta wilgotnymi chustkami. Wielka ruda ściana zbliżała się z minuty na minutę, wiatr z zaciekłością bił piaskiem o samochody, złowrogo sypiąc i szeleszcząc nim po brezentowych budach. Motory jęczały i grzały się na dużych obrotach. Pociemniało.

— Pod Twoją obronę — zaczęły modlitwę wystraszone, z trudem oddychające dzieci.

Mocniej teraz biło piaskiem z prawego boku, wiatr nacierał z taką siłą, że samochody chwiały się, bliskie przewrócenia. Ruda ściana wspięła się do skoku. Zaświstało, jak gdyby w jednej chwili wszystkie piaski pustyni podniosły się w górę i zaczęły swój szalony taniec. Na krok niczego nie było widać.

Kierowcy potracili siebie z oczu, jechali na oślep, wiedzeni zwierzęcym instynktem, budzącym się w każdym człowieku w chwili niebezpieczeństwa. Świadomość, że każde zatrzymanie się samochodu grozi zasypaniem przez wirujący piasek, trwożą uderzała w mózgi jadących.

Nagle ruda ściana zaczęła się łamać i usuwać w bok, piasek zaczął opadać i po chwili można już było widzieć tarczę słońca.

— Pieska burza — denerwował się w swojej lorze pan Dajek — musiała się akurat zaprezentować dzieciom, jak gdyby nie mogły bez niej żyć.

Ukazała się linia horyzontu, łącząca niebo z ziemią. Niebezpieczeństwo minęło, samochody wyjechały z pustyni na równą drogę.

Kierownik zatrzymał konwój. Doktor rozpoczął inspekcję, a ksiądz obchodził lory, pocieszając wystraszonych. Dzieciaki oblepione rudym pyłem na spoconych buziach, wyglądały jak gliniane figurki.

Po krótkim postoju ruszono dalej w drogę. Pozostał tylko samochód z bagażem, którym kierował pan Dajek. Zatrzymało go uszkodzenie motoru, wymagające niewiele czasu do naprawy i pan Dajek obiecywał wkrótce dogonić resztę konwoju.

Zapadł zmierzch. Zmęczone dzieci zaczęły szukać sobie wygodniejszych pozycji do spania. Zasypiały, kiwając główkami w takt podrzucania samochodów i

nie spostrzegły nawet, kiedy wjechano do Meszhe-
du. Konwój zatrzymał się przed budynkiem, przeznac-
zonym na sierociniec.

Pan Dajek, który dowlókl się do Meszhe-
du, dopiero o świcie, opowiadał dzieciom jak to, gdy
naprawiał wóz, przeszedł koło niego na pięć kroków
wielki królewski tygrys, szczerząc kły. — Wskoczy-
łem do samochodu, zapuściłem motor, tygrys zląkł
się i uciekł — kończył opowiadanie pan Dajek, za-
adowolony, że dzieciaki słuchają go z błyszczącymi
od ciekawości oczyma. — Kochane dzieciaki — myś-
lał wzruszony.

Ach, — pisał później w swoim dzienniczku mały
Arturek — myśmy widzieli już burzę piaskową,
ale pan Dajek widział aż tygrysa.

SIEROCE OGNISKO

Ostro rysowały się na tle płomieni cienkie szyje
i ogolone głowy dzieci.

Czerwony pas, za pasem broń

I topór, co błyska z dala,

Wesoła myśl, swobodna dłoń —

To strój, to życie górala !

Śpiewały, kołyszając się miarowo, zapatrzone w
ognisko, które otoczyły kołem. Przeniosły się my-
ślą do Polski, do tej najdroższej, dawno niewi-
dzianej.

Dla Hucuła nie ma zycia,

Jak na poloninie,

Gdy go losy w doly rzucą,

Wnet z tęsknoty giuie.

Zapatrzyły się w ognisko, snując każde swoją
nitkę wspomnień i rozważań. Rzucił je los na obcą
ziemię, za serca chwycił smutek, tak wielki jak
nigdy wpierw, „ginęły” z tęsknoty do łąk, na
których rosną kaczeńce... do zbóż, w których
można zrywać maki i chabry... do rowów przy-

drożnych, błękitniejących niezapominajkami, do znanych sobie rzek i rzeczulek, do lasów i dróg, do ujadających Burków, i kotów siedzących przed progiem, do boćka na drzewie, do jaskółki w locie, do wróbla ćwierkającego — do wszystkiego co polskie i tak sercu drogie.

W Rosji żyły w ciągłej obawie, bały się nawet wspomnień. Tam panował nad nimi wszechwładny strach i dopiero tutaj, tego wieczoru, wyzwoliły się od niego, dały upust tęsknotom.

— Jakie te dzieci są biedne. — szepnęła do męża konsulowa brytyjska — tęsknią za domem takim, jakim go już nigdy nie ujrzą.

— Poor children, poor children — wzdychał konsul amerykański.

Jego Ekscelencja Biskup przysłonił sobie oczy ręką i pograżył się w rozmyślaniach nad niedolą tych maleństw.

Przedstawiciel władz sowieckich siedział sztywny, sztucznie uśmiechnięty. Był zły, nie wzruszał go śpiew, ani wygląd dzieci. — Niepotrzebnie wypuszczono je — myślał, i kątem oka lustrował wszystkich honorowych gości. Bezspornie byli oni pod wrażeniem dzisiejszego wieczoru, zła to propaganda dla Związku Sowieckiego. Nie powinni więc sierot wypuszczać.

Konsul angielski spod oka obserwował sowiecką koleżkę. Czarujący uśmiech nie oszukał go, odgadł jego myśli.

A sieroty perskie, dla których urządzone było ognisko, siedziały pochłonięte widowiskiem, wpatrując się z zachwytem w skaczące płomienie i tańczące na jego tle figurki.

Nie załowały już, że mieszkały trochę niewygodnie, oddawszy lepsze budynki swego sierocińca przyjezdnym dzieciom.

Piosenka polska to rzewna, to znów skoczna i zawadiacka, śpiewana dziecięcymi głosikami, brzmiała sprawnie wokół ogniska, syconego sandałowym drzewem. Pierwszy to chyba raz w dziejach, zmienne losy zagnały góralskie melodie i kujawskie tańce na tak odległą obczyznę. Mali wykonawcy czuli, że przy tym ognisku muszą patrzącym na nich gościom i gospodarzom uzmysłwić i pokazać to, co mają najświętszego — Ojczyznę. Całe więc swoje gorące serce włożyli w taniec i śpiew i to sprawiło, że ten popis dziecięcy urósł do rozmiarów misterium. Zaproszeni i przygodni widzowie chłonęli ten nastrój i poddali się sile uczucia, bijącej od małych wykonawców.

Wśród śpiewów ognisko dogorywa, program się kończy. Goście zaczęli się zęgnąć, dzieci polskie parami pomaszzerowały, jak żołnierze do bramy wyjściowej i tam ustawiły się w dwa szpalery.

Powiewają chorągiewki białe-czerwone.

— Sweet girls, nice boys — mówi wzruszona, kiwając ręką na pożegnanie, konsulowa brytyjska.

Samochody odjeżdżają, oficjalna część uroczystości skończyła się.

Perskie sieroty natychmiast obsiadły ognisko i śpiewają teraz po swojemu, zawodząc jękliwie. Nie rozumieją piękna ich melodii polskie dzieci, ale słuchają z zaciekawieniem. A pieśń zrodzona w pustyni, wznosi się nieprzewidzianą kadencją i zawisa w głębokiej ciszy wieczoru, jak gdyby czekała na echo. Jednostrunny akompaniament podchwytuje jej rytm zawiły, aż znów głos oderwie się od strun i wsparty tylko klaskaniem w dłonie dziecięcej gromady, wyprowadzi motyw aż pod gwiazdy.

Trzeba się rozejść. Opiekunki odprowadziły dzieci do sal i dopilnowały, by spokojnie ułożyły się do snu. Ale sen po wieczorze pełnym wrażeń nie chciał przychodzić. Gdy tylko pani Stefania, zwiędzona pozorną ciszą zamknęła drzwi za sobą, zaczął się ruch w sypialni.

— Ty będziesz enkawudzista, a ja wujek — namawiał Zbyszek braciszka — ty będziesz mnie go-
nił, a ja będę uciekał, jak wujek z pociągu.

— Ja chcę być wujek — dąsał się Tadzik.

Zbyszek ustąpił bratu. Zabawa przedstawiała się zbyt interesująco, by się jej wyrzec dla tej, czy innej roli. Sprężynowe materace, po których można z łóżka skakać, podrzucały bajecznie, kołysząc zarazem leżących na nich kolegów. Zbyszek więc ustąpił bratu, a cała sala jednomyślnie zgodziła się i

zabawę rozpoczęto, z tym zastrzeżeniem, że krzyczeć, choćby nie wiem co, nie wolno. Krzyk mógłby sprowadzić starszych, a skakanie po łózkach było zabronione.

Start odbył się wspaniale. Tadzik zeskoczył ze stołu-pociągu na łóżko-tor kolejowy — i zaczął uciekać, za nim z zapalem biegł Zbyszek, przeskakując z materaca na materac. Już już miał złapać brata, gdy ten dał wielkiego susa, źle obliczył odległość i wpadł pomiędzy dwa łóżka, uderzywszy głową o kant jednego z nich. Za nim zwałił się, rozbijając sobie kolano, Zbyszek. Ból był duży, ale przerażenie na widok krwi jeszcze większe, więc pomimo umowy, że nie wolno krzyczeć, poszkodowani darli się ze wszystkich sił.

— Co się stało? — zapytała wchodząc przestraszona opiekunka i nie czekając wyjaśnień, zaprowadziła okrwawionych chłopców do ambulatorium.

— Więcej krzyku, niż to warto — obmywając krew orzekła lekarka. — Małe rozcięcie skóry na czole i podrapane kolana.

— Czy prosiłem was, żeby nie skakać po łózkach? — pytał delikwentów ksiądz.

— Tak — odpowiedzieli płaczkliwie.

— Czy mówiłem wam, że możecie skacząc zlecieć z łózek i porzobić sobie głowy?

— Tak.

— A czy usłuchaliście mnie?

— Nie.

— No to czego się mazgaicie?

— Bo boli — odpowiedział Tadzik, trzymając się za głowę.

— Jak nie słuchaliście dobrych rad, niech was teraz boli. A nie płakać mi, bo wam skórę złoje.

Odeszli pełni skruchy do swojej sali, obiecując na przyszłość poprawę.

Również i następny dzień wspaniale zapisał się w pamięci dzieci. Uprzykrzona godzina ciszy została przerwana przez niespodziane wydarzenie i można było bezkarnie biegać i zaglądać przez dziurkę od klucza. Przed sierociniec zajęchała najpierw czarna limuzyna i wyskoczyli z niej boy'e niosąc paczki podłużne, kwadratowe, okrągłe, przeróżne, które składano w jadalni. Za nimi po chwili weszli tragarze, niosąc pełne kosze owoców. Gdy ci wyszli, zajęchała półciężarówka, z której wyładowano duże drewniane paczki. Ciekawość dzieci doszła do szczytu. Najwybujałsza nawet fantazja nie podsuwała im żadnego rozwiązania tajemnicy tych drewnianych skrzynek. Gorzały więc oczy i płonęły policzki.

— Ojeja, ojeja — wzdychała Kaziunia, zaglądając przez dziurkę od klucza na korytarz.

— W pierwszych som ciastka — mówił, pociągając po konesersku nosem, Józek Czyńczyk.

— Co może być w tych dużych drewnianych paczkach? — głowiła się Milla.

Podniecenie rosło. Starsze dzieci były w drodze wyjątku dopuszczone do sekretu, bowiem pomagały w rozpakowywaniu. Ale tak zwanej „smarkaterii”, długo jeszcze po godzinie ciszy nie pozwolono wejść do jadalni, za której drzwiami ukryte były wszystkie tajemnice. Sezam otworzył się dopiero wtedy, gdy nadeszły, zaproszone przez księdza, perskie sieroty. Dzieci oniemiały z zachwytu. Stoły uginały się pod tortami i przeróżnego rodzaju słodyczami, ilość zabawek, nagromadzona w pokoju, przyprawiła je o zawrót głowy, rozbiegane oczy latały z przedmiotu na przedmiot, nie mogąc zrazu objąć wszystkiego.

— To dostaliście — informował ksiądz, pokazując na zabawki — od konsula amerykańskiego, (tu wyjaśniła się zagadka tajemniczych paczek). Słodycze od Jego Ekscelencji Biskupa. Owoce od tutejszego burmistrza, a torty z polskimi i angielskimi chorągiewkami od konsulostwa brytyjskich.

Szybko nasyciły się dzieci ciężkimi, wschodnimi słodyczami, a stoły ciągle jeszcze uginały się pod chałwami, rahatlukum i ciastkami, budząc w łakomczuchach żal.

— Plose pani, plose pani, — skarżyła Zosia — a Romek to chowa sobie ciastka pod bluzkę.

— Kłamiesz — zaprzeczył Romek, cały czerwony. — Gdzie mam? — zapytał pokazując puste ręce, a ciastka, nieprzytrzymane, posypały się na ziemię spod jego bluzki.

— Skarżypyta bez kopyta.

— Beee — pokazała mu język Zosia i odeszła.

Mały krasnoludek Genia, z determinacją wpychał sobie paluszką do buzi kawałek tortu, którego nie mógł już zjeść.

Pod koniec podwieczorku przybyła konsulowa brytyjska i została do późnego wieczoru w sierociniec, bawiąc się z dziećmi w przeróżne gry i zabawy. Odtąd stała się codziennym gościem.

Fama o „beautiful, wonderful, marvelous” sierotach i ognisku ; urządzonej przez nie, dotarła do Teheranu, skąd zaczęły napływać nowe prezenty dla dzieci.

Sowiecki przedstawiciel, obserwujący z daleka lecz bacznie, tych pierwszych uchodźców polskich z ZSSR, był zły, był bardzo zły. Współczucie, które sieroty budziły u wszystkich, było mu nie na rękę. I oto ukazała się pewnego dnia w prasie perskiej i hinduskiej wzmianka, że rodzice tych biednych dzieci zostali zamordowani przez Niemców. Sowiety zaś z litości przygarnęły sieroty i obecnie ułatwiają im wyjazd do Indii, gdzie zajmie się nimi Czerwony Krzyż. Dzieci w myśl tej wzmianki są we wspaniałej kondycji, wesole i zdrowe i z wdzięcznością wspominają pobyt w Rosji.

— Czy pan to czytał? — zapytała oburzona pani Anna, podając kierownikowi gazetę.

— Czytałem.

— No i co?

— Interweniowałem już w tej sprawie — powiedział kierownik. — Anglicy radzą jednak nie zadrażniać stosunków z Sowietami przez dawanie sprostowania, bo może to się źle odbić na dalszych polskich transportach z Rosji, których mogą po prostu nie wypuścić.

Perski sierociniec, którego pawilon centralny odstąpiono ekspedycji, był miłą przystanią dla podróżników. Gospodarze z radością oprowadzali nowych przyjaciół po budynkach, warsztatach i urządzeniach zakładu, który w dużej mierze był samowystarczalny, produkując na sprzedaż nie tylko przedmioty codziennej potrzeby, ale i pięknie wykonane hafty, roboty snycerskie i jubilerskie.

Przyjaźń pomiędzy sierotami obu narodowości, mimo że porozumiewały się ze sobą tylko na migi, została łatwo zawarta i przypieczętowana w wielu wypadkach zamianą czapek, lub innych osobistych skarłów.

Zbliżał się czas wyjazdu, formalności potrzebne dla przebycia granicy indyjskiej zakończono pomysłnie, okres kwarantanny tyfusowej minął, a czas naglił.

Gdy nadszedł dzień pożegnania, sypały się kwiatki, płynęły słowa nizane jak perelki na nitkę sympatii.

— Oby Bóg Wszechmogący wrócił wam wolną Ojczyznę i byście w niej zdrowo rośli, jak palmy u życiodajnego źródła — życzył wyjeżdżającym perski dyrektor sierocińca.

Samochody wyremontowane ciągnęły rażno, prycał tylko kuśtykając nieco, donajęty autobus dla chorych dzieci. Za miastem uformował się konwój, a pan Dajek z groźną miną pouczał szoferów.

— Uważać na każdym zakręcie, nie jechać zbyt szybko, hamować motory i nie zjeżdżać z góry na złamanie karku, używać umiejętnie hamulców żeby samochody nie zarzucały na wirazach.

— W Imię Ojca... — przezegnał wozy ksiądz i ruszono.

Przed nimi były do przebycia urwiste góry, gdzie droga wiodła serpentynami wśród przesmyków i przełęczy, niebezpiecznych dla ciężkich maszyn.

Góry w Persji mają dwa oblicza. Na szczytach przeraża ich dzikość i niezyczliwość dla wędrowca. Zbocza skaliste urywają się tu nagle, ukazując oczom bezdenne przepaście. — Tam spadniesz, tam czeka cię śmierć — zdaje się wołać groza z załomów, wzdłuż których pełźnie wijąca się droga. Roślinności tutaj nie ma, a nagle szczyty i zbocza, spalone jarzącym się na bezchmurnym niebie słońcem, potęgują echem złowrogim najdrobniejszy nawet dźwięk. W południe, gdy skracają się cienie, każda żywa istota zdaje się być intruzem, skazanym na śmierć wśród

tańczących w wielokrotnych odbiciach promieni, oczy mrużą się i nie widzą barw. Tylko rude sępy kołują bezszelestnie po niebie, wypatrując w tej powodzi jarkości, padliny.

Dzieci bały się gorejącej w blasku, pustynnej górskiej samotni, toteż z radością powitały zjazd na równinę, skąd ukazało się im inne, łagodniejsze oblicze górskiego krajobrazu.

Szczyty widziane z perspektywy nie trwożyły już, budziły zachwyt. Wyglądały teraz jak gdyby osiadłe nie na ziemi, lecz na dnie spokojnego morza. Otoczone wibrującym, opalizującym powietrzem, lśniły się i mieniły wszystkimi barwami tęczy. Skąły przed chwilą jałowe i groźne, zdawały się być teraz wysadzone turkusami, szmaragdami, ametystami, a łańcuch górski, widziany z daleka, sprawiał wrażenie fantastycznego diadem, zdobiącego czoło ziemi. Nie można było oczu oderwać od tego zaczarowanego widoku. Dzieci przejęte jego pięknem, szukały we wspomnieniach nadających się porównań.

— Nad jeziorem Narocz, o zachodzie słońca też spadała taka kolorowa mgła, — mówił Wincuk — która zakrywała drugi brzeg i wyglądało to wtedy jak morze, a nie jezioro. Ślicznie było, tak jak tu, a może i jeszcze ładniej.

Wjechano w wąwóz zielenisty i bajka prysła. Droga była wąska i wyboista. Wkrótce zatrzymano się na nocleg na perskim wojskowym posterunku, który nie obfitował w żadne atrakcje.

Rano za to duży Józek szeptał do ucha zebranych chłopcom podsłuchaną, sensacyjną wiadomość:

— Będą na drodze rozbójnicy i mogą na nas napaść.

— Prawdziwi? z brodami? — zapytał Karolek, którego brat Andzik umiał na pamięć „Powrót Taty”.

— Może i z brodami — powiedział Józek.

— Na pewno z brodami, bo gdzie by tu się mogli golić — rezonował Krzysztof.

— „Brody ich długie, kręcone wąsiska,

Wzrok dziki, suknia plugawa” — deklamował Andzik.

„Noże za pasem, miecz u boku błyska,

W ręku ogromna buława” — dokończył z groźną miną Bobiś.

— Ja się boję — zaczął płakać mały Piotruś.

— Cy one kradnom, cy tylko zabijajom? — niepokoił się Józek Czynczyk.

— I kradną i zabijają, a czasami nawet zdzierają skórę i posypują solą — straszyl duży Józek.

— To ja będę krzycał — powiedział Karolek.

— To ci język obetną.

— To ja ich zascełę — dziarsko zapewniał malec.

— Puf, puf — zaczęła się ustna strzelanina, w której brali udział wszyscy mniejsi chłopcy. Strach

ich jednak był większy od animuszu i za chwilę przycichli, niepewnie patrząc dookoła, czy gdzieś nie ukazą się zbójcy.

Wśród dziewcząt było także wielkie poruszenie.

— Co zrobisz jak na nas napadną? — pytała Sabinę Terenia.

— Będę się modlić.

— Ależ zbójcy to źli ludzie i nie wzruszą się modlitwą, przeciwnie, tym bardziej cię zamordują. Słyszałam, że raz napadli na klasztor i mimo, że mniszki modliły się zamknięte w kaplicy, zbójcy zrabowali skarby, a mniszki wyciągnęli, męczyli i pozabijali je.

— E, to taka powiastka — skrzywiła się Irka.

— Wcale nie, to prawda. Opowiadała to mojej babce przeorysza tego klasztoru, której udało się zbiec.

— Ale dlaczego mieliby nas mordować? W klasztorze były skarby, a my jesteśmy biedne, jak myszki kościelne — wtrąciła Ala.

— Bo są rozbójnikami i mordują dla przyjemności — odparowała Terenia.

— Buu... buu... — straszyla małe współtowarzyszki Kaziunia, nakrywszy twarz szalikiem. — Buu... ja jestem rozbójnik i wszystko wam zabiorę — wołała, pewnymi ruchami zabierając dzieciom chusteczki do nosa i różne drobiazgi. — Buu... buu... — straszyla, chowając zabrane rzeczy za sobą.

— Ja nie cie, ja nie cie, Genka się boi, sii, sii. . . — pisał mały krasnoludek.

Dzieci tak się przejęły wiadomością o rozbójnikach, że nie zauważyły, jak minęły godziny jazdy i zatrzymano się na krótki postój obiadowy. Kierownik przynagłał. Otoczony wychowawczyniami i szoferami, udzielał instrukcji przed dalszą drogą.

— W wąwozach, przez które będziemy teraz przejeżdżali, grasują bandyci, rekrutujący się z żołnierzy perskich, którzy po rewolcie zbiegli z oddziałów bojąc się kar. Są oni uzbrojeni. Nie przypuszczam, aby nas zatrzymali, bo napadają raczej na samochody z towarami, ale ponieważ władze perskie ostrzegły mnie o niebezpieczeństwie, lepiej więc zastosować wszystkie środki ostrożności. Po pierwsze, panie Dajek, proszę na każdym samochodzie wywiesić chorągiewkę Czerwonego Krzyża, po drugie, auta mają jechać tuż za sobą, nie zważając na kurz. Nie zatrzymywać się na żadne wezwanie. Czy motory są w porządku?

— Tak — odpowiedział Dajek — ale jeszcze je sprawdzę.

— Niech pan sprawdzi również światła.

Dajek z szoferami odeszli do wozów, a kierownik zwrócił się do opiekunek.

— Do aut, w których jadą małe dzieci, siadają po dwie panie. Jedna z dziećmi, druga przy szoferze. W innych samochodach panie siadają koło szoferów i będą uważały, by ci nie stracili głowy i jechali

jeden za drugim. Na wypadek zatrzymania wozu przez dużą grupę rebeliantów, tłumaczyć im należy po francusku, że jadą dzieci, a auta należą do Czerwonego Krzyża i że nie wieziemy żadnych towarów. Nie wysiadać z samochodów pod żadnym pozorem. Proszę uprzedzić dzieci, by zachowały się spokojnie. W następnym miasteczku dostaniemy angielski konwój wojskowy. Na razie jest przed nami dobre trzy godziny jazdy po złej drodze, wąwozami. Ja będę jechał pierwszy, Dajek ostatni, a autobus z chorymi dziećmi i doktorem weźmiemy w środek.

Wykonano wszystkie zlecenia i ruszono. Wieczór był wyjątkowo ciemny, niebo bezgwiazdne. Mgła i kurz zasłaniały widoczność, kręte wąwozy i zła droga utrudniały jazdę, mimo to samochody posuwały się sprawnie jeden za drugim. Mijały godziny pełne napięcia, nie jednak nie mąciło przebiegu podróży.

Wtem autobus wiozący chore dzieci, a jadący pośrodku konwoju, zatrzymał się, droga zaś była zbyt wązka, by można było go wyminąć. Auta jadące za nim musiały stanąć. Dzieci pobladły.

Z rowów, w kręgu światła rzucanym przez reflektory, zaczęły wysuwać się niesamowite postacie. W mig zaroilo się od nich, wyrastały po prostu spod ziemi, krążąc jak stado głodnych wilków wokół samochodów. Poszarpane ubrania, strzępami wiszące na nich i obrosnięte twarze nadawały im

fantastyczny i nierealny charakter — tak właśnie mogli wyglądać zbójcy Karolkowi. Niedbale wsunięte za pas rewolwery lub przerzucone na sznurkach przez ramię karabiny, dawały im wygląd zawiadziacki. Fantastyczne postacie zajrzawszy do środka wszystkich aut, zeszyły na bok drogi, przyglądając się szoferom, reperującym uszkodzony autobus. Dwie gumy były rozcięte, a jedna tylko była w zapasie, trzeba więc było latać. Pod ostrzałem tylu bandyckich spojrzeń, szoferom wypadły narzędzia z trzęsących się rąk.

Kierownik nie dostrzegłszy umówionych sygnałów, jechał spokojnie naprzód, zadowolony, że podróż odbywa się bez incydentów. Po wyjeździe z wąwozu zatrzymał się dla sprawdzenia, jak się czują dzieci, a widząc tylko pięć aut, zapytał przerażony szofera z ostatniej jadącej za nim lory:

— Gdzie autobus i reszta samochodów?

— Zostały.

— Jakto? Kiedy?

— W połowie drogi.

— Czemu nie dałeś umówionego sygnału? — złościł się wystraszony nie na żarty kierownik.

— Dawałem, cały czas, ale w takiej mgle i przy takiej drodze mógł pan nie zauważyć — tłumaczył się niemniej wystraszony hinduski kierowca.

Nigdy żadne pół godziny nie wydawały się kierownikowi tak długie jak te, które wyznaczył sobie

na czekanie na pozostałe auta. Wskazówki po prostu nie posuwały się, parę razy przyłożył nawet zegarek do ucha dla sprawdzenia czy idzie. Wreszcie ukazał się nadjeżdżający samochód.

— Gdzie reszta? — z niepokojem zapytał kierownik.

— Reszta jedzie za mną, autobus miał defekt i nas zatrzymał. Pan Dajek kazał mi przesiąść się do lory z rzeczami, wyminąć jak się da inne wozy i jechać prędko, by zawiadomić pana. Niedługo będą i oni, o ile autobus znów nie nawali.

— Bandy nie spotkaliście?

— Owszem, ale nie nam nie zrobili, przyglądali się tylko.

— Dzięki Bogu — jęknął z ulgą kierownik.

Dowlokły się wreszcie i pozostałe auta i po krótkim czasie ruszono w dalszą drogę. Tylko godzina jazdy pozostała jeszcze do Zahedanu, ostatniego miejsca postoju przed granicą indyjską, ale właśnie ta godzina mogła obfitować w dramatyczne przygody. Na tym bowiem odcinku, prawie co dzień zdarzały się krwawe napady. Bandy nie bali się atakować nawet wojskowych angielskich transportów, wobec czego władze wojskowe angielskie, stacjonowane w tych okolicach, stosowały wszelkie ostrożności i przy mijaniu posterunku straży drogowej, przydzieliły ekspedycji uzbrojonych konwojentów. Wprawilo to dzieci w paniczny lęk przed czymś okropnym, nieznanym, przyczajonym na nie w ciem-

nościach. Droga była wąska i wyboista, samochody podrzucały silnie. Mniejsze dzieci spadały z piskiem z ławek, tłukąc sobie łokcie i kolana. Jechano w uczuciu przykrej niepewności, licząc każdą minutę przebytej drogi.

Wtem huknął strzał. Ludzie odruchowo pochylili głowy. Po pierwszym strzale padła ich cała seria i ziemia grudkami odpryskiwała sprzed aut.

— Celują do opon — pomyślał Dajek.

Konwojenci dali parę salw w powietrze, po czym nastąpiła cisza, w której słyhać było tylko warczenie motorów. Jechano na pełnym gazie. Do końca jazdy było jeszcze dwadzieścia minut. Z boku, z ciemności znów padły strzały. Lepka mgła czepiała się reflektorów, mącąc światło. Trach, — kula trafiła w latarnię. Trach — w drugą. Dajek, klnąc, jechał bez świateł.

— Dobrze — myślał — że wiozę graty, a nie dzieciaki, jak skręcę kark, to sam, nie wielka będzie strata, dziura w niebie się nie robi. — Kierował się teraz tylko błyskami świateł, rzucanymi przez samochody, jadące za nim.

— Jeszcze dziesięć minut, jeszcze pięć — obliczały, patrząc na zegarki wychowawczynie, uspakajając w ten sposób dzieci.

Wreszcie ukazał się Zahedan. Szybko przejechali przez małe miasteczko i zatrzymali się przed białym pałacem. Uprzejmi perscy gospodarze, którzy

odstąpili przejezdnym swój dom, wprowadzili wyśiadających przybyszów do środka.

Dzieci chcą tylko spać, są bardzo zmęczone, ostatnie godziny jazdy wyczerpały je nerwowo zupełnie. Nie zachwyca nikogo bijąca w ogrodzie fontanna, ani olbrzymia, centralna sala. Legły niemyte na perskie dywany, którymi zasłane były podłogi i zasnęły snem twardym, strudzonym. A dywany były stare, puszyste, wspaniałe kolorowe, pełne egzotycznych motywów, i dopiero ranek i wyspane oczy pozwoliły do syta nacieszyć się ich pięknem. Narreszcie pod koniec podróży przez Persję, urzeczywistnił się dla dzieci, tak pełnych przebogatej fantazji, chociaż mały fragment z wschodnich bajek, fragment o „zaczarowanych miejscach”.

Fontanna w pałacyku w Zahedanie urzekła je.

— W fontannie w ogrodzie coś w nocy śpiewa — szeptały sobie na ucho rozegzaltowane panienki — śpiewa, a czasami zawodzi.

— Może to nie jest fontanna, lecz zaklęta przez czarownicę piękna odaliska, która skarży się w ten sposób na swój los. Gdy wieczorem przy księżycu zajrzałam w głąb wody, — fantazjowała dalej Irka — zobaczyłam tam jakąś twarz srebrzystą, przestraszyłam się i uciekłam do sali, ale widziadło to nie opuszcza mnie.

Fontanna była rzeczywiście piękna. Trzy kondygnacje, kręcące się każda w inną stronę, szmerząc rospylały wodę i tworzyły przejrzyste, mieniące się

welony, od których bił miły chłód. Na dnie basenu, na złotym piasku, spoczywały przeróżne miniaturowe cuda: pałacyki koralowe i z masy perłowej, złote okręciki weneckie z żaglami. różne stwory bursztynowe, turkusowe i rubinowe, oraz rośliny zrobione z zielonego szkła. Złote rybki, pływając mąciły wodę, co czyniło obraz jeszcze bardziej nierzalnym. Srebrne spojenia białego, marmurowego basenu fosforyzowały blaskiem, gdy słońce lub światło księżycowe zaglądało w jego toń. Śnieżnobiałe gołębie obsiadały dookoła fontannę, gruchając beztrudko. Dzieci nie mogły oderwać się od tego cudu, tworząc sobie bajki o każdym przedmiocie, leżącym na dnie basenu.

Dużo było amatorów na śliczne okręciki i pałacyki, które tak by się do zabawy przydały. Przy basenie musiano więc wartę poruczyć starszym dzieciom, by złote rybki spokojnie mogły pływać, a ponętne skarby z dna dalej na nim spoczywać.

Gołębie, płoszone raz po raz przez biegające dzieci, niespokojnie biły skrzydłami, przelatując z miejsca na miejsce.

— Cy to jus Indy? — pytała panią Stefanię Kaziunia.

— Nie dziecko, to jeszcze Persja.

— To my jus nie pojedziemy do Indów?

— Pojedziemy.

— A kiedy?

— Jutro, pojutrze, jak podstawią pociąg dla nas. Bo przez Indie będziemy już jechać pociągiem.

— Kulej! — ucieszyła się Kaziunia, której jazda samochodem nie przypadła do smaku. — Uuu...! zakrzyknęła sobie z uciechy.

— Uuu... — odpowiedziała jej zaraz Marcelka i rozpoczęły ulubioną zabawę w lokomotywę.

Lotem błyskawicy rozeszła się wśród dzieci wiadomość, że będą jechać pociągiem przez Indie.

— Ja bym wołała samochodem — mówiła Sabinka — można więcej zobaczyć, zatrzymać się gdzie się chce, a pociąg pędzi i mija wszystko co ciekawsze, stając przeważnie na nieinteresujących stacjach.

— Jak myślicie, jak wyglądają Indie? — pytała koleżanki Basia.

— Tatuś mówił mi jeszcze w Polsce, — odezwała się Terenia — że Hindusi mają przepiękne świątynie, robione z kości słoniowej i wysadzone drogimi kamieniami, a maharadzowie, to posiadają takie skarby, o jakich u nas ludzie nie mają pojęcia.

— Ciekawa jestem, czy maharadzowie są ładni — zastanawiała się Ala.

— Na pewno są piękni — entuzjastycznie zawołała Terenia.

— Ty byś pewnie wyszła zaraz za Hindusa?

— Wyszłabym, ale nie dadzą.

— Wyszłabyś za Hindusa? Przecież on czarny, czy żółty.

— To co, przyjechałby po mnie złotą karocą, wiodąc ze sobą słonie, objuczone podarkami. Pokłoniłby się pięknie księdzu i paniom i poprosił o moją rękę — śmiała się Terenia.

— A ksiądz przegnałby go na dziesięć wiatrów, mówiąc: „smarkata, o książkach jeszcze, a nie o zamążpójściu masz myśleć” — naśladowała mowę i ruchy księdza Ala.

— A ja odpowiem — mówiła z udaną troską Terenia — „księżę dobrodzieju, mam już piętnaście lat, zaraz będę starą panną, której nikt potem nie zechce”. — I gruchnęły wszystkie dziewczęcym, beztróskim śmiechem.

Tego dnia pecha miał biedny Zbyszek, który pod pretekstem pilnej potrzeby, w godzinie ciszy wymknął się z sali i powędrował do fontanny. Plan miał już od wczoraj świetnie ułożony, przyniósł ze sobą nawet miseczkę z wodą, postawił ją koło basenu i wziął się do dzieła. Złote rybki, niczego nie przecuwając, spokojnie wygrzewały się w słońcu. Zbyszek przycił się i już miał jedną w rękę, ale rybka wyslizgnęła się i prysnęła w wodę, a Zbyszek, straciwszy równowagę, ze strasznym krzykiem wpadł głową do basenu, zaczepiwszy się na szczęście nogami o brzeg marmurowy. Pośpieszono na ratunek i wyłowiono przerażonego chłopca. Uderzył się co prawda głową w dno, ale piasek uratował ją od rozbicia. Za karę musiał leżeć całe popołudnie i łykać nienawistne proszki.

Odjeżdżająca gromadka z zalem nazajutrz zegnała białe gołębie i zaczarowaną fontannę, z cało spoczywającymi na jej dnie skarbami. Samochody dowiozły dzieci do Nukundi, które nie jest wymarzoną miejscem z bajek, chociaż znajduje się w tajemniczych Indiach.

Nukundi, jest to mała, brudna dziura, z paroma naprędce skleconymi domkami, w których mieszkała urzędnicy celni. Suk^{*)}, z niewielką ilością sklepów, raczej straganów, żywi nielicznych mieszkańców, zatrudnionych przy urzędzie i nowo położonej linii kolejowej, łączącej Indie z Persją.

Na stacji stał już długi pociąg, z wielką lokomotywą na przedzie. Kaziunia natychmiast podbiegła do niego.

— Kulej, kulej! — cieszyła się, a oczy jej szukały eszalonu.

Krzysztof z ulgą zauważył, że nie ma ciepłuszek ze strasznymi, od zewnątrz zamykającymi się drzwiami.

— Jak duża gąsienica wygląda ten pociąg — zachwycił się Wincuk.

Dzieci podziwiałały lokomotywę, której potężne rozmiary imponowały im.

*) Suk — wschodni bazar.

— Taka lokomotywa, to dowiezie chyba na koniec świata i nie zmęczy się nigdy — mądrzył się duży Józek.

— Pewnie, taka wielka.

Ulokowano się w wygodnych, szerokich wagonach, w których ławki co prawda były drewniane, ale właśnie to, że nie były wyściełane, zabezpieczało jadących przed nadmiernym gorącem, które miało powiększać się w miarę jazdy. Wagon restauracyjny z hinduską obsługą, budzącą swym egzotycznym wyglądem zaciekawienie wśród dzieci, był ulokowany na końcu pociągu i z niego to zwinni kuchcikowie roznosili po wagonach jedzenie.

Po pierwszej kolacji, przyprawionej korzeniami na sposób hinduski, dzieci męczyło pragnienie i piekło je mocno w żołądkach.

Noc przeszła z tego powodu niespokojnie. Rankiem opuszczono Nukundi.

— Uważaj dobrze po drodze, bo może gdzieś będzie czekał na ciebie maharadza ze skarbami i słoniami — śmiała się Ala do Tereni.

— Uuu.... — pogwizdywała zawiadziacko prawdziwa tym razem lokomotywa. — Uuu....

* * *

Żołnierskie serca są zawsze jednakie. Na widok dziecka, na pewno sięgnie żołnierz stwardniałą od

karabinu ręką do plecaka po czekoladę, którą z prostotą ofiaruje malcowi. I tu, i tam, i wszędzie. Bo taki to już żołnierski obyczaj. Więc i w Indiach, gdy na którejsz ze stacyj zatrzymały się na przeciw siebie pociąg z dziećmi i pociąg z wojskiem hinduskim, rozbłysły w uśmiechu białe zęby i wyciągnęły się ciemne ręce, pełne słodkich podarków. Dzieci odwzajemniały się czym mogły, sercem i pieśnią. Rozjechali się potem w dwie przeciwne strony, pełni ciepłej sympatii wzajemnej.

Żołnierze hinduscy — i dzieci polskie.

J E R Z Y K T R E M B A C Z

W Delhi, na zebraniu Koła Pań Czerwonego Krzyża, któremu przewodniczyła lady Brands, uchwalono, że oficjalne powitanie sierot polskich nastąpi dopiero tutaj. Zawiadomiono o tym bratni Komitet w Quetcie, który w odpowiedzi zakomunikował, że wobec tej decyzji urządzi dla przejeżdżających dzieci tylko bufet z zimnymi napojami.

Rozpoczęto przygotowania. Panie jeździły z Delhi do Bombaju i z powrotem, korespondowały, telefonowały, spisywały i liczyły. Wreszcie praca była zakończona.

— Jutro o godzinie osiemnastej — zawiadomiła lady Brands zebrane na posiedzeniu członkinie Koła — dzieci przyjadą do Delhi.

W Quetcie, jak było umówione, goszczono dzieci tylko zimnymi napojami. Pragnienie i gorąco dawało im się we znaki, za ciepłe na tutejszy klimat ubrania grzały, buzie dzieci były jak piwonie, a pot kroplisty ściekał po ich twarzach i szyjach. Napoje cieszyły się dużym wzięciem, chociaż w każdym wagonie, począwszy od Nukindi, stały kubły z wodą i lodem, ale naturalnie te butelkowe, musujące, w

nos szczypiące napoje były smaczniejsze i było z tym więcej zabawy, gdyż korki tak śmiesznie strzelały, odpryskując od butelek. Romek przezornie zebrał aż trzydzieści takich świecących blaszek do zabawy na dalszą drogę, czym wzbudził zazdrość kolegów.

— Dzieci są czarujące, śpiewają hymn angielski, biedne „sweet children” — telefonowano z Quetty do Delhi po odjeździe pociągu.

A dzieci z niecierpliwością czekały na Delhi, dokąd ich pociąg miał przybyć dopiero za dwa dni, gdyż obiecano, że dostaną tam topi, prawdziwe korkowe topi*).

Jechali teraz wolno, naprzód przez górzyste jeszcze okolice; w miarę jak oddalali się od granicy perskiej, pociąg zjeżdżał w równinę. Zapadał zmierzch, rozleniwienie wisiało w powietrzu. Dzieci ziewały, pokładając się po ławkach, chętnie nie czekałyby na kolację, byle by się móc ułożyć już do snu. Były syte, przejezione. Po chudych dniach przyszły naraz zhyt tłuste.

Było to zasługą poczciwego Rangu, bo takie było imię mistrza kucharskiego, który w niewygodnej kuchni zwijał się szybko, krzycząc na powoli ruszających się trzech młodych kuchcików. Z zamilowa-

*) Topi — indyjski korkowy hełm tropikalny.

niem uprawiał on swój fach, uśmiechając się z lubością, gdy mięso rzucone na wielką patelnię kurczyło się i skwierczało żałośnie, smażone na oliwie, lub tłuszczu, którego Rangu do żadnej potrawy nie skąpił. Trzeba było przyznać mistrzowi, że smażone beefsteeki przyrządzał znakomicie, nie podając ich nigdy zbyt krwistych, lub zanadto wysuszonych.

Wszelkie interwencje lekarza transportu u hinduskiego kuchmistrza, by wprowadzić dietę bardziej higieniczną, nie odnosiły skutku. Odpowiadał on z godnością, że gotuje już dziesięć lat, że gotował w największych hotelach, a nawet w „Taj-Mahalu” w Bombaju, gdzie europejscy goście są bardzo wybredni, i że zawsze go chwalono. Twierdził, że nikt nigdy nie zachorował na jego kuchni. Dlatego właśnie on, a nie kto inny, został wybrany do gotowania dla dzieci, których młode organizmy wymagają specjalnej uwagi w doborze potraw. Dziwił się bardzo, że dzieci mają rozstrój żołądków i uważał, że musi być tego inna przyczyna, a nie jego gotowanie. Na stanowcze żądanie doktora, zgodził się jedynie stary Rangu nie używać aromatycznych korzeni, które jego zdaniem tyle smaku i pikantności dodają potrawom.

Rangu miał zwyczaj po wydaniu posiłków obchodzić pociąg i sprawdzać samemu, czy kelnerzy-kuchcikowie sprawnie podają potrawy, czy nie maczają palców w zupie, lub czy inaczej nie grzeszą

przeciw etykiecie, o którą stary kuchmistrz dbał bardzo. Wchodził wtedy z przyjacielskim uśmiechem do wagonów, po europejsku kiwając głową na powitanie. „Salam”, — witał go chór dzieciaków, które lubiły starego, widząc w nim ucieleśnienie postaci z bajek. Rangu miał na głowie duży, biały, przedziwnie okręcony turban, nosił białe, szerokie jak spódnica spodnie i białą, długą, na wierzchu wypuszczoną koszulę. Był chudy, wysoki, miał zdrowe, białe jak ser zęby, czarne, duże oczy, ciemno-oliwkową cerę i grube, mięsiste wargi. Włosów nie było widać spod turbanu.

Duży Józek twierdził, że widział na własne oczy, że ma on długie, czarne włosy, tak długie, jak dziewczynki i że związuje je wstążką i chowa pod zawój.

Za każdym pojawieniem się Rangu, oczy dzieci z ciekawością wpijały się w turban. Uplanowano nawet, żeby mu go ściągnąć z głowy i sprawdzić, czy duży Józek mówił prawdę. Bobiś jednak, aby staremu nie robić przykrości, odciągnął je od tego zamiaru, obiecując kolegom po prostu zapytać się o to kucharza. Zapytany Rangu z godnością odpowiedział, że nosi długie włosy, należy bowiem do plemienia Sikhów, którym religia zabrania się strzyć, poza tym jednak nie chciał dawać więcej wyjaśnień.

Za to Kundu, starszy z kuchcików, umiał i lubił opowiadać ciekawe historie. Był on z pochodzenia

Goa. Otoczony uważnie słuchającymi go chłopcami, opowiadał im, jak to Portugalczycy zawojowali kiedyś część Indii, nad którą roztoczyli panowanie. Powoli jednak Anglicy zaczęli ich wypierać i z wielkiej gromady rządzących zwycięzców, została nie znacząca garstka, która po dziś dzień żyje i rządzi w miejscowości Goa, od której pochodzi nazwa ich plemienia. Z początku Portugalczycy pobierali się tylko między sobą, później zaczęli zawierać mieszane małżeństwa. Kundu jest właśnie dzieckiem takiej pary, matka jego jest hinduską, a ojciec Portugalczykiem. Goa są chrześcijanami, on, Kundu, ma na imię Francis, ale wszyscy wołają go tak, jak nazywa go matka : — Kundu.

— A czy chodzisz do kościoła ? — pytały dzieci.

— Naturalnie.

— A umiesz się przezegnać ?

Kundu robił prawdziwy znak krzyża. Był on tak samo ubrany jak Rangu, tylko na głowie nie nosił turbana, lecz nakrywał ją od słońca korkowym topi, co miało podkreślać jego europejskie pochodzenie. Goa uważali się bowiem stale za Europejczyków, mimo iż skóra ich była koloru oliwkowego, jak u Hindusów, a tylko lekkie wydeście dolnej wargi nadawało im ten charakterystyczny, trochę dumny wyraz dawnych conquistadorów. Kundu mówił biegle po angielsku i francusku. Nauczył się tego, służąc u konsula francuskiego w Bombaju. Kiedy usłyszał, że poszukiwano kuch-

cików-kelnerów na przeciąg dziesięciu dni do specjalnego pociągu, którym miały przyjechać z Persji polskie dzieci, pociągnęła go żądza przygód, poprosił o urlop, zgłosił się do Czerwonego Krzyża i oto cieszy się, że jedzie z nimi. Nauczył się już mówić po polsku „dzień dobi” i „dobi wieczór”. Najbardziej jednak cieszyło dzieci uczenie Kundu powiedzenia „chrząszcz brzmi w trzcinie”. Ach, cóż z tego nie wychodziło ! Kundu syczał, krztusił się, pluł, i wszystko na nic. Nie mógł wymówić słowa „chrząszcz”. Kundu polubił gromadkę, zamierzał nawet nauczyć się polskiego i zgłosić się do sierocińca do pracy.

Szybko minęły dwa dni na tych i innych rozmowach z obsługą pociągu, na podziwianiu krajobrazu, na jedzeniu i spaniu, aż wreszcie pociąg powoli, godnie, sapiąc, wjechał na stację w Delhi.

Bielutki, w maurytańskim stylu budynek stacyjny, z kolumnami, mozaikową posadzką i złożonymi, cienkimi jak koronka kratkami, tonął w egzotycznych kwiatach o najfantastyczniejszych barwach i zapachach. Pod kolumnami stały stoły z darami, przygotowanymi na przyjęcie dzieci.

Czegoż tam nie było ! Lalki, pieski, małpki, koniki, pajace, strzelby, plasteliny, robótki koralikowe, przeróżne gry, książeczki, hełmy, wiatraczki, okręty i krokodyle gumowe, które można było puszczać na wodę i najbardziej lubiane przez chłopców „hulaj

nogi". Obok pysznił się kiosk z cukierkami, ciastkami i napojami chłodzącymi, a jeszcze dalej pociągały oczy kosze z owocami. Złote kule papai i mango piętrzyły się obok rudych pomarańcz, żółtych bananów, czerwonych rajskich jabłuszek, brązowych daktyli, oraz najprzeróżniejszych orzeszków, dużych, małych i malusieńkich. Rozchodził się stąd aromatyczny zapach, łechcący mile łakome podniebienia.

Barwnie ubrane panie krążyły po peronie, witając kierownictwo i opiekunki. Na dany przez wychowawczynię znak dzieci zaczęły wysiadać z wagonów. Parami przedefilowały przed oczekującymi je osobistościami, po czym chóralnie odśpiewały hymny angielski i polski. „Got shave di King” — przekreślała z powagą słowa hymnu mała Zosieńka, czym niesłychanie ubawiła angielskich gospodarzy, którzy śmiali się z tego do łez. Prędko wytworzyła się serdeczna atmosfera i w oczach kobiet zapaliły się iskierki czegoś więcej, niż zainteresowania. Sieroty szturmem zdobywały sympatię.

Gdy rozpoczęto rozdawanie topi, zrobiła się cisza, słychać było tylko przyspieszone oddechy dzieci, które drżącymi ze wzruszenia rękami brały podany hełm, szepcząc nieśmiało „senkju” i odchodziły zgrzane z emocji na bok, by przymierzyć upragnione nakrycie głowy.

— Moje topi lepsze — przechwalał się Zbyszek, oglądając hełm brata.

— A moje ma ładniejszą klamerkę, o! — pokazywał Tadek.

— Daj psymiezyć — zaproponował Zbyszek.

— Mas.

Zbyszkowi bardziej podobał się hełm brata, wiadomo — „cudze zawsze lepsze”, i chociaż topi Tadka na niego było za ciasne, zapragnął je mieć.

— Zamień się ze mną — zaproponował bratu.

— Nie kee.

— Dam ci topi i pomarańczę.

— Nie kee.

— To dam ci jesse i pajaca.

— Nie kee! — na pół z płaczem bronił się Tadek, próbując odebrać swoje topi od brata. Zaczęli się szamotać, ciągnąc hełm każdy w swoją stronę, aż pasek, za który trzymali, oberwał się i obaj upadli na ziemię, płacząc. Zbyszek za karę musiał siedzieć w wagonie, a Tadek dostał nowe topi „jesse lepsze”, jak mówił.

Krasnoludek Genia kręcił się znudzony na rękach trzymającej ją miss Ken. Bolała już ją głowa od przymierzania to za małych, to za dużych na nią hełmów i gdyby nie obawa przed Józkiem, uciekła by, nie wzięwszy żadnego. Zbierało jej się na płacz. — Sii... — wykrzyknęła, ale miss Ken, która nie знаła tego tajemniczego ostrzeżenia, dalej przymierzała na jej głowie topi, aż poczuła nagle

spływające po nodze dziwne ciepło, a potem jakby chłód, spojrziała — i spurpurowiała. Zaś krasnoludek Genia, nie przejęty sytuacją, dłużył sobie ze stoickim spokojem palcem w nosie. Wesołość zrobiła się wielka, panie śmiały się, opowiadając jedna drugiej przygodę miss Ken.

W wagonach kończono rozdawanie letnich ubranek i sukienek. Dzień był niezwykle upalny, i żaden, nawet najłżejszy wiaterek nie zapowiadał chłodniejszego wieczoru. Wychowawczynie były bardzo pomęczone, a dzieci ponbierane w nowe stroje i topi kręciły się, znudzone wrażeniami, po peronie.

Czarne, rozżalone oczy chłopca, z których płynęły nieustannie łzy, robiły wstrząsające wrażenie na lady Brands. Od pół godziny trzymała go na kolanach, próbując bezskutecznie wszystkich swoich uśmiechów, którymi zawsze zjednywała sobie serca dziecięce. Nie odwzajemniał ich. Płakał cicho, tragicznie cicho, nie po dziecinnemu.

— Czy mały jest chory? — spytała jednej z wychowawczyń.

— Nie — odpowiedziała zapytana.

— A czemu tak płacze?

— Nie wiemy, to jest najsmutniejsze dziecko w sierocińcu.

— Jakaż jest jego historia? — zaciekała się lady.

— Przynieśli go obcy ludzie do sierocińca w Rosji, matka jego umarła z wyczerpania w transporcie, jadącym z Jakuckiego kraju na południe, a o ojcu nikt nie wie. Jerzyk mu na imię, podobno ma dwa latka. Nazwisko Trembaez, ale to może być nieścisłe — informowała opiekunka.

— Biedny mały.

— Bardzo biedny i nie wiemy, jak mu pomóc w jego smutku.

Lady Brands zaczęła się uważnie przyglądać chłopcu. Drobne ciało, które trzymała na swoich kolanach, było tak wątłe i eteryczne, jakby za chwilę miało się rozwiać, pozostawivszy po sobie na ziemi tylko ciężkie łzy — świadectwo wielkiej krzywdy. Niejasne uczucie winy zakiełkowało w jej duszy. Próbowwała otrząsnąć się z tego; nie mogła. Uczucie to rosło, potężniało, dobijając się do jej sumienia. Przytuliła mocniej do siebie dziecko. Pragnęła, by już przestało płakać, lub płakało nie tak cicho, smutnie, bezradnie. Próbowwała uzmysłwić sobie, na czym mogła polegać jej wina. Robiła przecież co mogła, by pomóc ofiarom wojny, nie szczydziła wysiłku, pracy i pieniędzy. I teraz, w Delhi, za jej przyczyną związało się koło pań, witających dzieci. — Ej, czy to przypadkiem nie przeczulenie, wynikłe ze zmęczenia, ośwładnęło nią — pomyślała.

Gdzie spojrziała, twarze innych dzieci były ożywione, czemuż zatrzymuje się na tym jednym malcu, na tym jednym zgrzycie. Nie wiedziała czemu,

nie rozumiała, ale sumienie jej mówiło, że lzy Jerzyka są ważniejsze od radości tamtych. Zaczęły budzić się w jej pamięci dawno czytane wiadomości i ich wstrząsające tytuły:

„Krzyk kobiet z pałacej się Warszawy”.

„Apel polskich matek do kobiet całego świata”.

Czytała przecież, słyszała.

Słyszała, że dzieci polskie marzną w plombowanych wagonach, wywożone na Sybir, że giną z głodu, że dziesiątkuje je choroba i bestialstwo Niemców i Sowietów. Jakże śmiesznym i bezsensownym wydał się jej teraz cały jej wysiłek, włożony w przyjęcie dzisiejsze. Czy rzeczywiście zabawki, cukierki, ubranka mogły uszczęśliwić te dzieci? Cóż one dały im w zamian za ich sieroctwo? Cóż zrobiły one, wolne kobiety—matki całego świata, by zapobiec nieszczęściu, gdy pora jeszcze była po temu?

Nie — nie — nie.

Milczały, gdy trzeba było krzyżeć, usypiały własne sumienia pozorami dobroczynności, gdy trzeba było waleczyć przeciwko złu.

Dlatego....dlatego teraz, sieroctwo tego chłopca oskarża ją. Dlatego tak sercu ciąży każda jego łza.

Na dworcu był dalej zgiełk i ruch. Część dzieci zmęczonych wróciła do wagonów, woląc przyglądać się z okien temu, co się działo na peronie. Komentant transportu dał znak do wsiadania. Zaczęła się bieganina. Wychowawczynie i starsze dziewczęta

pomagały młodszym dzieciom w odnajdywaniu miejsc. Parę pań z Komitetu podeszło do lady Brands, przynosząc zabawki dla Jerzyka.

Odrzucił je.

— What a naughty boy — zdziwiły się.

Jedna z nich podała chłopcu słodycze, nie przyjął ich.

— Mama, mama, — zawołał z płaczem — mama, mama.

Kobiety spojrzwały po sobie: „Poor boy, poor boy” — orzekły i odeszły do innych, weselszych dzieci.

Lady Brands przytuliła małego do siebie, jak mogła najmocniej.

— Czy mogę zabrać Jerzyka? — usłyszała nagle miły głos.

Podniosła oczy. Przed nią stała blada, szczupła, dorastająca dziewczynka o ujmującym, pełnym dobroci uśmiechu. Lady Brands poczuła sympatię do tej niebieskookiej pannicy. Ileż gracji było w niej, coś nieskończenie pięknego, choć twarz jej piękną nie była; była z niej dobroć, łagodność i kobiecość. Widziała już gdzieś to pochylenie głowy miękkie, matczyne, nie mogła sobie przypomnieć gdzie.

— Ach, tak, „Pietà” Michała Anioła. Młodociana Matka Boska podtrzymuje, złożone na Jej kolana ciało martwego Chrystusa, Syna Swego.

— Czy mogę zabrać Jerzyka? — powtórzyła pytanie Sabinka

— Chciałabym chłopca zatrzymać u siebie, adoptować go — odezwała się lady Brands, dziwiąc się własnym słowom. Nie rozumiała, jak tego rodzaju decyzja mogła się u niej tak nagle zrodzić, nie pojmowała dlaczego pyta o to tę niedorosłą panienkę, jak gdyby u niej szukając rozgrzeszenia skrupułów, które się w jej sumieniu przed chwilą obudziły, i co do których wcale nie miała pewności, czy są uzasadnione.

Sabinę zabolala propozycja lady Brands, poczuła, że ta obca pani chce zabrać jej coś drogiego, kupić taką świętość, która nie jest na sprzedaż i którą handlować nikomu nie wolno.

— Ja nie wiem, czy nasz sierociniec oddaje dzieci, — odpowiedziała — nie słyszałam o tym, ale ja dokładnie nie wiem, może pani porozmawia z kierownikiem.

Jerzyk tymczasem przestał płakać i przyglądał się uważnie Sabine. Zapatrzył się w dobre oczy dziewczynki i odnalazł w nich swój dawny, zagubiony świat, odnalazł w nich ciepło matczynego spojrzenia. Zapragnął już nie rozstawać się z nim, zrobiło mu się nagle dobrze i spokojnie, przestało walić w skroniach, w głowie uczył jasność, świat zaczynał nabierać dla niego barw i zapachu matczynej piersi, matczynych ramion i oddechów. Twarz mu się zmieniła, usteczka drgały uśmiechem:

— Mama, mama! — zawołał i wyciągnął do niej drobne ramionka.

Sabinka zrobiła się purpurowa, wzięła małego na ręce pokornym, pełnym słodyczy i godności ruchem. Jerzyk szczebiotał, głaskał rączkami policzki dziewczynki, nie mogąc od niej oderwać oczu. Był szczęśliwy. Znalazł nową matkę.

— Szkoda, że Jerzyk mnie nie chce — odezwała się z zalem lady Brands.

— Ależ, proszę pomówić z kierownikiem, Jerzyk jest malutki i niczego nie rozumie, nie może sam decydować — protestowała Sabinka, ale równocześnie matczynym ruchem przytuliła dziecko do siebie, a ono w odpowiedzi mocniej objęło ją za szyję.

— Jakąż ona wspaniała, — myślała lady Brands. — Czy ty jesteś również sierotą? — zapytała Sabinę.

— Tak.

Lady Brands nie chciała już jej więcej indagować. Po cóż poruszać sprawy, którym nie można zaradzić. Spuściła ze smutkiem głowę i znów odezwało się w niej przykre uczucie winy.

Dzieci siedziały już w wagonach. Lokomotywa ostrzegawczo gwizdnęła i po chwili pociąg wolniutko ruszył.

O ile pociąg, wiozący polskie sieroty z ZSSR, witały zaciekawione kobiety, o tyle żegnały go matki, pełne serdecznego żalu i współczucia. Po-

wiewały chusteczki zebranych na peronie, a za każdym powiewem ich biegła do dzieci czyjaś serdeczna myśl, czyjeś dobre życzenie.

Dzieci odczuły ten nastrój, toteż porwały za białoczerwone chorągiewki i powiewały nimi długo przez okna, póki ostatnie budynki stacyjne nie zniknęły im z oczu.

Po raz pierwszy od dawna, tego wieczoru Jerzyk Trembacz usnął uśmiechnięty, utulony w ramionach Sabinki, która wdychała szczęśliwa, że czuła się komuś potrzebna i była oczarowana nieznanym sobie dotąd uczuciem miłości macierzyńskiej.

Czas mijał.... koła turkotały.... ciemna noc indyjska wchłoneła w siebie oświetloną gasienicę pociągu.

Jechali przez nieznanym sobie kraj — nie do swego domu, po swój los.

M A Ł P Y W O F E N Z Y W I E

W pewnej wiosce, ulubionym miejscu weekendowym Europejczyków, położonej w Pundżabie, zdarzył się wypadek, który po dziś dzień wszyscy wspominają. A było to tak.

Pewnego razu do małego bungalow, zamieszkałego przez śliczną białą panią, wpadła niewielka, szara małpka. Biała pani zrazu nie zwracała na nią uwagi, myśląc że małpka sama wyjdzie, jednak małpka była złośliwa, zakradła się do szafy i zaczęła niszczyć wszystko, drąc na strzępy piękne, kosztowne suknie. Biała pani bardzo się rozgniewała i chcąc wystraszyć z domu małpkę, rzuciła w nią talerzykiem, który trzymała w ręku. Małpka nie uciekła jednak, tylko piszcząc przeraźliwie, skakała z miejsca na miejsce, przewracając meble i drąc zasłony,

Gdy biała pani bezskutecznie uganiała się za małpką, nie mogąc jej wypędzić, posłysziała z ogrodu gardłowy krzyk i zanim się spostrzegła, do bungalow wpadło całe rozwścieczone małpie stado, demolując doszczętnie dom.

— A co się stało z białą panią? — zapytał rozemocjonowany opowiadaniem Arturek.

Eli, odchrząknawszy, poprawił sobie czarną czapkę, po czym mówił dalej głosem monotonnym opowiadaczy bajek na Wschodzie:

— Małpy zatratowały białą panią i umarła.

— Powiedziałaś, — zdziwił się Krzysztof — że tam mieszkało dużo Europejczyków, to czemu nie obronili białej pani?

— To jeszcze nie koniec mojej opowieści, — z godnością odpowiedział Eli — posłuchaj dalej, a dowiesz się mój mały przyjacielu, jak postąpili Europejczycy, zamieszkujący tam inne bungalow. Otóż, gdy sąsiadujący z białą panią Europejczycy zobaczyli stado, zaczęli strzelać do małp, ale niestety było za późno, bo bungalow było zdemolowane doszczętnie, a biała pani leżała martwa. Małpy ogarnęła panika, oszalała strachem, wyjąc, uciekały, niszcząc wszystko po drodze. W parę godzin po tym zajściu przybiegł do Europejczyków ich mały przyjaciel, mieszkający w sąsiedniej wiosce i doniósł im, że oburzona ludność hinduska z powodu sprofanowania „świętych małp”, postanowiła w nocy wymordować Europejczyków. Bo trzeba wam wiedzieć, moi biali przyjaciele, — ciągnął dalej Eli — że małpy w Indiach są przez pewne szczepy uważane za „święte” i nie wolno ich nikomu bezkarnie uśmiercać.

— No i co, no i co? — pytał z wypiekami na twarzy Karolek.

— Europejczycy podziękowali pięknie Elemu, bo takie było imię chłopca, który był z pochodzenia Parsi, obdarowali go hojnie i pokryjomu uciekli, zostawiając cały swój dobytek.

— To byczo, — krzyknął z zapalem duży Józek — dobrze że zwiali.

— Zawód tubylców, gdy przyszli i nie zastali białych ludzi, był wielki. Popadli w rozpacz, sądząc, że nieszczęście spadnie na ich wioskę za to, że nie zdołali pomścić zniewagi, wyrządzonej przez białych bóstwu, któremu małpy były poświęcone. Żyli od tej pory w ciągłym strachu przed zemstą małp, a okropną suszę, która nawiedziła ich pola niszcząc całe zbiory, przypisywali temu, że małpy wyniosły się z ich okolic.

— A biali wrócili po swoje rzeczy? — zapytał Romek, któremu nie mogło się pomieścić w głowie, jak można było zostawić rzeczy i uciec. Rzucił okiem na półkę, gdzie leżał jego dobytek, ale niczego nie dojrzał w ciemnościach, które panowały w wagonie. Pociąg stał na bocznym torze, na wysokim nasypie; od czasu do czasu, jak przez watę, przedzierał się przez ciężkie powietrze świst lokomotywy, nabierającej wodę.

— Idź, też zadajesz takie głupie pytania, — oburzył się Andzik, przejęty opowiadaną przez Ełego historią — kto by dbał o rzeczy, gdy idzie o życie.

— A dokąd się te małpy stamtąd wyniosły? — zapytał Józek Czyńczyk.

— Nie wiadomo — odpowiedział Eli.

— To może są gdzieś tutaj?

— Może.

— I mogom napaść na nas? — z trwogą zapytał Karolek.

— Moga.

— Ojej, — zaniepokoił się Romek, drżąc o swój tornistrowy handelek — lepiej żeby nie przyszły.

Trzask zamykanych w ciemności drzwi, poinformował chłopców o wyjściu Elego, który po omacku, czepiając się wagonów, podążył do kuchni.

Z całej obsługi pociągu dzieci najbardziej lubiły Elego, bo mówił on po polsku, co prawda słabo, — tyle ile się nauczył roznosząc, jako chłopak na posyłki, paczki z Polskiego Czerwonego Krzyża, — ale gdy opowiadał, łatwiej mogły go zrozumieć, niż innych.

— Dlaczego Eli nosi zawsze czarną czapeczkę, a nie topi, lub turban, jak Kundu, lub Rangu? — pytał stojącego obok brata Andzik.

— Bo Eli jest Parsem, — odpowiedział Bobiś — a Rangu mówił mi, że Parsowie noszą czarne czapeczki dla odróżnienia się od Hindusów, gdyż uważają się za coś lepszego od nich.

— Parsowie to są podobno persey Żydzi, którzy kiedyś, bardzo dawno, przybyli do Indii i tu osiedli,

tworząc nową kaste, jak Goa — mądrzyli się Franek.

— A ksiądz mówił, że to są poganie i że nie wierzą w Boga, tylko w ogień. Po śmierci to ich nie grzebią w ziemi, tak jak u nas, tylko kładą na wysokiej wieży, gdzie zlatują się specjalnie hodowane w tym celu olbrzymie sępy, które zjadają ich trupy. Podobno nieraz, jak leci taki sęp, to gubi po drodze różne ludzkie części — popisывał się swoją znajomością Józek duży.

— Brr.... wstrętne! — wstrząsnął się Krzysztof.

Zapanowała cisza.

— Spójrz tam — szturchnął Franka Bobiś, wskazując mu przez okno tajemnicze podwórze, na którym właśnie zapalono trzy kaganki. Tańczącymi cieniami migotliwie oświetlały one kolumny, otaczające podwórzec, na przemian pogłębiając, to rozświetlając jego wnęki. Na środku podwórca ustawiono trzy niziutkie stoliki, na których leżały duże, otwarte księgi; pochylali się nad nimi siedzący na ziemi ludzie, o długich włosach. Po chwili dał się słyszeć cichy śpiew, a raczej śpiewne mówienie.

— To pewnie hinduska świątynia — szepnął do Bobisia Franek. — Czytałem kiedyś, że oni się tak właśnie modlą, śpiewając.

— A czytałeś o Himalajach? Czy myślisz, że tam są naprawdę takie dziwne klasztory i tajemniczy kapłani? — odszepnął Bobiś.

— Bo ja wiem, tutaj w Indiach wszystko jest możliwe, to dziwny kraj.

Śpiew przycichł, światła na podwórku zgasły i widok znikł. Zapanował mrok, na którego tle odbijał fosforyzującą białością, wielki, o fantastycznych kształtach budynek.

— To na pewno świątynia, a ci co się tam modlili, to muszą być bramini.

— A co to bramini? — zapytał Karolek.

— To jest najwyższa kasta kapłanów — informował brata Bobiś.

— Aha — przytaknął malec, nic w dalszym ciągu nie rozumiejąc.

— A może ta świątynia jest z kości słoniowej? — wpadł nagle na pomysł Krzysztof. — Może tu gdzieś jest cmentarz słoni?

— Cmentarz słoni to zdaje się jest nie tu, lecz w Afryce — powiedział Franek.

— To słonie tu nie umierają? — zdziwił się Karolek.

— Ależ tak, — zaśmiał się Franek — ale każdy na własną łapę.

Tymczasem lokomotywa po napięciu się wody, — jak twierdziła Magdalenka — sapiąc wróciła. Światła zapaliły się. Pora była już późna, opiekunki zarządziły więc mycie, modlitwę i spanie. Ale starsi chłopcy przewracali się z boku na bok, nie mogąc usnąć.

— Jak myślisz, czy będzie szkoła w sierocińcu? — pytał po cichu sąsiada Franek.

— Panie i ksiądz mówią, że tak — odpowiedział szeptem Bobiś.

— To dobrze, bo chciałbym się uczyć.

— Chłopcy, proszę już spać. Dobranoc — uciszała rozmawiających pani Stefania.

Franuś obrócił się do ściany i ułożył do spania na dobre. Bobiś zaś rozejrzał się jeszcze, sprawdzając czy trzej jego bracia śpią. Robił to zawsze od czasu śmierci ojca, który wyznaczył go opiekunem nad braćmi i matką. — Musisz im mnie zastąpić, synu — powiedział umierając — bądź sprawiedliwy i kochaj ich bardzo, tak jak ja was kochałem.

Karolek poruszył się niespokojnie przez sen, oczy brata troskliwie spoczęły na nim. Bobiś wstał i poprawił wysuwającą się spod głowy malca poduszkę. Karolek otworzył zamglone snem oczy i uśmiechnął się.

— Pocałuj — powiedział. Starszy brat pochylił się nad nim i pocałował go. — Ach — westchnął usypiający Karolek.

Bobiś wrócił na swoje miejsce, położył się, przyknał oczy i zaczął odmawiać modlitwę za dusze zmarłych. „Wieczne odpoczywanie” — mówił z myślą o ojcu. Potem zmówił „Zdrowaśkę” na intencję matki, by do nich przyjechała. Gdzie ona biedaczka tuła się teraz i jak daje sobie radę sama w tym wrogim, obcym świecie?

— Grafinia, grafinia — przedrzeźniały ją sowieckie kobiety — na ciebie — i dawały jej do roboty najgorsze brudy: czyszczenie kloacznych dołów i wynoszenie kału. Naśmiewano się z niej, a ona wykonywała swoją pracę cicho, z nadzieją w sercu, że przyniesie może więcej chleba dla czworga dzieci. Dopóki ojciec żył, było trochę znośniej, ale po jego śmierci zrobiło się bardzo, bardzo źle. Nie dosyć, że głodno i chłodno, ale doszły jeszcze i wyzwiska, którymi ciągle ich prześladowano. Gdy Bobiś poszedł do roboty, by zastąpić ojca i walił się pod ciężarem za wielkim na jego dwunastoletnie ręce, śnieli się z niego — hrabicz, popatrz jaki delikatny. — A gdy w niedzielę matka wyprała im ubrania i przygładziła wodą włosy, wytykano ich palcami — popatrz jakie pany, hrabicze. — A przecież ubrania ich pstrzyły się takimi samymi łatanami, jak i tamtych, przecież ojciec ich woził w Wilnie, po wejściu Sowietów, piasek, siedząc na furze, by zarobić na utrzymanie rodziny. Pracował jak każdy inny, a może i ciężiej. Matka sprzątała, gotowała i prała sama. I skąd u ludzi brało się to różniczkowanie, ta złość do nich, wyzwiska rzucane pod ich adresem? Dlaczego mówiono o nim z przekąsem „hrabicz”? On czuł się takim samym jak Wincuk, Józek, czy Franek. Tak samo był sierotą, tak samo rodzice jego ciężko pracowali, tak samo bił się w Samarkandzie z bandą chłopaków o każdy kawałek chleba, nie dając go sobie wydrzeć, by przynieść

go dla chorej matki i braci. Opiekował się swoimi braćmi, jak Czyńczyk swoim rodzeństwem. Więc w czym ta różnica, o której mu nigdy przedtem nie mówiono w domu? Zaczął się nad tym zastanawiać, ale sen zmaćił mu myśli, obiecał sobie tylko, że z księdzem jutro o tym wszystkim pomówi i zasnął.

Świt szary, zaspanym okiem leniwie zaczął rozglądać się po niebie. Koła pociągu zwolniły biegu, a ożywczy poranny wietrzyk trzepotał firankami, zasłaniającymi otwarte okna.

Pani Maria obudziła się pierwsza i wyjrzała przez okno. Dzieci spały smacznie, zaróżowione ich policzki miarowo wydymały się. Mała stacyjka, na której pociąg stanął, tonęła w zieleni starych, rozłożystych drzew, po których gonily się szare, niewielkie małpki. Nie widać było ludzi, poza naczelnikiem ruchu i jego pomocnikiem. Spojrzała na zegarek, było wpół do piątej. Przed chwilą było jeszcze szaro, teraz już różowe obłoczki obsiadły niebo błękitniutkie, jak oczy dziecka po przebudzeniu się. — Jak tu szybko wschodzi i zachodzi słońce — pomyślała ziewając.

O dach wagonu zaczęło coś bębnić, jakby wysypywano nań wory kartofli. Nagle przez otwarte okna wpadły małpy, czepiając się firanek i zdzierając je z piskiem, skakały z półki na półkę, z ławki na ławkę, rzucając w siebie, w dzieci, lub na

ziemię co im pod łapy wpadło. Dzieci, niespodzianie przebudzone, zaczęły przeraźliwie krzyczeć, płakać i biec do pani Marii, której uspokajający głos zginął w ogólnej wrzawie.

Pociąg stanął. Małpy z piskiem stłoczyły się u okien, wyskakując na peron, lub czepiając się, zwisających jak sznury koło wagonów, lian i gałęzi drzew.

Wszedł kierownik transportu.

— Nic się nie stało? — spytał od drzwi, obrzucając niespokojnym spojrzeniem dzieci i smętny wygląd wagonu.

— Nic. Pokradły trochę — uspokoiła go pani Maria.

Dzieci zaś lamentowały, szukając porozrzucanych przez małpy przedmiotów.

— Banani, banani... — płakała Genia — banani...

— Cukierki... — piszczała Marcelka.

— Mańtki, mańtki — denerwowała się Zosia.

Kaziunia, przyciśnięta do ramy okiennej, z respektem patrzyła na małpie harce. A małpy siedziały już na drzewach, rzucając skradzionymi rzeczami w przechodzącego naczelnika stacji.

Dzieci z innych wagonów, zaalarmowane napadem, wychylały się z okien. Zaczęło się widowisko. Dwie małpki odbierały sobie skradzione topi, goniąc się

z piskiem po drzewach. Wreszcie jedna z nich z triumfem zawiesiła sobie na szyi wydarty rywalce hełm. Ale krótka była jej radość, topi bowiem przeszkadzało jej w ruchach i zaczęło denerwować ją. Kręciła się więc niespokojnie, przezabawnymi ruchami usiłując wyswobodzić się od niego. Gdy to nie udawało się, dała szybko nurka w dół i topi zleciało na ziemię. Dzieci zaczęły klaskać z radości, a małpka nie zwracała na nie uwagi, machnęła parę koziółków, chwyciła dopiero co odrzucone topi i zadowolona rozsiadła się w nim, jak w fotelu, zajadając ukradziony cukierek.

— Jak w cyrku, jak w cyrku — zachwycał się Krzysztof.

— Bęc — i dostał w nos skórka z banana. I on, i Józek duży, i Bobiś, i Franek, a sprawczynie tych psot, chichocząc uciekły na drzewo, gdzie zajęły się wyłuskiwaniem cukierków z kolorowych papierków, by następnie obrzucać nimi siebie nawzajem.

— Właściwie małpy to są głupie — zdecydował z pogardą Józek duży. — Zamiast jeść wyłuskane cukierki, rzucają nimi, a potem podnoszą brudne z piasku i jedzą.

Huraganowy śmiech przerwał jego wywody. Jedna z małp bowiem defilowała po peronie w majteczkach Zosi, druga zaś wciskała obydwie łapy w rękawek od sukienki, wywracając się przy tym co chwila.

Wincuk, stojący przy oknie, obserwował drzewa, których gałęzie zwisały się, jak powrozy okryte

liśćmi, a na nich huśtały się, przerzucając się z miejsca na miejsce, małpki.

— O, miałbym już teraz co opowiadać gajowemu Szalkowskiemu i folwarczynie — pomyślał.

Przypomniało mu się jak Szalkowski mawiał, że „choćby świat cały przeszedł, to takich drzew, jak w Zapródzkim lesie nie obaczy, ni kwiatów, ni meków, ni ozior”.

Może i miał rację stary Szalkowski. Wincuk zjeździł przecież już kawał świata, a nigdzie nie podobnego jak w Zapródziu nie widział. Wszędzie tu piękna przyroda, ale inna, a on tęsknił do tamtej. Brak mu było głębokich, zielonych jezior, porośniętych przy brzegach trzcinami, brak porykiwań laciastych krówek, które pasał na skraju lasu, ujadania „Podgryza” — przybłądy, obłoków wiszących nad głową i poczuł nagle bezbrzeżną tęsknotę za wszystkim dawnym, które nie było podobne do teraz. Wtem — bęc! — i małpka trafiła cukierkiem w czoło Wincuka. Drgnął przerażony. Śmiech dzieci oprzytomnił go.

— Ach — westchnął — to Indie, Indie, nie Zapródzie....

Małpki szalały, darły pokradzione sukienki i topi na strzępy i rzucały nimi ku uciechu dzieci w odjeżdżający zwolna pociąg.

— Uuuu! — krzyknęła Marcelka.

— Uuu — zawtórowała jej lokomotywa. Dołożył węgla palacz, przestawił dźwignię na szybszy bieg maszynista. Chłodniejszy powiew wpadł przez otwarte okna.

A Wincuk zatopił się we wspomnieniach i nie widział już, pomimo szeroko otwartych oczu, ni drzew indyjskich, ni orzących dziwacznych bawołów, ni światła, ni ludzi za oknem wagonu. Widział siebie, siedzącego nad jeziorem Spingłą. Słońce zachodziło złościście-czerwono, rzucając na wodę różne refleksy. Dzikie kaczki zatoczyły w powietrzu parę kręgów i zapadły na noc w sitowie. Nastąpiła wielka cisza, zniemchomiałały drzewa, umilkły ptaki. Zdawało mu się, że jest trzciną, lub drzewem, czymś wrośniętym głęboko w ziemię, z niej ciągnącym soki. Wtem zaszeleściło przy brzegu, śmielsza z kaczek wypłynęła na środek jeziora i zapatrzyła się w dogasające słońce. Ręce Wincuka bezwolnie wyciągnęły się po trzcinę, rwały ją i plotły, oczy wpijały się w pływający model, pokraśniały z napięcia policzki i uszy.

— Nie, nie, nie tak — biedził się i rozpoczynał pracę od nowa, mozolnie, z uporem, aż ustawił sobie na ręku zrobioną z trzcin kaczuszkę i uśmiechnął się z zadowoleniem. — Taka samiuśka, taka samiuśka — powtarzał, porównując ją z żywą.

Oj, śmiała się macocha, widząc tę robotę. Macocha się śmiała, a pani, która przyjechała z Wilna,

zachwyciła się nią. Dała za kaczuszkę pięć złotych i zabrała ją. Dziwna to była pani. Chodziła od chałupy do chałupy i skupywała od gospodarzy co najstarsze garnki, samodziwały, miski i łyżki, a nawet od ślepego Onufrego rozsypujące się cymbałki. Dziwili się temu ludzie, a głupi Warecki na śmiech przyniósł jej swoją najstarszą kapotę, którą — jak mówił — dostał jeszcze od swego dziada. I tę kupiła. Werkę z Zuprowali, która utkała sama kilim do kościoła, zabrała do szkoły tkackiej, a jego do koszykarskiej w Wilnie.

Duże to i ładne miasto Wilno. Swoje. I rzeka w nim, i zieloność, ale to nie to, co Zapródzie. Nie mógł się nijak oswoić, szumno tam było i krzykliwe. Jedno tylko chwytalo go w Wilnie za serce — Ostra Brama. Dziwy to, dziwy. Matka Boska, taka Święta, a patrzy na ulicę, jakby nigdy nic. Patrzy, jak to ludzie śpieszą się, każdy do swoich zajęć, jedni zasumowani, inni weseli. Przyklęknie sobie kto chce, pomodli się do Niej, a Ona wstawi się u Boga za nim. Lżej się robi na sercu, gdy się ma tak komuś wyskarżyć. To jedno było piękniejsze, bo zresztą wołał wieś. Nauka szła mu trudno, litery skakały przed oczyma, zamieniając się w drzewa, krzaki, obłoki, i zamiast uczyć się, zamyslał się wtedy.

— Tępy do nauki — mówili.

— Szkoda, — martwiła się pani — ręce ma złote.

Wyciął z drzewa Matkę Boską, wędrującą z Dzieciątkiem. — Wspaniały prymityw — zachwyciła się Pani i umieściła świątki na wystawie wyrobów ludowych.

Gdy nauka w szkole nie szła, wrócił w końcu do Zapródzia i wdychiwał znów zapach mokradeł i zoranej ziemi. Stamtąd to razem z ojcem bolszewicy go wywieźli.

— Właściwie dlaczego go zabrali? Przecież Konstanty, fernal, mówił że tylko panów będą wywozić, a chłopom dadzą dużo ziemi, bydła, pieniędzy. Czymże on był? Pasał majątkowe krowy, był biedny, a i ojciec najmował się do roboty. Mieli chałupinę, co się ledwie trzymała i trzy morgi piaszczystego gruntu, na którym z trudem, rzadziutko, rosło trochę żyta i owsa. Ciekawe, czy macocha została na gospodarstwie, czy i ją po nich wywieźli? Jeśli ojciec, jak twierdzą niektórzy ludzie, nie umarł, lecz uciekł ze szpitala w Mińsku, jak nadchodzili Niemcy, to może są teraz razem z macochą na swoim.

Zaciążyła mu nagle tułaczka, zapragnął rzucić się na ukochaną, własną ziemię i wypłakać na niej wszystkie przeżyte cierpienia.

— Uuu... — pogwizdywała lokomotywa, pędząc przez indyjskie przestrzenie. — Uuu... — odpowiadało jej echo.

B A N D R A

— Bombaj, już Bombaj! — Huczało okrzykami dziecinnymi w wagonach. Pociąg wpadł na wielką, gwarną, ruchliwą stację, pełną turkotów, nawoływań i krzyków. Na peronie konsul polski w towarzystwie gości i miejscowej Polonii, oczekiwał przyjeżdżających. Po krótkim oficjalnym powitaniu, odwieziono dzieci samochodami do Bandry.

Bandra była to przyjemna miejscowość kuracyjna, oddalona o dziesięć kilometrów od miasta. Trzy duże, łączące się z sobą wspaniałymi ogrodami wille, położone nad brzegiem morskim, zaludniły się i napełniły tupotem dwóch setek dziecięcych nóg. Wszystko wydawało się tu dzieciom ciekawsze i piękniejsze, niż gdziekolwiek indziej w czasie drogi, bo tu już miał być dom — ich sierocy dom. Tutaj był koniec podróży. Zostawione przez parę dni same sobie, zdane na własną fantazję, bez terminów, bez liczenia czasu, dzieci wypoczywały i odprężyły się.

Morze, które wiele spośród nich zobaczyło po raz pierwszy w życiu, było przedmiotem nieustannych zachwyków. Olbrzymia przestrzeń wody, zmieniającej się jej kolor, słony smak, tajemnicza linia horyzontu, fale rozbijające się o skalisty brzeg, lub przy

pięknej pogodzie wznoszące się i opadające bezszelstnie, muszle i różne żyjątka morskie, okręty płynące w oddali i żagle wydęte wiatrem — wszystko to budziło ciekawość i wywoływało nieustanne zapytania. To szumiące morze, a raczej ocean, palmy kołysane wiatrem, świergotliwe, kolorowe, śmieszne ptaszki, dziwacznie ufutrzzone malutkie wiewiórki, podobne do jaszczurek, pochłonęły w pierwszych dniach całkowicie uwagę dzieci.

— Jaszczurka! — woła Miła, odskakując od drzewa, na które dopiero co wskoczyło jakieś zwierzątko.

— Jaszczurka nie skacze przecież, tylko pelza.

— No to co to było?

— Nie wiem.

Sierotka Magdalenka, o złocistych włoskach i oczkach jak z malowideł Wyspiańskiego, zdziwionych, chabrowych, polskich, wypina brzuszek, zadziera do góry główkę, na której włoski wiją się pierścieniami i skaczą przy każdym poruszeniu, jak żywe i zachwyca się:

— Aj! jak skace ten wiewiółek.

— Gdzie? gdzie? — pyta Marcelka.

— O tutaj, tutaj.

— Ni ma.

— Jest, i domek wiewiółki, i dzieci, i wszystko jest — zapewnia Magdalenka.

— Gdzie ten wiewiółek ma dzieci? — pyta Marcelka, zadzierając do góry nos.

— O tamuj — wskazuje Magdalenka — tamuj.

— Aha — z powagą przytakuje Marcelka, chociaż niczego nie widzi, prócz zielonych liści — aha.

Po pierwszych dniach wypoczynku zaczęły się wizyty. Dzień, dwa, trzy, tydzień, miesiąc — bez przerwy.

— Oglądają nas, jak dziwolągi.

— Poklepują nas, jak grzeczne pieski.

— Pokazują, jak małpy w klatce.

— Nie będziemy więcej przed nikim śpiewały — buntują się dzieci.

Dochodziło do skandali. Kaziunia jednej z odwiedzających pań zerwała z szyi perły, Zosia pokazała którejś z urzędowych osób język, Zbyszek kogoś kopnął, Tadek rzucił pomarańczą, Józek Czyńczyk schował kapelusz. Nie pomagały napomnienia.

W końcu zainteresowanie bombajskiego high life'u sierocińcem osłabło, gazety przestały pisać o „Polish orphanage”, wizyty ustały. Nareszcie można było pomyśleć o rozpoczęciu normalniejszego trybu życia.

Nie łatwo jednak było ująć rozhasaną dzieciarnię w karby i skierować jej myśli na bardziej pozytywne dla niej tory. Ale czegoż nie dokáže ludzkie serce, pełne troskliwości i poświęcenia? Dziesięć kobiet dokonało tego dzieła, dając dzieciom potrzebną

opiekę, radę, naukę i wesołość. Trudności były wielkie, zwłaszcza w dziedzinie nauczania. Brak książek utrudniał poważnie pracę. Nauczycielki ślezczały nocami, z pamięci przygotowując schematy lekcji.

— Psia kość, — denerwowała się pani Stefania — mogliby dać trochę potrzebnych podręczników. Każą dzieci uczyć, ale z czego?

— Nie jęcz, nie jęcz, nie pamiętasz jak to było w Rosji? — mitygowała ją pani Jadwiga.

— Ty możesz nie jęczeć, masz garnki, masz w nie co włożyć, masz pomoc i czego ci więcej potrzeba. Ale my? Zawracanie Wisły kijem taka nauka. Ot, wprawki, żeby malcy bąków nie zbijali i tyle.

— Sparszywiały dzieciaki, podostawały jakichś wyrzutów na skórze z tej studziennej wody — irytowała się Wanda, prowadząca dział higieny. — Co za sens było brać domy, w których przepływ wody ledwie wystarczy na parę osób? Poci się tu człowiek nieprzytomnie i żeby być zdrowym w tym klimacie, trzeba się obmywać pod tuszem przynajmniej dwa razy dziennie, by splókać z ciała żący pot i kurz. A tu masz: stoją ogonki dzieciaków przy studniach i oblewają się kubeczkami, jak na śmiech.

— Wille przecież były budowane na prywatny użytek, więc i tak dwie łazienki w każdej, to luksus.

— Ale wiadomo było, że dzieci przyjadą, pół roku przygotowywano się do tego. W ogóle wiele rzeczy nie podoba mi się tutaj — nie dała się zbić z tropu Wanda. — Dlaczego na przykład, ty zajmujesz się kuchnią i wychowywaniem dzieci? Czy nie można było znaleźć tutaj kilku pań do pomocy? A nie żebyśmy musiały padać ze zmęczenia, pełniąc po parę funkcji naraz. Zapominają, że mamy za sobą łagry i więzienia i że należałoby nas trochę oszczędzać.

— Przyjeżdżają przecież panie z Czerwonego Krzyża.

— Ładna pomoc, przyjedzie jedna z drugą na godzinę, popatrzy, pokręci nosem, zwróci uwagę, że Genia ma zasiusiane majteczki, Tadek oberwany guzik, a Zbyszek dziurawe spodenki — i pojedzie. Marta ma całe palce pokłute od tych ciągłych reperacji łańców. A i starszym dzieciom należy się też coś lepszego po Rosji, niż ciągłe zaganianie ich do pilnowania młodszych, szycia, przepierania, nakrywania do stołu. Owszem, to nawet dla nich pożyteczne, niech się wprawiają, ale nie tak bez wytchnienia. Należy im się święto po tak ciężkich przejściach.

— Naturalnie, babski sejm — przerwał wywody Wandy ksiądz, wchodząc do nauczycielskiego pokoju — zebrały się baby i kraczą.

— Bo mają rację.

— Ale tak zwane pyskówki nie nie pomogą. Jaka rezolucja zapada? Działamy, czy gadamy — śmiała się Anna.

— Ty w ogóle siedź cicho, na twoje lekcje dzieciaki mają naoliwione gardła i drą się. Czego więcej chcesz? — zawołała Stefa.

— Czcigodna pani pedagog zapomina, że prowadzę oprócz śpiewu, godziny literatury, oraz savoir vivre'u.

— O tym savoir vivre to dużo by się dało powiedzieć. Dzieciaki niezmiennie maczają nos w zupie, mimo twoich gromkich wykrzykników: „nie nos do łyżki, a łyżka do nosa”.

— Proszę księdza, proszę mnie bronić. Czy dzieci nie są teraz po prostu wytworne? Co prawda zdarza się czasami jeszcze jakieś małe przestępstwo w etykiecie, ale to można im wybaczyć, bo sama widziałam, jak pani pedagog Stefa wylizywała po kryjomu talerzyk po bitej śmietance.

— No baby, spokój! Jakby się człowiek dostał między papugi. Trzeci maj za pasem i trzeba pomyśleć, by wypadł godnie. Arcybiskup obiecał mi, że przybędzie do nas w tym dniu odprawić mszę świętą. Potem akademię urządzimy. Właśnie tu pani Anna rozwinie swój talent i ułoży niedługi, a dobry program. Zaprosi się trochę cudzoziemców, ale głównie chodzi mi o to, aby dzieci zrozumiały

powagę tego dnia. Jest to pierwsze nasze święto po wyjeździe z Rosji.

— Tylko proszę księdza, musi się ksiądz wystarać, aby sprawiono nowe ubrania dla dzieci, bo w tych wyglądają niemożliwie, w łatki, kwiatki, paski i kropki. Uważam, że dla wszystkich dzieci powinien być jednolity materiał koloru khaki, to jest praktyczne i przyzwoicie wygląda. Na święta można im dać białe bluzki — prosiła pani Marta, która prowadziła dział ubraniowy w sierocińcu.

— To może ksiądz zazaąda przy okazji, żeby dano więcej ołówków i zeszytów, bo jak tu uczyć rysunków, kiedy dzieci kreślą tylko patykami na piasku — wołała pani Maria.

— Poproszę delegatkę Czerwonego Krzyża, miejmy nadzieję, że się uda ją przekonać.

W sąsiednim pokoju, w świetlicy, siedział pochylony nad mapą Polski, Franek. Oczy jego uporczywie wpatrywały się w jeden punkt.

— Warszawa — polykał wzrokiem to słowo.

Franek był inteligentnym chłopcem. „Uczony” — przezywały go w sierocińcu dzieci, zwracając się do niego z zapytaniami, lub o opowiadania, on zaś cierpliwie im odpowiadał, lub opowiadał. Miał wtedy uczucie, że opowiada swojemu rodzeństwu, tak jak to robił dawniej, gdy przeczytał coś ciekawego.

Oczy jego nieruchomo spoczywały na mapie, a myśl przebiegała tysiące kilometrów, by zatrzymać się na progu rodzinnego domu.

Warszawa! Jaką drogą dostanie się tam i kiedy? Co robi matka i rodzeństwo? Czy żyją jeszcze? Ile kilometrów dzieli go od nich i ile jeszcze będzie dzielilo?

Nad głową i za plecami Franka zebrała się gromada dziecięcych twarzy, dzieci przepychały się jedne przez drugie, przyglądając się mapie.

— O, moje miasto tu — wołał Kostek.

— Gdzie? gdzie?

— Tu — powiedział pokazując palcem — Lwów, mój Lwów — zawołał i łzy zakreśliły mu się w oczach.

— Czego beczysz? — perswadował duży Józek, sam przelykając niewyraźnie ślinę.

Kostek plakał. Zachciało mu się nagle do Lwowa. Już, w tej chwili. Pragnął ujrzeć znajome schody i poręcze po których zjeżdżał. Plac Powystawowy, lwy drzemiące przed ratuszem. Zateęsknił za przyjacielskimi klapsami kucharki Stasiowej, za szkołą z nudnymi belframami, a nade wszystko za domem i za matką, której już nigdy nie będzie.

— Kostek, przestań, nie becz, — uciszał go Bobiś. — Lwów nie jest zbombardowany, wrócisz kiedyś do niego.

Kostek popatrzył wilgotnymi oczyma na mówiącego

— Wróć, — powtórzył przez łzy — na pewno wróć. Przecież my nie na zawsze zostaniemy w Indiach.

— Nie, nie na zawsze — zgodzili się wszyscy.

— Jak wojna się skończy, to my do Polski wrócimy! — zawołał Krzysztof.

— Tak, wrócimy — powtórzyły za nim dzieci z głęboką wiarą.

Zapanował ruch i gwar przy mapie.

— Franuś, znajdź Zapródzie, w Święciańskim powiecie — prosił Wincuk.

— To mała wieś, na mapie nie będzie, masz tu Wilno.

Wincuk ucieszył się i Wilnem. Nie wiadomo dlaczego przyszył mu do głowy „Kaziuki”, zobaczył barwne stragany, pełne najprzeróżniejszych towarów i baby z ziołami, serce mu zabiło, ale zaciął zęby i nie rozplakał się.

Pewnego dnia, do bombajskiego portu zawinął polski statek handlowy „Kościuszko”.

— Marynarze nasi, marynarze — błyskawicą obleciała sierociniec wiadomość, przyniesiona przez księdza.

— Malynaze — cieszyła się Kaziunia, nie wiedząc nawet, co to znaczy.

— Mandlynase — powtarzała wszystkim posłyszana nowinę Zosia Czynczyk.

— Majnase! — wykrzykiwała Marcelka, smacznie oblizując się przy tym w przekonaniu, że to na pewno jakieś ciastko z kremem.

— Marynarze, marynarze — z błyskiem w oczach powtarzali starsi chłopcy i dziewczęta.

— Nasi kochani marynarze — myślały rozmarzone nauczycielki.

Nielatwe jest życie marynarzy, a zwłaszcza na handlowych statkach, zmudne i szare, praca ciężka, postoje krótkie, urlopy rzadkie, odpowiedzialność wielka. Ci z marynarki wojennej giną, lub wracają, a wracając wychodzą na ląd, otoczeni glorią. Mrówczy trud marynarki handlowej nie daje tej podniety, a przecież bez ich codziennej, pełnej poświęcenia pracy, zwycięstwo byłoby niemożliwe.

— Panie kapitanie, spotkałem w Czerwonym Krzyżu księdza, przyjechał z Rosji z naszymi dziećmi, sierotami. Prosił żeby ich odwiedzić. Mieszkają w Bandrze — meldował stary bosman.

Podjechali czterema autami, w białych jak śnieg mundurach. Gwałtownie były im serca, gdy szli po wysypanej zwirom alei, a przed nimi furkotały białe-czerwone chorągiewki i płonęło dwieście par dziecięcych oczu. Brzmiał hymn, zrodzony z krwi, wiary i poświęcenia. Hymn, śpiewany przez tułaczę dzieci dla nich, tułaczy marynarzy — marynarzy

bez swego morza — dzieci bez swego domu — wszystkich bez ojczyzny.

Stanęli, spreżyli się, zasalutowali.

Pochłaniali się wzajemnie oczyma, a potem uściskiem. Wszystkie dzieci zapragnęły być tylko marynarzami i to na „Kościuszcze”. Wszystkie, nawet Marcelka, która przeboleła rozczarowanie, że „maj-nase” to nie ciastko z kremem, a człowiek w białym mundurze. Smakowała obieżyświatom, jak nigdy, skromna babka, upieczona przez Jadzię za uskładane grosiki nauczycielek.

— Panie kapitanie, proszę nas zabrać ze sobą — prosili starsi chłopcy — przecież na okrętach potrzebni są boy'e.

— To nie statek pasażerski, — śmiał się kapitan — u nas trzeba pracować, mieć dużo siły. Kawalerowie są jeszcze młodzi. Mogę was wziąć do szkoły morskiej, jeśli będziemy jechać do Anglii.

— Ale na pewno?

— Na pewno.

— Słowo? — zapytał z powagą Franek.

— Słowo — zaśmiał się kapitan.

— Bo widzi pan, starsi to zawsze tak obiecują nam, a później nie dotrzymują — tłumaczył się Franek.

— A czy można zwiedzić okręt? — zapytał Krzysztof.

— Niestety nie można, przepisy zabraniają — odmówił kapitan i załował może bardziej niż dzieci,

że nie może wprowadzić ich na swoje pływające polskie terytorium.

Białe mundury prędko przestały być śnieżno białe, a rozbisurmanione chłopczyska straciły dystans i kuksały marynarzy, jak swoich towarzyszy. Starszym przypomniały się ich młodzieńcze figle i zaczęły na wrywki psocić i opowiadać, co tylko im do głowy przychodziło. Już kolację przelożono o godzinę później, ale i to nie wystarczyło. Czas jakby naumyślnie leciał, jak nigdy,

— Aj, jaka szkoda, — mówili — ale trzeba iść. Do zobaczenia, do następnego razu.

Józek Czyńczyk prędko wcisnął kapitanowi papierową torebkę z cukierkami, zbieranymi na „potem” i zanim ten się spostrzegł, uciekł cały czerwony i skrył się za kolumną.

Morze, nasze morze,

Wiernie ciebie będziem strzec....

Żegnała pieśń odjeżdżających marynarzy, którym naraz każdy trud wydał się lekki, a błąkanie się po morzach nabrało sensu. Muszą przecież odwieźć te i tym podobne dzieciaki do wywalczonej, wolnej, niepodległej i szczęśliwej Polski.

— Morowe brzdące.

— Morowe.

— Wiesz, — mówił Krzysztof wieczorem do Józka, podkuliwszy pod siebie nogi na łóżku — że ten kapitan, to podobny do mojego tatusia.

— I do mojego.

— I do mojego.

I nagle ojcowie tych dzieci stali się, we wspomnieniach, podobni do dopiero co widzianych marynarzy.

— Bosman mówił, że pod Tobrukiem nasze wojska zwyciężyły Niemców, chociaż ich było dużo, a naszych niewielka gromada.

— Chciałbym być w wojsku — westchnął Józek Puży.

— Może mój ojciec jest u tych „Karpaczyków”, — myślał Krzysztof i głośno dodał — na pewno mój wujek lotnik teraz broni Anglii. — Zebrało mu się na płacz, że właściwie nic o nich nie wie, że jest sam, sam jak ten palec na świecie, poczuł żal, że go nie szukają. Westchnął. Sierociniec, koledzy, to nie to co dom, co rodzina.

— Żeby moja mama już przyjechała z Rosji, zaraz bym wstąpił do szkoły lotniczej — snuł głośno swoje marzenia Bobiś.

Kaziunia nie mogła zasnąć tej nocy, przewracała się z boku na bok, brakowało jej czegoś. Czuliła jeszcze na swej główce ciężkość bosmańskiej ręki, za dotknięciem której dziwne ciepło spłynęło jej do serca. Znała to uczucie skądś, z dawna. Tak właśnie ją: bosman, taką ciężką ręką gładził ją już ktoś....

Nagle, jak odbitka fotograficzna, stanął przed oczyma Kaziuni zatarty obraz.... Siedziała u ojca

na kolanach, a on huśtał ją, gładząc po głowie. Nie umiała skojarzyć sobie, jak dawno to było, co później się stało? Gdzie był jej dom? Tylko wujek i zmarła babcia rysowali się wyraźnie w jej pamięci, no i foksal — sowiecki foksal. Po ojcu został dotyk, pieszczota ciężkiej, spracowanej ręki. Zateśkniała do niej. A i bosmanowi przylgnął do dłoni kształt maleńkiej główki.

— Jak moja, tam w Polsce, — myślał — jak moja.

Trzy razy zawyła syrena okrętowa i SS. „Kościuszko” opuścił bombajski port.

Życie sierocińca szło dalej codziennym truchci-kiem, zaczynającym się od wkroczenia do kuchni pani Jadwigi w asyście trzech dziewcząt i łajania leniwej służby hinduskiej.

— Mężowie wasi będą mnie po rękach całować, że was nauczyłam gospodarstwa, — mówiła śmiejąc się do rumieniących się pańnic — bo najlepszy posag dla męża, to dobra gospodyni.

Panny wzdychały, wstydliwie spuszczając oczy. A w najtajniejszych zakamarkach marzeń dziewczęcych było już wypisane:

— Jeśli mąż — to tylko marynarz!

Jak na ścieście, popłakując nieustannie, jechała gromadka dziewczynek, zagrożonych gruźlicą, do znanego sanatorium Bel-Air, położonego w górach w miejscowości Panchgani.

Ach, nie chciały one rozstawać się z sierocińcem, z dziećmi, z zabawami i całym życiem, do którego już przywykły. W Panchgani czekał je doktor, łóżko, niewola i lekarstwa.

— Dlaczego? Dlaczego nie chcą nas trzymać w sierocińcu? — narzekały. — Przecież jest tam sala, gdzie leżą chore dzieci. Dlaczego nas tak odpychają? Cośmy zawiniły?

Pociąg wspinał się pod górę coraz wyżej i wyżej, aż po trzech godzinach jazdy z Bombaju dojeżdżał do sławnej z pięknego toru wyścigowego Poony, gdzie stacjonowały najlepsze pułki angielskich wojsk imperialnych. Gdy w Bombaju kończył się sezon wyścigów, zaczynał się w Poonie, gdzie zjeżdżał się wtedy „high life” i świat zapaleńców turf'u.

Z Poony jechało się jeszcze dwie godziny autobusem, który znów z trudem piał się pod górę aż do miasteczka Panchgani, położonego na wysokości

850 metrów. Klimat był tu suchszy i znośniejszy dla Europejczyków, niż gdzie indziej w środkowych Indiach i nawet w czas monsunu, gdy parny deszcz przez trzy miesiące dzień w dzień spada ulewą, gdy mózg odmawia pracy, a chleb zostawiony na stole pleśnieje w godzinę, — nawet w ten okropny czas, panchgańskie góry są uprzywilejowane, gdyż deszcz nie tak intensywnie tu pada, a słońce nawet w tym okresie nierzadko zagląda. Temperatura zaś przez cały rok jest chłodniejsza, niż w dolinie.

Z okien autobusu rozciągały się coraz piękniejsze widoki i im dalej odjeżdżał on od zeuropeizowanych okolic Bombaju i Poony, tym egzotyczniejsze można było obserwować pejzaże, ludzi i sceny. Często widziało się tu na drodze olbrzymie białe krowy, czczone jako święte, obwieszane niezliczoną ilością niebieskich paciorków. Opiekowała się nimi kasta kapłanów, których półnagie ciała ozdobione były nie mniejszą ilością paciorków. Sprzedawali oni po wygórowanej cenie mleko „świętych” pupilek, zarabiając w ten sposób na życie.

— Nasze krowy są ładniejsze.

— I nasze góry także.

— W ogóle wszystko tutaj jest brzydkie — wzdychały jadąc dziewczęta.

Autobus, wjechawszy w obręb sanatoryjnego ogrodzenia, zatrzymał się przed kancelarią naczelnego lekarza. Czekali tu na dzieci doktor i pani Anna. One zaś wysiadły z autobusu z minami skazańców,

obecność znajomej pani tylko na chwilę rozjaśniła ich twarze. Milczały, niechętnie patrząc na doktora. Zaprowadzono je do przeznaczonego dla nich pawilonu. Widok jasnej sali, ubranej kwiatami i stołu, zastawionego zabawkami, złagodził trochę ich niechęć.

— Może pani zostać z nimi, — zwrócił się doktor do Anny — przyślę zaraz siostrę i boy'ów do pomocy. Dzisiaj niech dziewczynki robią co chcą, a jutro, lub pojutrze, jak wypoczną po podróży, zbadam je. Tylko niech pani się nie przemęcza i nie za dużo mówi, proszę pamiętać o sobie.

Po wyjściu doktora, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, martwe twarze dziewczynek ożywiły się, opadły Annę, całując ją.

— Ach nasza kochana pani, jak to dobrze, że pani tu z nami będzie. A myśmy myślały, że to nieprawda, że pani tu nie ma, że nas tylko oszukują — mówiły jedna przez drugą, ściskając z całych sił opiekunkę.

Zaczęły rozglądać się po sali, badając czy potrafią zadomowić się na tym nowym postoj.

— Co tam jest w tych szafkach? — spytała Mila, wskazując na stojące rzędem pod jedną ze ścian białe mebelki.

— Są puste, czekają na was. Każda będzie miała dla siebie taką szafeczkę, w której ułoży swoje rzeczy.

— I będzie można schować w niej wszystko, co się chce? — spytała Władzia, znana zbieraczka guzików, szpulek, sznurków, kolków, papierków i wszelkiego rodzaju rupieci.

— Tak, możecie sobie w szafeczkach same gospodarzyć, pod warunkiem, że będziecie utrzymywać wzorowy porządek — wyjaśniała pani Anna.

— To pysznie — ucieszyła się Mila i cała gromadka roześmiała się z zadowolenia.

Obchodziły salę dotykając, zaznajamiając się z każdym przedmiotem, wachając kwiatki, stojące na stoliczkach, zaglądając w każdy kąt ich nowego mieszkania.

— A gdzie się będziemy myły? — zapytała z niepokojem Janeczka, która nie bardzo kochała wodę, a mydło uznawała tylko do puszczenia baniek.

— Tam jest łazienka — wskazała im Anna boczne drzwi, do których zaraz dzieci podbiegły.

— To tu nawet ładniej, niż w Bandrze — pocieszała się Ala.

— Tak, ale pewno każą nam leżeć i nie pozwolą biegać i bawić się — martwiła się Mila.

Kaziunia stała w miejscu, ze ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi usteczkami, chciało jej się płakać, najchętniej pobilałaby tę uśmiechniętą, nie wiadomo czemu, panią.

— To będzie łóżko Ali, to Mili, to Basi, to Władzi, to Kaziuni, to Jadzi, to Jasi, a to małego

Piotrusia — informowała dzieci Anna — a tu będzie spała siostra, specjalnie do was przydzielona. Siostra pozwoli, że zapoznam ją z dziećmi — zwróciła się do czarniutkiej, w białym fartuchu figurki, która właśnie uśmiechając się weszła.

— To jest najstarsza, Ala.

— Ali — powtórzyła czarniutka siostra, kiwnąwszy głową na znak, że rozumiała.

— A to Basia.

— Basza.

— Władzia.

— Wadzia.

— Mila.

— Myła.

Dziewczynki witając się z siostrą grzecznie dygaly.

— Kaziunia.

— Szaszunia.

— Janka.

— Jaka.

— A to na razie nasz jedyny kawaler — Piotruś.

— Potuś — powtórzyła siostra.

Zawtórował jej głośny śmiech, który dzieci tłumiły w sobie przez cały czas prezentacji, przekręcone imię Piotrusia zerwało tamy.

— Potuś, Potuś! — wołały, wskazując palcem malca.

Piotruś groźnie zmarszczył brwi, robiąc srogą minę, wyglądał z tym jeszcze pociesniej, okrąglą jego twarzyczka i szare, dziecinne oczka bynajmniej nie nadawały się do siania grozy. Siostra widocznie obyta z dziećmi, nie czuła się urażona tą wesolocią, którą mimowolnie wywołała.

— No, dzieci — zakomenderowała pani Anna — teraz myć się i do łóżek.

— A obiad? — zapytała zarłok Władzia.

— Zjecie go w łózkach, a potem proszę do trzeciej spać. Takie są przepisy sanatoryjne. Później do was przyjdę i uplanujemy, co będziemy dalej robić. Siostra zostaje z wami, do niej zwracajcie się, jeśli wam będzie czegoś potrzeba.

— A ona rozumie po angielsku? — zapytała Ala, która dumna była, że coś niecoś tym językiem włada.

— Rozumie.

— A pani na pewno do nas przyjdzie?

— Na pewno.

— A gdzie pani mieszka?

— Naprzeciwko, widzicie to okienko nad krzakiem róż? Tam jest mój pokój.

Markotno zrobiło się na sali po wyjściu pani Anny. Czarna siostra starała się uśmiechami i gestykulacją zjednać sobie młodych pacjentów, nie szło to jednak, nachmurzone buzie nie odwzajemniały uśmiechu. Dzieci umyły się pobieżnie i przebrały

w pizamy. Jedyne „szafeczki na własność” zdawały się im być jaśniejszym punktem w oczekującym je losie. Co to za przyjemność, ułożywszy w niej swoje rzeczy, zamknąć i trzymać kluczyk przy sobie w kieszonce.

Pobył w sanatorium, a zwłaszcza w sanatorium dla płucno-chorych, jest zawsze smutny i uciążliwy. Myśl o własnej chorobie, otoczenie ludzi cierpiących, odcięcie od świata, stwarzają nastrój przygnębienia, który nie łatwo jest przełamać w sobie starszym, a cóż dopiero dzieciom. Potrzebą młodego organizmu jest ruch, wesolość i głośna zabawa. Dziecko musi się wybiegać i wyhałasować, a konieczna dla zdrowia pacjentów sanatoryjna dyscyplina tego zabrania. Nakazany przez lekarzy bezruch w jakim muszą trwać, wydaje się dzieciom torturą, a zakaz krzyku i śpiewu znęcaniem się. Nie dziw więc, że w tych warunkach łatwo wpadają one w depresję.

— Dlaczego oni nas wszędzie noszą na stołkach?
— dąsała się Basia.

— Cóż to? nie umiemy chodzić, czy co? — buntowała się Ala.

— Nic, tylko jeść i spać, jeść i spać.

— Czy to zawsze tak będzie?

Kaziunia stała się opryskliwą dla otoczenia. Zamknęła się w sobie i przemyśliwała, jakby uciec. Utwierdzały ją w nieufności do ludzi surowe przepisy sanatoryjne. Co z nią zrobili? W sierocińcu

było dobrze — i dzieci, i swoboda, i dużo jedzenia, — tutaj co prawda nie zabrali jej niczego, a jedzenia było jeszcze więcej, ale ograniczyli jej wolność. Nie mogła zrozumieć, co komu może zależeć na tym, żeby nie rozmawiała głośno z Władką, lub Janką, albo nie biegała z Piotrusiem po tym ślicznym ogródku? To po co w takim razie jest ogródek? A może to nie Indie? — myślała. Czarna siostra, która stale pilnowała dzieci, przywiodła jej na myśl już od jakiegoś czasu zapomniane N.K.W.D. Przecież babcia mówiła, że wujka N.K.W.D. zamknęło i trzymało, i nie pozwalało mu nawet z nią, Kaziunią, rozmawiać, tak jak jej zabraniają tutaj rozmów z innymi dziećmi. Tak, tak, to na pewno i ją teraz trzyma N.K.W.D. Postanowiła że ucieknie, żeby nie wiem co, ucieknie. Odnotowała sobie w pamięci każdą drogę i ścieżkę, prowadzącą do bramy, ustaliła, że w godzinach ciszy, lub w nocy, gdy wszyscy śpią, można najłatwiej wyjść niespostrzeżenie i pewną była, że wszędzie będzie lepiej i swobodniej, niż tutaj. Co prawda foksal jest bardzo daleko, trzeba do niego długo jechać, ale to nic, da sobie radę i nie umrze po drodze z głodu.

Nocą zdradził Kaziunię księżyc, srebrnusiutki indyjski księżyc, który rozświetlał, jakby na złość, najbardziej ciemne zakątki ogrodu. Tak, bez wątpienia, że zdradził ją tylko księżyc, bo Jules, pies stróżujący, nie szczeknął nawet na nią, a tylko łasił się i merdając ogonem odprowadzał do bramy. Nie-

wiele drogi pozostawało jej do wyjścia, jeszcze tylko minąć jeden budynek, jeszcze parę drzewek i już, — gdy wtem jak smok ziejący ogniem, ukazał się w oświetlonych drzwiach swego domu doktor. Chciała uciec, nim ją dostrzeże, ale potknęła się o kamień i upadła. Zobaczył ją. Podszedł. Leżała bez ruchu, przerażona. — Zastrzeli ją, jak N.K.W.D. tego Żyda co uciekał z pociągu — myślała — N.K.W.D., N.K.W.D. . . . — Zamknęła oczy i czekała.

Wziął ją na ręce i zaniósł do swego gabinetu. Posłał po panią Annę, która natychmiast przyszła, zaniepokojona niezwykle porą wezwania.

— Co się jej stało? — zapytała od progu.

— Nie wiem, może pani się od niej dowie. Znalazłem ją leżącą na ścieżce.

Wstrząs, jakiego Kaziunia doznała, wywołany nieudaną próbą ucieczki, obudził w niej uśpione instynkty.

— Na foksal! — krzyknęła niemal groźnie. — Na foksal!

— Kaziuniu — zawołała, oszołomiona tą nagłą przemianą pani Anna — Kaziuniu. . . .

— Na foksal! — krzyczała mała, tupiąc nogą. — Puść na foksal.

Pani Anna dała znak i doktor wyszedł, zostawiając ją sam na sam z Kaziunią. Zapanowała cisza.

Ach, doskonale rozumiała duża pacjentka swoją

małą towarzyszkę niedoli. Ileż to razy i ona chciała uciec jak najdalej od tego miejsca, nie myśląc, co później się stanie. Jak tu zatrzymać dziecko, jak wytłumaczyć mu wszystkie niedole, które na nie spadły.

Wzięła scyzoryk z biurka i patrząc poważnie w oczy Kaziuni, zacięła się nim w palec.

Dziecko spojrzało na nią zdziwione.

— Siądź tu przy mnie.

Usiadła.

— Patrz, jak trzymam prosto palec, to widać tylko czerwoną kreseczkę.

— Krew — odezwała się Kaziunia.

— Krew spłynie, zostanie tylko kreseczka. Jak prosto trzymam palec, to w skaleczonym miejscu skórka schodzi się ze sobą, widzisz?

— Aha.

— A jak zegnę palec, o tak, to robi się dziura.

— Aha.

— To jak muszę trzymać palec, żeby się zagoił?

— Tak — powiedziała Kaziunia, wyprostowując opiekunce palec.

— No widzisz. Tak samo jak ja palec, ty masz skaleczone płucka. O tam, pod skórą, pod żeberkami. Ale ponieważ nie widzisz tego i nic cię nie boli, więc nie chcesz się leczyć. Doktor, który jest bardzo mądry pan, zobaczył ranę i chce zrobić z

płuckami Kaziuni to, co ty z moim palcem, żeby się prędzej zagoił. Ja nie będę palcem ruszać, a Kaziunia będzie leżeć spokojnie i mało mówić. Zgoda? I tak obie się wyleczymy.

Kaziunia namyślała się. Anna raz jeszcze zgięła palec i powoli wyprostowała go.

— A gdzie w pucach?

— Tutaj — dotknęła jej chorej piersi Anna. Kaziunia spojrzała na pokazane miejsce.

— Nic nie widać.

— Bo tego ani Kaziunia, ani ja widzieć nie możemy, tylko doktor. Pamiętasz, jak zaprowadziłam was kiedyś do takiego ciemnego pokoju, w którym Jasia i Piotruś płakali ze strachu, pamiętasz?

— Aha.

— Wtedy doktor ustawiał was przed dużym pudłem i przez to pudło zobaczył, co się dzieje w płuckach.

— Aha.

— Jesteś mądrą dziewczynką i teraz, kiedy wszystko zrozumiałaś, nie będziesz już uciekać, prawda? A teraz cichutko wejdzieny do pokoju, tak cichutko, żeby się żadne z dzieci nie obudziło. Kaziunia tak umie?

— Umie.

Poszły.

Nazajutrz mocno głowili się doktor i pani Anna jak zająć dzieci, by wyrwać je z ponurych nastrojów,

a równocześnie tak ułożyć dzień, by zajęcia nie utrudniały kuracji.

— Myślę, że trzeba stworzyć im rodzaj życia, do jakiego przywykli w sierocińcu, oczywiście uczyć je można tylko w minimalnych dawkach tak, aby tylko odwrócić ich myśli od choroby — proponowała Anna.

Doktor zgodził się, zalecając Annie, która też była jego pacjentką, by się jak najwięcej przy tym zajęciu oszczędzała.

— Napiszę do delegatki Czerwonego Krzyża z prośbą, aby przysłała którąś z pań do opieki nad dziećmi — zapewniała go Anna.

Szybciej mijały teraz dni dzieciom, zajęтым nie męczącą nauką. Od czasu do czasu pojawiały się i wizyty, obfitujące zazwyczaj w podarki.

— Nie masz chusteczki do nosa? — pytała Piotrusia odwiedzająca chore dzieci „Dobra Pani” z Bombaju.

— Nie mam — cienkim głosikiem odpowiedział zapytany i dalej wycierał nosek w rękaw koszulki.

„Dobra Pani” wyjęła z torebki malutką, naperfumowaną chusteczkę i podała ją chłopcu — masz, wytrzyj w nią nosek. — Piotruś obwąchał chusteczkę, obejrzał i w końcu zdecydował się ją użyć.

— Czy ci nie dają chusteczek? — troskliwie pytała „Dobra Pani”.

— Nie dajom — odpowiedział Piotruś, robiąc przy tym najżałośliwszą z żałośliwych minek.

— A cukierki ci dają?

— Nie dajom.

— A zabawki?

— Nie dajom.

— A ubranka?

— Nie dajom.

— Koszulki masz?

— Nie dajom — recytował ciągle to samo Piotruś, wywracając przy tym smętnie oczkami.

„Dobra Pani”, oburzona na tak złą opiekę, zapisała coś w notesie i wyszła, zostawiając Piotrusiowi pakiecik z cukierkami.

Po wyjściu gościa, Jasia przyskoczyła do łóżka Piotrusia.

— Pokas chustkę.

— Nie pokazę.

— Pokas, dam ci banana — kusila go.

Zastanowił się. Dając do obejrzenia chusteczkę nie tracił niczego, a zyskiwał smacznego banana. Już na samą myśl oblizwał się — lubił banany.

— Jak das banana, to pokazę.

Jasia w podskokach pobiegła do swojej szafeczki i wyjęła z niej pachnący owoc, ale po drodze rozmyśliła się. Szkoda jej było oddać banana za obej-

zenie chusteczki. Zdjęła z niego skórkę i zaczęła powoli jeść.

— Daj banana! — krzyknął oburzony Piotruś.

— Nie kee.

— To nie pokaze chustki.

— To nie.

— Daj pół banana — prosił, bliski płaczu.

— Nie kee.

— Daj kawałek.

Jasia w odpowiedzi wypełnęła sobie resztę banana do buzi. Piotrusiowi lzy zakreśliły się w oczach.

— Janka baranka — krzyknął.

— Bee... — pokazała mu język.

Piotruś przypomniał sobie wtedy o pakieciku, zostawionym przez „Dobrą Panią”. Wysypał na kołdrę kolorowe cukierki, a Jasia aż zaczęła zezować z zazdrości.

— Daj cukielka — prosiła, przyskoczywszy do łóżka Piotrusia — daj jednego, daj jednego — przymilała się.

— Daj banana.

— Nie mam.

— To nie dam cukielków. — I na złość Jasi zaczął głośno wyliczać, układając cukierki w osobne kupki. — To dla Ali, to dla Basi, to dla Mili, to dla Władzi, dla Kaziuni — mówił kładąc po jednym. — A to dla mnie — sypnął całą garstką

i znów zaczął od początku. — To dla Ali... a to jus moje wszystko! — zagarnął pozostałe pół torebki.

— A dla mnie? — skrzywiła się Jasia.

— Daj banana.

— Nie mam.

— To nie dam.

— A tamte też ci nie dajom.

— Mas jednego — powiedział protekcyjonalnie, rzucając jej cukierek.

Złapała go, odwinęła lśniący papierek, wygładziła i schowała do szafeczki, po czym zaczęła z łakomą miną obliżywać cukierek.

* *

„Droga Pani”, — pisała z Bombaju delegatka Czerwonego Krzyża do pani Anny — „dziękuję za list. Przed tygodniem zawiozłam ostatnie partie dzieci z Bandry do osiedla w Jamnagar i mam wrażenie, że będzie im bardzo dobrze. Powietrze tam jest doskonale i mają dobre jedzenie. Przygotowujemy Jamnagar na przyjęcie dalszych partii dzieci z Rosji, które w Bandrze trudno by było już pomieścić. Będzie to duża kolonia, do której mam nadzieję że i Pani wkrótce przyjedzie.

Słyszałam, że zdrowie Pani nieco się poprawiło; bardzo się z tego cieszę. Dziękuję za opiekę nad dziećmi, za tydzień wyjedzie stąd do sanatorium nowych ośmioro dzieci, czterech chłopców i cztery dziewczynki. Paczkę z ubraniami i zabawkami dla dzieci wyślę w poniedziałek. Niech się Pani zbytnio nie przemęcza i dba o swoje zdrowie”.

* * *

„Niech się pani nie przemęcza” — przypomniawszy sobie ze smutkiem słowa listu, w parę dni potem, pani Anna, leżąc podczas obowiązującej ciszy u siebie w pokoju. Łatwo tak napisać, myślała, ale kto będzie się dziećmi opiekował, kto okaże im trochę serca, którego one tak potrzebują? To nie wystarczy wysłać chore dziecko do sanatorium, trzeba mu jeszcze stworzyć takie warunki, które by mu pozwoliły przetrwać w moralnym zdrowiu trudny okres kuracji.

Dwóch chłopców, których przed paru dniami przysłano z sierocińca w Bandrze, leżało, jeden z nogą w gipsie, drugi z nogą na wyciągu. Gruźlica kości, połączona z tropikalną, o wysokiej temperaturze malarią, niszczyły młode, niedożywione organizmy. Zepsucie, któremu ulegli w Rosji, przyhamowane w sierocińcu, odezwało się u nich na nowo

na skutek choroby. Stali się złośliwi, rozdrażnieni, przeklinali, używając najgorszych wyrazów i rzucali w mitygującą ich siostrę butami, lub czym popadło. Głównym przedmiotem ich zazdrości były zdrowe nogi, które pozwalały innym poruszać się swobodnie.

— Psia mać — kłął dziesięcioletni Bolek — całe życie już tak będę kulął.

— Albo i w ogóle odejmą nam nogi i będziemy takie kadłuby, jak te inwalidy, co zebrzą po ulicy — przewidywał dwunastoletni pesymista Stefek.

— Żeby ich cholera wzięła, żeby połamali ręce i nogi! Chodzą i walą obcasiskami o podłogę, jak na złość. Chcą pokazać, że mają zdrowe kikuty.

— Szlag by ich trafił.

— Nie wiem po co mnie tu przywieźli. Na posiołku było mi o wiele lepiej, była wódka, bo komandirsza zawsze dała, i dziewczuchy w kuchni były ładne, człowiek się wałęsał i miał zdrowe nogi, a jak moja babka co powiedziała, w łeb staruchę i już. Znała mores — przechwalał się Bolek.

— A ja byłem na kołchozie u Kirgizów. Też było dobrze i wódki dużo i żadnej roboty. Ich główny, to byczy chłop, kradłem dla niego machorkę ze składów N.K.W.D. — zaśmiał się Stefek.

Gdy kiedyś Tolek z Piotrusiem wrócili rozbawieni ze spaceru, wesołość ich rozdrażniła do tego stopnia Stefka, że rzucił w malców szklanką, która

na szczęście żadnego z nich nie trafiła. Nie pomagały napomnienia. Doktor i siostry byli bezradni. Przeniesiono awanturujących się chłopców do osobnego pawilonu, a dzieci stroniły od nich, co budziło w nich jeszcze większy żal i rozgoryczenie.

Pewnego dnia Bolek zapytał panią Annę, ze łzami w oczach:

— Dlaczego Toluś nie przychodzi bawić się z nami?

— Boi się was, bijecie go,

— Raz go tylko kropnąłem, ale już nie będę, jak Boga kocham.

— Proszę pani, — odezwał się smętnie Stefek — a czy ze mnie jeszcze będzie co kiedy?

— Nie rozumiem.

— No, czy ja wyzdrowieję, czy będę mógł chodzić, jak te wszystkie pętaki, czy może obetną mi nogę?

— utkwiał w nią rozpalone gorączką oczy.

— Doktor powiedział, że niedługo zdejmie ci gips z nogi.

— O rany! — zawołał Stefek uradowany.

— A ja, czy będę już tak całe życie wisiał na wyciągu?

— Tobie też niedługo wyciąg zdejmą. Poza tym przyszły dla was z Czerwonego Krzyża fotele na kółkach. Jak będziecie się dobrze zachowywali, doktor pozwoli wam wyjeżdżać na spacer po ogrodzie.

— I do pawilonu dziewczynek?

— Wszędzie.

— O rany, to ci będzie frajda!

— Ale to wszystko będzie, jeśli się poprawicie.

Jeśli ani siostra, ani pacjenci, ani dzieci nie będą się na was skarżyć. Jeżeli będziecie tacy, jakimi byliście w sierocińcu.

Stefek spochmurniał.

— To strasznie boli taka noga w wyciągu — powiedział, jak gdyby tłumacząc swoje złe zachowanie.

Pani Anna poczuła skurecz w sercu. Przecież to są jednak małe dzieci, — myślała — dzieci, cierpiące ponad swoją wytrzymałość.

Któregoś dnia „Dobra Pani” zajęła ponownie z wizytą do sanatorium i zastała Piotrusia znowu wycierającego nos w rękaw koszulki.

— Nie masz chusteczki? — zapytała zdziwiona.

— Nie mam.

— Jakto, nie dali ci? — Oburzenie brzmiało w jej głosie.

— Nie dali.

— A zabawek?

— Nie dali.

Za wiele było tego „Dobrej Pani”. Jak furia popędziła do pawilonu Anny.

— Ach — ucieszyła się Anna — bardzo dziękuję za paczkę. Piotruś był nią zachwycony.

— Czyżby? doprawdy? — zdziwiła się „Dobra Pani”.

Anna zaś, widząc jej niedowierzanie, roześmiała się.

— Pewnie niepoprawny Piotruś znów zrobił nie-szczęśliwą minkę i oświadczył, że mu nie „nie dam”.

— Nie rozumiem.

— Pani pozwoli ze mną, zaraz pokażę jej coś interesującego.

Piotruś, widząc wchodzącą Annę z gościem, zrozumiał od razu co się święci. Toteż, nie czekając aż otworzą jego wypchaną po brzegi szafeczkę, wcisnął głowę przedko pod kocyk i już do końca wizyty nosa nie wyściubił.

„Niech pani o nas nie zapomina!” — rozpamiętywała Anna, siedząc w wygodnym fotelu w hallu Taj Mahal, wołania dzieci panchgańskich, jej dzieci, gdy zegnały ją przy wyjeździe.

— Niech pani tak robi, żeby się nasze lalki naj-więcej podobały — prosiły ją.

Przyjechała do Bombaju, aby wziąć udział w międzynarodowym festivalu. Przywiozła ze sobą lalki, ubrane w polskie regionalne stroje, krakowskie, góralskie, i kujawskie, które panchgańskie dzieci, w ostatnich dniach przed jej wyjazdem z zapalem szyły, aby choć w ten sposób przyczynić się do ozdobienia polskiego pawilonu.

Zaledwie czwarty dzień jej pobytu w Bombaju mijał, a już dopędził ją z Panchgani liścik od „najukochańszych”.

— „Droga, Kochana Pani!” — pisały. —

„W pierwszych słowach naszego listu zapytujemy jak się Pani czuje? My czujemy się dobrze. Ali już spadła gorączka, ale na razie leży spokojnie. Zaraz po Pani wyjeździe dostałyśmy epi (odmę) a następnie dostaniemy 25-go. Strasznie tęsknimy za Panią i ciągle o Pani rozmawiamy, często budząc się chcemy iść do pani, lecz przypominamy sobie że pokój jest pusty. Od tego czasu, jak Pani wyjechała, dzieją się tutaj okropne rzeczy: dostajemy teraz tylko po jednym jajku i zamiast mięsa, kości do ogryzania. Siostra Dekab dostała wysokiej gorączki i złości się na każdym kroku. Doktorzy i siostry odnoszą się do nas jak do psów, wszystko dzieje się dlatego, że pani nie ma. Siostra Dekab zachowuje się okropnie, wydziera nam termometry i rzuca je. W ogóle nie spełnia swoich obowiązków i wcale z nami nie rozmawia. To,

co miałyśmy uszyć do wysłania dla dzieci do Rosji, jest uszyte. Teraz zaczyna się przepisywanie i nauka, wszystko idzie jak Pani powiedziała. Wiemy, jak bardzo droga jest dla nas Pani, najprzyjemniejszą chwilą teraz jest wspominać wesołe opowiadania Pani. Dostałyśmy list od pani Jadzi z Jamnagaru z podziękowaniem za życzenia imieninowe i również kartkę od Pani z Poony, za którą bardzo dziękujemy.

Całujemy Panią bardzo, bardzo mocno, zawsze kochające Panią dzieci.”

— Samotność w Taj Mahalu, to jakoś podejrzenie wygląda — usłyszała za sobą męski głos.

Państwo X w towarzystwie przyjaciół mile uśmiechali się do niej. Po przywitaniu wszyscy obsiedli stolik Anny.

— Czego się panie napiją? — pytał pan X. Zamówiono drinki, które usłużny kelner zapisywał, przy czym po parę razy musiał wracać do stolika, bo pani X zapomniała, że przeziębila sobie gardło, więc prosi bez lodu, a pan X chciał mieć podwójną porcję whisky.

— Słyszałam, że dzieci na festival zrobiły piękne lalki — zaszczębiotała pani X.

— Czy można przyjechać do Panchgani zobaczyć dzieci? — pytał pan X.

— Zobaczyć? Nie. — Poważnie odpowiedziała Anna.

— Dlaczego?

— Bo dzieci nie są na pokaz, ale jeśli ktoś z państwa zechce je odwiedzić, będą na pewno szczęśliwe.

— A to mi dała po nosie, zła jak osa — zartował skonfundowany nieco pan X.

— Słusznie zrobiła — zauważyła pani Helena.

— Boję się już teraz panią o coś spytać — mówił dalej pan X.

— Wiem o co, chce się pan dowiedzieć, co można dzieciom przywieźć.

— Pani jest jasnowidząca.

— Nie, tylko odwiedzający zadają stereotypowe pytania — uśmiechnęła się Anna.

— Niech nam pani jednak poradzi — prosił gentleman — co im przywieźć.

— Tak na odczepne, żeby się nazywało, że dane, czy też coś pożytecznego?

— A cóż za wstretny babsztyl z pani! Naprawdę, naprawdę coś pożytecznego.

— Są bardzo ładne perkaliki. Dziewczynki wyrosły ze świątecznych sukienek, niedrogo to wypadnie, a uciecha będzie wielka.

— Ileż pani ma tych gasek?

— Tylko nie gasek, a najukochańszych, najbiedniejszych dziewczątek. Dwadzieścia.

— Przyjedziemy z żoną zaraz po festiwalu.

— Czy pani czeka na kogoś, czy może zje obiad z nami? — spytała pani Helena.

— Nie, dziękuję, umówiłam się z kimś — odpowiedziała Anna.

Towarzystwo odeszło do sali restauracyjnej, sitting-room opustoszał, zapanaowała cisza. Anna odetchnęła z ulgą. Za oknem, w niedalekim porcie wrzało życie. Odjeżdżały i przyjeżdżały okręty większe i mniejsze, wojenne i handlowe. Kolorowo ubrani ludzie różnych narodowości, kręcili się bez przerwy kupując, handlując, zwożąc, odwożąc, ładując i wyładowując. To działo się w porcie. Z okna Taj Mahalu widać było tylko obraz, barwny, cudowny obraz — morze, „Gate of India”, port i mnóstwo maleńkich łódeczek o fantastycznych kształtach.

Annę ten widok tylko przez chwilę zajmował, wyjęła z torebki kartkę pocztową od dzieci i znów przeniosła się myślą do Panchgani.

— „Kochana Pani Opiekunko.

My z Józką czujemy się dobrze. Antoska ma gorączkę, Hanka zaś jest chora na wątrobę. Przepraszam Panią, proszę kupić nam gumki do pończoch. Ja bym prosiła, żeby pani kupiła mi pas. Chłopcy trochę lobuzują. Ja wyszylam dwa wzory, tylko mi trochę korali zabrakło. Antoska ceruje sukienki, wyszyla trzy kanwy.

Byłyśmy na hinduskim pikniku. Na drugi raz będziemy wiedziały, co to za przyjemność. Niech Pani prędko wraca. Wczoraj rano nie dali nam soli, dzwoniłyśmy, przyszedł Pandu i przyniósł nam bez przesady, soli nie więcej, jak na paznokiec. Sól tę schowałyśmy i powiedziałyśmy siostrze, że pokazemy Pani, to zaraz przynieśli pełny słoik. W ogóle, gdy nas nie chcą słuchać, straszmy Panią i momentalnie pomaga.

Całujemy Panią mocno i proszę pamiętać, że tęsknimy strasznie, zawsze kochające Panią — Józka i wszystkie dziewczynki.” —

Ręka Anny trzymająca kartkę osunęła się na kolana, a myśli jej oderwały się od otaczającej ją rzeczywistości.

— Pani jeszcze tutaj i na tym samym miejscu, to znaczy, że w ogóle nie była pani na obiedzie?

Anna czuła się zaskoczona. — Zamyśliłam się — tłumaczyła się niezręcznie, nie pamiętając, że zapowiedziała przedtem, że na kogoś czeka. Towarzystwo roześmiało się, jak po dobrym żarcie.

— Teraz ja będę jasnowidzem i powiem pani, o czym pani myślała — powiedział pan X. — O Rosji i dzieciach? Czy nie tak?

— Właściwie, to jest rodzaj manii. Ci, którzy przyjechali z Rosji, zaczynają, lub kończą rozmowę:

„kiedy byłam w Rosji”, lub: „w Rosji przeżyliśmy...” — mówiła, pudrując sobie koniuszek nosa pani Ela, żona już zubożonego w Indiach fabrykanta.

— Trzeba się otrząsnąć wreszcie z tego — zaczęli wszyscy przekonywać Annę. Nie pytali jej nawet, czy mogą przy niej usiąść, rzucali się w fotele, rozsiadając się wygodnie. Pociągnął ich temat rozmowy.

— To źle wpływa na psychikę, tak ciągle myśleć o dawnych niewygodach — tłumaczyła pani Ziuta, ponętna blondynka, której mąż miał od dawna dobrą posadę. — W ogóle takie wieczne robienie z siebie męczenników stwarza przykry nastrój. Bo powiedzmy, tacy ludzie jak my, słuchając was, czujemy się zażenowani, niegodni tego, że w ogóle żyjemy, a i myśmy przecież przeżyli, kto wie czy nie większe tragedie. Pani nawet sobie nie może wyobrazić, jaki szloch był na granicy, kiedy widzieliśmy, że musimy wyjeżdżać z Polski. Zabieraliśmy chociaż garstkę tej ukochanej ziemi, by ją kiedyś na tułaczce zabrać do trumny.

— Ach, cóż pani może o tym wiedzieć! A to bombardowanie, które przeżyłyśmy w drodze do Rumunii! — popłakała się pani Irena.

— Tak, rzeczywiście, bardzo mało o tym wiem — spokojnie powiedziała Anna.

Przyszła jej z pomocą pani Helena, mówiąc:

— Mam do pani dużo spraw w związku z festiva-
lem. Może pójdziemy gdzieś na kawę, aby wszystko
ustalić. Państwo wybaczą, że porwę im atrakcję —
zwróciła się do reszty towarzystwa, i nie czekając
przyzwolenia, wzięła Annę pod rękę.

Wyszły na zionące ogniem bulwary. Słońce roz-
palone do białości prażyło niemilosiernie, najmniej-
szy wiaterek nie wiał od morza, pot kroplami ście-
kał z ich twarzy, ale nie czuły tego, szły pogrązo-
ne w rozmowie.

— Niech pani nie ma za złe Ziutce i Irenie tego
co mówiły, to zazdrość przez nie przemawia. Widzi
pani, — ciągnęła Helena — my wam zazdrościmy
tego wkładu cierpienia, któreście nagromadzili i tych
uczuć, które w najgorszej nędzy robią człowieka bo-
gaczem. Jesteście gromadą, którą wszy, głód i po-
niewierka spożyły. Macie ucieczkę od codziennej
rzeczywistości choćby w bólu i rozpaczy przeżytej,
lub w trosce o jutro tych sierot. My też chcemy
troszczyć się o nie, ale jak ślepy nie zna kolorów,
tak my nie znamy głębi i potrzeb tych maleńkich
istot, które mają dla nas, gdzieś na dnie swych
serduszek, ukrytą niechęć. Wstyd nam, że mamy do
dania im tylko suknie i inne drobiazgi, a tego co
najważniejsze, z r o z u m i e n i a , nie.

— To my raczej jesteśmy winne, — mówiła Anna
ze ściągniętymi brwiami — że nie potrafimy dosto-
sować się do otaczającego nas życia i jak ludzie,
którzy przeżyli katastrofę, ciągle do niej myślą

wracamy. Zdaję sobie dobrze sprawę, że tworzymy
jakiś „klan wtajemniczonych”, ale to wszystko
jeszcze jest w nas tak świeże, że wystarczy słowo
lub ruch jakiś, by przypomnieć nam całą otchłań
przebytych okropności, które tylko wspólnie między
sobą możemy ocenić. Dlatego też dzieci, które stam-
tąd przyjechały, do nas się garną, a my z nimi
związani jesteśmy węzłem silniejszym niż inne,
bo węzłem wspólnej niedoli. Ale źle byłoby, gdy-
by czas tych rzeczy nie zatął, bo wytwarza to
chory pogląd na świat, od którego wy jesteście wol-
ni. Może Bóg da, że to minie.

Weszły do kawiarni, gdzie zaczęły omawiać szcze-
góły, związane z przygotowaniem do festiwalu.

Pobyt Anny w Bombaju przedłużał się. To jakiś
pawilon nie był gotów, to eksponaty nie nadeszły,
to gubernator wyjechał i komitet organizacyjny
odkładał wobec tego datę otwarcia festiwalu. Anna
niecierpliwiła się, tęskniła za dziećmi. Próby pa-
radnego marszu, w którym brały udział reprezentacje
dwudziestu trzech narodowości, w swych narodo-
wych strojach, nudziły ją i śmieszyły zarazem. Śmie-
szyła ją powaga, z jaką omawiano sprawę, kto
zacznie, i czy prawą, czy lewą nogą pochód, czy
niżej, czy wyżej pochyli się sztandar przed guber-
natorem Bombaju. — Zdzczałam — myślała.

A dzieci z Panchgani nadsyłały jeden za drugim
listy, tyle rzeczy ważnych czekało na załatwienie;

Anna żałowała, że dała się namówić na wyjazd, a cofnąć się teraz było już niepodobieństwem.

* * *

„Kochana nasza Pani.

Po Pani wyjeździe jest nam bardzo smutno i nie ma takiej Pani, ażeby nas zebrała w jednym bloku i znowu zaśpiewała kolędy. Święta już niedaleko, a my nie umiemy dobrze kolęd. Wczoraj był u nas taki urządzony kemp i zaprosił doktor wszystkich dziewczynek i chłopców, tam graliśmy w karty. Wszystkie chłopcy gorączki nie mają, tylko mnie chodzić nie pozwalają. Bardzo panią prosimy arzeby Pani nam kupiła chociaż jedno lustro, bo zapomnieliśmy. Niech pani prędko przyjedzie. Na tym kończę moje bazgroły. Dowidzenia. Bolek, Stefek.”

* * *

„Najdroższa i najukochańsza Pani.

Nie wyobraża sobie Pani jak strasznie ucieszyliśmy się Pani listem i tym, że czuje się Pani dobrze i nie gniewa się na nas. Bardzo przepraszamy, że napisałyśmy tylko sześć listów, ale to dlatego, że czekałyśmy na odpowiedź, a teraz z dnia na dzień wyglądałyśmy powrotu

Pani. Nie mogąc się doczekać listu ani powrotu, nie wiedziałyśmy czym to tłumaczyć i robiłyśmy rozmaite przypuszczenia, a więc teraz może sobie Pani wyobrazić jaką radość sprawił nam list od Pani. Władka i Janka są bardzo grzeczne i uczą się; gdy czasem sobie za dużo pozwalają, straszymy je, że jak będą niegrzeczne, to Pani nie przyjedzie, to najbardziej skutkuje. Przekonałyśmy się teraz, że pasjanse kłamią, bo gdy w ósmym dniu pobytu Pani w Bombaju stawiałyśmy dziennie po kilkanaście pasjansów, zawsze wychodziło, że Pani się na nas gniewa, a okazało się ku naszemu zadowoleniu, że to nieprawda, bo Pani do nas napisała. Stefek nareszcie zaczyna się uczyć abecadła. Śniło mu się, że Pani go biła, przestraszył się i dał się namówić. Miss Irani zasyła Pani po raz drugi „salom”. Bardzo prosimy, aby Pani jaknajprędzej przyjechała, bo już nawet i pokój wymyty, widać, że i oni wyczekują Pani. W każdym liście możemy powtarzać jedno: że bardzo Panią kochamy, ciągle myślimy o Pani i strasznie tęsknimy. Całujemy Panią sześć milionów razy — zawsze kochające Panią dzieci”.

Z Jamnagaru pani Stefa pisała:

„Mila Anno.

Był list do Mili, posłałam go do Czerwonego Krzyża. U nas lekcji prawie nie ma. Marysia

dostała złośliwej malarii i odjęło jej władzę w nogach. Ach, żeby się przenieść z tego okropnego miejsca. Ciagle, ksiądz, profesor i my odbywamy na ten temat konferencje z delegatką, ale ona się uparła, że tutaj jest dobrze, że były duże koszty, że nie można. A ja, prawdę powiedziawszy, nie widzę możliwości pozostawiania w Jamnagarze bez szkody dla zdrowia dzieci, siedemdziesiąt procent ich choruje już na malarię, lekarstw brak. Płakać mi się chce. Nie mogę zrozumieć uporu delegatki, dzieci marnieją w oczach. Koszty — mój Boże, trzeba było się zastanowić wcześniej nad tym. Nawet w angielskich starych przewodnikach, Jamnagar jest oznaczony jako miejscowość malaryczna. Z całego personelu nauczycielskiego ja jedna jeszcze uchroniłam się przed malarią, ale pewnie i mój czas nadejdzie.

Gryzę się bardzo tą sytuacją, w której znów znalazły się te biedne, Bogu ducha winne dzieci. W Rosji niszczyło je okrucieństwo, a tu ambicja chora, bo przypuszczam, że to tylko ambicja. Raport do Londynu brzmi, że jest dobrze, więc musi być dobrze, pomimo, że jest źle. Delegatka chce tu umieścić wszystkie dzieci. Obecnie część ich z ostatniego transportu jest jeszcze w Quetcie, bo rzeka Hindus wylała i zerwała tory kolejowe. Może Ty będziesz mogła coś pomóc w naszej sprawie, może ktoś jedzie do Londy-

nu, trzeba ratować dzieci. Ściskam Cię. Stefa”.

* * *

Wreszcie festival rozpoczął się, trwał trzy dni i minął, zostawiając po sobie na placu kupę belek po zburzonych pawilonach, papierów i innych śmieci. Kilka recenzji ukazało się w prasie i przez jakiś czas omawiano w salonach szczegóły tej uroczystości.

Anna, obładowana paczkami dla „najukochańszych”, nie zapomniawszy o najdrobniejszych nawet sprawunkach, z lekkim sercem pożegnała gwarne miasto i wsiadła do pociągu, który powiozł ją do oczekujących na jej powrót sierot.

CHOINKA

Cięły kolorowe papierki, klejąc z nich długie łańcuchy na choinkę. Nie towarzyszyło tej pracy zwyczajne przy takiej okazji radosne podniecenie, a twarze dzieci były smutne i zamyślane. — Bo jakże inaczej było o tym czasie tam, w Polsce, za najszcześniejszych dni, gdy były z rodzicami.... Jak cieszyła wtedy każda zabawka, którą się w asyście mamy zawieszano na drzewku. Co za radość była w chodzeniu i szukaniu po straganach, których przed świętami wiele stało na placach targowych, szpica lub gwiazdki, bomb świecących, srebra o najdłuższych nitkach, by nim — jak pajęczyną — osnuć uginające się od zabawek, pierników i jabłuszek, mieniające się różnymi kolorami, drzewko. Pięknym był widok choinek, ośnieżonych i pachnących jeszcze lasem, ustawionych na sprzedaż.

Baśka przypominała sobie, jak to jeździła do lasu, wybierać najpiękniejszy świerk, lub choinkę na święta — śnieg skrzypiał pod płozami i lśnił brylantowo, dzwoneczki przy upręży wesolo dzwoniły, mróz delikatnie szczytał w zaróżowione policzki. To dopiero było Boże Narodzenie! A nie tak jak tu,

w Indiach, gdzie pot w grudniu strugami leje się z upału, a choinka? Az śmiech pomyśleć — po prostu drzewko liściaste.

— Zawiesimy na nie tyle zabawek, że go widać nie będzie — wpadła w tok myśli Basiny, Ala — podstrzyżemy je na kształt choinki, szeroko od dołu, a szpiczasto u góry i będzie to jakoś wyglądało.

Słaba to była jednak pociecha.

Jadzia wbiegła do pokoju, a za nią weszli obładowani boy'e.

— Paczki przysłali z Bombaju. Pani prosiła, żebyśmy je rozpakowały, a do ciebie jest list — powiedziała, oddając Mili niebieską kopertę, ze znakiem Czerwonego Krzyża.

Mila, zrobiwszy zdziwioną minkę, wzięła list, obejrzała kopertę i schowała go do kieszonki. Pewnie znów jakaś „dobra pani” pisze: — moja mała sierotko, — lub: — o moje ty biedne dziecko, — ma czas przeczytać. Co innego gdyby list był z Jamnagaru, od koleżanek, przeczytałaby go zaraz. Podbiegła do boy'ów, niosących paczki..

— Ciekawa jestem, co nam przysłali? Chyba nie słodycze, bo byłyby inaczej opakowane.

— A może to są prezenty dla nas — ucieszyła się mała Jasia.

— Nie potrzebuję ich prezentów — wybuchnęła Basia, która wciąż myślami była w Polsce, po czym

westchnęła i kleiła dalej łańcuchy, ale robota nie szła jej.

— Czy u was na wsi chodzili na pasterkę? — spytała ją, pogrążona także w rozmyślaniach o domu, Ala.

— Naturalnie, cała wieś jechała, lub szła do sąsiedniego miasteczka, w którym był parafialny kościół, a nas mama zabierała sankami. A u was, czy zostawiało się jedno wolne miejsce przy stole wigilijnym?

— Zawsze, a mamusia mówiła, że ten zwyczaj powstał dlatego, by od chwili w której Chrystus urodził się dla zbawienia świata, wszyscy ludzie byli sobie braćmi, by żadnego głodnego lub pragnącego nie odepchnięto od drzwi, serca i stołu swojego.

Basia przerwała robotę i westchnęła. Z rozpaczą pomyślała, że już nigdy nie będzie miała takich szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia, że nigdy matczyne ręce nie splecą jej warkoczy i że nigdy już nie będzie mogła przypaść do kolan mamy i patrzeć w jej dobre oczy. Coraz ciężiej było jej na sercu. Wigilia, — mój Boże — dziesięć osób zasiadało u nich do stołu: babka, dziadek, mama, ojciec, ciotka z mężem i dwojgiem dzieci, wujek i ona. Babcia brała opłatek i dzieliła się nim z wszystkimi. Jakże byli wtedy wszyscy pewni, życząc sobie wzajemnie zdrowia, szczęścia, pociechy z dzieci, że za rok spotkają się znowu przy tym samym stole. Któż mógł przeczuć, że któregoś dnia przyjdzie rozbewstwie-

na sowiecka banda, wywlecze za włosy babkę staruszkę i matkę i poderżnie im gardła z takim spokojem, z jakim kucharka podrzyna kury. Że ojca uderzą polanem w głowę, śmiejąc się, aż mózg rozprysnie się na wszystkie strony. — Natie, pamieszczyki*) — krzyczeli. Z rąk tej dziecy wyrwał ją wówczas stary fornał i tak, jedyna ocalała. Razem z poczciwą rodziną fornalską wywieźli ją do Rosji — tam trochę z nich poumieralo, reszta pogubiła się i tak została w końcu sama sierota w obcym, strasznym kraju. Przymknęła oczy. Nie, nie, nie mogła już o tym myśleć.

Zaczęła zastanawiać się nad tym, że właściwie bardziej od samych świąt, lubiła nastrój przedświąteczny, kiedy to zapach drzewka napełniał mieszkanie, a szelest bibulek, w które owijano prezenty, budził ciekawość.

— Znowu zaglądasz, — przeganiała ją, śmiejąc się matka — to na jutro, to na jutro, — mówiła — dzisiaj tego nie wolno ruszać.

Potem ubierały razem wielką choinkę, dla folwarcznych i wioskowych dzieci, które zbierały się we dworze w pierwszy dzień świąt, na kolędy i po podarki. Chłopcy wioskowi przychodzili z szopką

*) Pamieszczyk — właściciel ziemski.

przez siebie robioną, a asystował im oczywiście anioł, diabeł, żyd i Herod, ślicznie śpiewali i komicznie się przekrzywiali, a mama kładła im w czapkę złote, a na drogę dawała krążek kiełbasy i kawał babki. Dobra była mama, bardzo dobra i wszyscy ją kochali.

Żal, nie dający się opanować, chwycił Basię za gardło, rozplakała się i uciekła na swoje łóżko, gdzie szlochając wtuliła twarz w poduszki.

— Uspokój się, nie płacz, wszystkie nas jeden i ten sam los spotkał, — uspakajała ją Ala — przestań, — szeptała, — bo małe zaraz także zaczną płakać. Jeśli kochasz mamusię, to teraz myśl nie o sobie, lecz o tych naszych małych, urządzmy im ładne, radosne święta. One nie pamiętają tego, co my starsze i będą się cieszyć. Chodź, kończmy robić zabawki, powiedz im, że cię ząb zabolął i dlatego płakałaś.

Basia uznała radę Ali za słuszną. Postanowiła poświęcić swój smutek i żyć w tym dniu tylko myślą o tutejszych koleżankach, o tym by zrobić wszystko, by chociaż one były szczęśliwe. Janeczka i Władzia z oczyma pełnymi łez, zbliżyły się do jej łóżka.

— A wy czego beczycie? — spytała małe dziewczynki.

— My z tobą — odpowiedziała Władzia pochlipując.

— To was także ząb boli? — spytała je, trzymając rękę przy policzku.

— Ząb? Nie, myśmy myślały, że płaczesz za mamusią — odpowiedziała zdziwiona Jadzia.

— Dlaczego miałabym płakać za mamusią? Przecież mamusia jest u Bozi w niebie i na pewno jej tam dobrze. Patrzy na nas i widzi co robimy i cieszy się, że będziemy miały piękną choinkę, bo nasza choinka będzie piękna, zobaczycie.

Ala rzuciła się jej na szyję. — Kochana, kochana, dobra Baśka — szeptała, całując ją.

— Rozpakujmy paczki i zobaczmy, jakie tam są zabawki. Raz, dwa, trzy — dzieciarnia, marsz do paczek — zakomenderowała Basia, wstając z łóżka.

— Ciekawa jestem, czy będzie gwiazdka, czy szpic? — zastanawiała się Mila.

— Ja kce gwiazdkę — wołała Jasia.

— A właśnie jest szpic — oznajmiła Mila, wydobywając go z paczki.

— Jaki piękny, jaki duży — zachwyciła się Janeczka.

Zaczęły wykladać z pudełek na stół lśniące bomby, łańcuchy ze srebra i złota, aniołki i gwiazdki i wiele innych najprzeróżniejszych ozdób, wśród których nie brakowało i zimnych ogni.

— Gałązki się oblamiają pod tyłoma zabawkami,

wystarczyłoby ich na trzy takie marne drzewka — biadała Jadzia.

— Zaraz je poprawimy, zobaczysz, — powiedziała wchodząc pani Anna, — dajcie mi ogrodowe nożyce, zrobimy postrzyżyny.

— Do tej pory rosłeś jako drzewko oliwne — mówiła z zabawnie poważną miną, — ale „hokus pokus” i przefasonujemy cię na choinkę.

Dzieci śmiały się, ubawione ruchami naumyślnie komicznymi, wychowawczyni. Szybko zmieniał się kształt rozłożystej oliwki pod cięciami nożyce, aż stała się podobną do ulubionego drzewka. Dobry nastrój wrócił i z zapalem zajęto się ubieraniem drzewka i nawet Baśka wesoło przymocowywała lichtarzyki ze świeczkami i zimne ognie, na podstrzyżonej „choince”.

W kuchni sanatoryjnej także wrzało. Hinduska kucharka z przejęciem przygotowywała dla dzieci tradycyjne polskie potrawy na wieczór wigilijny — zupę grzybową, rybę smażoną, kapustę z grzybkami, kompot ze śliwek oraz kluski z makiem i z miodem; co chwilę przywoływała Annę, by kosztowała potrawy, które dla niej były bez smaku, gdyż nie było w nich korzeni i ostrych przypraw.

Gdy drzewko było już przystrojone, Anna wyprawiła dzieci do innego pawilonu i zaczęła układać przeznaczone dla nich prezenty.

Cóż z tego, że podarunków było dużo, czuła że to nie ucieszy ich, a ona nie będzie mogła zastąpić

im w ten dzień matczynej obecności, ni stworzyć, mimo wszelkich starań, nastroju domu rodzinnego. Bała się zwłaszcza momentu rozdawania prezentów, bo przecież w domu chwila ta była uświęconą chwilą, wyznaniem miłości i wiary między matką i dzieckiem. odbierającym wymarzony podarunek, który ona macierzyńskim sercem odgadła. Dla dziecka, to więcej niż radość z podarunku, jest to utwierdzenie się w tym, że matka odczytuje jego myśli i zapewnienie na przyszłość, budzące spokój i zaufanie, że jest ktoś, kto wszystko, gdy zajdzie potrzeba, tak, jak potrzeba odgadnie. A jakież mogły mieć dzieci w tym dniu stosunek do chociażby najpiękniejszego prezentu, przysłanego im przez obcych ludzi? Czy nie pogłębi to tylko ich smutku i nie pograży ich w rozmyślaniach nad ich sieroctwem?

— Może lepiej nie dawać prezentów, — pomyślała Anna, ale za późno było już na decyzję, bo dzieci wracały.

— Proszę pani, w jakie sukienki ubierzemy się na wieczór? — pytała Mila.

— To już jak chcecie, każda niech ubierze się w tę, którą najbardziej lubi.

— Jaką ty włożysz? — spytała Władzia Basię.

— Zobaczę — zbyła ją Baśka.

Otworzyły szafki i zaczęły w nich przeglądać sukienki.

— Ja włożę niebieską — zawołała Mila.

— A ja białą.

— To i ja też białą — przyłączyła się do Władzi Janeczka.

Anna wyszła, a dziewczynki zaczęły się przebierać. Z kieszonki Mili wypadł zapomniany list. Chciała go nierozpieczętowany schować do szafki, gdy wtrąciła się Baśka.

— Przeczytaj, może tam jest coś ciekawego.

— Et, zawracanie głowy i tyle, szkoda teraz czasu.

— Daj, to ci go przeczytam.

Mila niechętnie podała Basi list i zajęła się swoją toaletą. Basia, zbieraczka znaczków pocztowych, oderwała najpierw markę, potem rozcięła kopertę i zaczęła czytać list.

— Mila, — krzyknęła — mamusia twoja się odnalazła i Czerwony Krzyż zawiadamia cię o tym! Jest w Teheranie, podają jej adres. Co za szczęście, mój Boże, aż wierzyć się nie chce — wołała ściskając Milę, w której serce zamarło.

Zbyt nagle radosna nowina była ponad fizyczną wytrzymałość dziewczynki. Nogi ugięły się pod nią, uczuła pustkę w głowie i upadła na podłogę.

Przerazona Baśka zaalarmowała panią Annę. Długo nie mogły obie docucić się zemdlonej. Mila po przyśściu do przytomności rozplakała się.

— Co się stało? — pytała zaniepokojona pani Anna.

Basia bez słowa podała jej list i odeszła do swego łóżka.

— Ach, — denerwowała się opiekunka, — jakże można było bez przygotowania przysłać dziecku taką wiadomość.

Jeszcze parę razy musiała odczytać zawiadomienie rozdygotanej dziewczynce, odchodzącej od zmysłów ze szczęścia.

— To mamusia żyje i jest w Teheranie, o mój Boże, mój Boże, — łkała — a ludzie mówili, że umarła w szpitalu w Swierdłowsku na tyfus, a ona żyje, żyje moja mateczka. To pewnie tutaj przyjedzie, a może ja do niej pojedę! Baśka, Baśka kochana, — rzuciła się na szyję przyjaciółce — mam mamusię, mam mamusię! Ach, szkoda, że nie będzie razem na święta, a może jeszcze przyjedzie, zrobi mi niespodziankę i przyjedzie.

Baśka wyszarpnęła się z uścisku Mili, twarz jej była kredowo biała, usta miała zacięte.

— Co mnie obśliniasz, zwariowałaś, czy co? — powiedziała opryskliwie.

Mila nie zrazała się tym, raz po raz ją ściskając.

— Odejdź ode mnie, masz mamusię, to ciesz się, ja się też z tego cieszę, ale zostaw mnie w spokoju! — wybuchnęła, odtrącając Milę.

— Ach, mój Boże, Basiu, Basiu — powtarzała w kółko Mila, nie rozumiejąc naglej opryskliwości przyjaciółki, która jeszcze przed chwilą była dla

niej taka serdeczna. Łzy napływały jej do oczu, obróciła się, szukając przyjaznego spojrzenia, ale dzieci unikały jej wzroku udając, że są zajęte.

— Pewnie zazdroszczą mi, że mam mamusię — pomyślała. — Och, niedobre, niedobre koleżanki, żeby tak zepsuć moją radość. — Zmroził ją nieprzyjemny nastrój, który ją nagle otoczył. Chciałaby już wyrwać się stąd, zostać sama, by w pełni nacieszyć się radosną nowiną. Drgnęła, gdy pani Anna pocałowała ją, było to dla niej niespodziewane.

— Cieszę się, Milu, całym sercem się cieszę, że odnalazłaś mamusię, musisz za to gorąco Bogu podziękować, bo to niezwykła rzecz. Napisz zaraz do niej, prześlę ci przez Basię papier i kopertę.

Mila z wdzięcznością pocałowała ją w rękę i trochę lżej jej się zrobiło na sercu.

Anna wyszła, a za nią niechętnie, ociągając się, szła Basia.

— Jakże można było tak nierozważnie przesłać list wprost do dziecka — myślała opiekunka, idąc do swego pokoju. — Teraz stało się to, czego się najbardziej trzeba było obawiać. Radość jednego dziecka z odzyskania matki pogłębiła boleść sieroc-twa innych i obudziła w nich zawiść. Czują, że zwłaszcza Baśka przeżywa z tego powodu tragedię i że ta chwila może wywrzeć decydujący wpływ na jej charakter. Postanowiła więc wybadać delikatnie dziewczynkę, udając że się nie domyśla niczego.

Długo szukała papieru i kopert, chcąc by Baśka przez ten czas opanowała się trochę. Dziewczynka jednak nerwowo przygryzała usta, z niecierpliwością obserwując ruchy nauczycielki. Męczyło ją czekanie, chciałaby już uciec, uciec daleko od wszystkich i wyplakać się do woli, bez ludzkich współczuć i pocieszań.

— Co ci jest, Basiu? — zapytała miękko Anna.

— Nic, proszę pani.

— Czemu jesteś taka smutna?

— Nie, proszę pani.

— Masz tu koperty i papier, oddaj je Mili i bądź dla niej dobra.

Dziewczynka ukryła twarz w dłoniach. Plakała.

— Czemu płaczesz? — zapytała Anna, przyciągając Basię do siebie.

— Ach, proszę pani, bo to takie straszne, ja nawet się wstydzę powiedzieć.

— Powiedz, dziecinko.

— Ja tak nienawidzę teraz Mili, że patrzeć na nią nie mogę.

— Tak nagle? Lubiałaś ją przecież.

— Właśnie to takie okropne, że ją wpierw lubi-łam, a teraz zamiast cieszyć się razem z nią, że odnalazła mamusię, nienawidzę jej. Czuję to, że co-raz bardziej jej nienawidzę i nie mogę sobie z tym dać rady. Wstydzę się tego, a nienawidzę, jej.

W ogóle po co mnie Pan Bóg trzyma jeszcze na tym świecie, chyba tylko po to żebym się męczyła — rozżaliła się.

— Jak możesz tak mówić, Basiu?

— Bo proszę pani, jakie ja mogę mieć życie? Co za przyszłość mnie czeka? Wychoruję się, wychoruję i stracę siły. Mam już dwanaście lat, uczyć się nie mogę, pracować nie będę mogła. Gruźlica to przecież zła i wyniszczająca choroba. Co ze mną będzie? Nikogo, nikogo nie mam na calutki świat — mówiła zanosząc się od płaczu. — Och, z moich nikt z grobu nie wstanie, by mnie pocieszyć. ja nie mam na co liczyć, ani na co czekać. Umrzeć chciałabym tylko prędko. Tylko umrzeć!

— Jak możesz tak myśleć i mówić, Basiu, krzywdzisz nas. Sieroctwo nie tylko twoim jest udziałem. Gdzie zwrócisz oczy, pełno go dookoła, i nieszczęść pełno, gdy się je chce dojrzeć. Wszyscyśmy potracili swoich bliskich i przeszli okropności wojny. Takich jak ty, Basiu, jest tysiące i miliony, i nie może i nie powinna radość drugich zamykać naszych serc dla nich. Musimy się cieszyć, że jest o jedno nieszczęście mniej, o jedno sieroctwo mniej, nasz ból nie powinien nas robić złymi. Musimy przeboleć straty i stworzyć sobie inny dom i życie w warunkach, w jakich jesteśmy. Musimy stworzyć z nas, poszczególnych sierot, wielką, kochającą się rodzinę. Przemóż się, Basiu, idź i bądź dobra dla Mili. Pomyśl nad tym, o co cię proszę.

— Kiedy ja nie mogę, nie mogę, proszę pani. Ja nie wiem, czy jestem taka zła, czy co? Ale teraz cieszyłabym się, gdyby to była nieprawda, że mama Mili żyje. Ja wiem, że to straszne, proszę pani, ale to prawda, ja bym się z tego cieszyła. To okropnie pomyśleć, że jej matka zmartwychwstała, a moja tak głęboko leży pod ziemią, którą depcą obce nogi. Bez krzyża, bez niczego, jak pies. To niesprawiedliwe, proszę pani. Ja nie wiem, dlaczego Pan Bóg tak się nade mną znęca, cóż ja Mu zawiniłam? Nienawidzę wszystkich, którzy nie cierpią tak jak ja, a pani każe mi kochać ich. O nie, ja tego nie potrafię! A jeszcze i teraz ta głupia Mila skacze i drze się „mam mamę, mam mamę”, a mnie za każdym razem jakby kto nożem w serce dźgał. Nie wrócę tam do niej, proszę pani, zabiję się, a nie wrócę!

Długo trzymała pani Anna przytuloną do siebie dziewczynkę, długo tłumaczyła jej coś cichym głosem, aż wreszcie twarz dziewczynki wypogodziła się, a oczy osuszyły.

— Dobrze, proszę pani, postaram się być dobra dla niej. Dobrze, proszę pani, obiecuję odrzucać od siebie złe myśli — powiedziała, całując Annę w rękę. Za drzwiami jednak zmięła trzymaną w rękę kopertę i papier i rzuciła z pasją o ziemię.

Anna obserwowała ją przez okno, jak uciekała w głąb ogrodu; zdawała sobie sprawę ze stanu, w

jakim znajduje się Basia. Nie wierzyła w jej przyrzeczenia, które przerastały jej siły. Nie, to nie była rana, która mogłaby się łatwo zagoić. Jątrzyć ją będą ciągle ludzie o najlepszych intencjach, ale małym zrozumieniu. Jakże ustrzec te biedne istoty przed takimi przeżyciami — rozmyślała. Tylko dobra rzeczywistość wola społeczeństw może tego dokonać. Powinno zniknąć słowo sierota, powinna powstać rodzina, wielka, międzynarodowa. Wszędzie, gdzie jest kobieta, wszędzie, gdzie są matki, musi znaleźć się przystań, dom i macierzyństwo dla dzieci bez domu i rodziców. Matki muszą być matkami nie tylko dla swoich dzieci, a wtedy pojęcie sieroctwa zginie. Oto jest zadanie dla kobiet — rozmyślała Anna, zapatrzona w okno.

Baśka tymczasem, wyplakawszy się w samotności, powoli wyszła z ukwieconej alei i podeszła do rzuconego papieru. Podniosła go, wyprostowała i po chwili namysłu ruszyła w stronę pawilonu dzieci.

— Masz tutaj papier, przepraszam cię ze taki zmięty, ale upadł mi — tłumaczyła Mili, próbując się uśmiechnąć.

Mila popatrzyła na zaczerwienione oczy przyjaciółki i z żalem pomyślała, że Baśka płakała. Postanowiła sobie ani razu już nie wspomnieć o matce, ani razu, chociaż to było bardzo trudne, bo słowo to samo wybiegało na usta.

— Dziękuję ci — powiedziała jak mogła najserdeczniej do Basi i wzięła z drżących, zimnych jak lód rąk jej, poplamiony i pomięty papier.

* * *

Gdy pierwsza gwiazda zabłysła na niebie, skupiły się wszystkie dzieci koło choinki. Wspomnienia zasepiły im czoła. Anna wyciągnęła do Basi biały opłatek.

— Życzę ci, — powiedziała, i nagle pod wpływem bezdennie smutnego spojrzenia dziewczynki zabrakło jej życzeń. Czegoż ma im życzyć? Szczęścia? Bez rodziny, bez domu? — Powrotu do wolnej Ojczyzny — dokończyła i lzy zakreśliły jej się w oczach. Złączone tym samym uczuciem dzieci rozplakały się.

Ach, wyplakać się, wyplakać wszystko, co utracone, a tak sercu drogie, na nowo ożyłe w tym dniu, w tej minucie....

Miękły opłatek zlany łzami.

— Trzeba przerwać ten okropny nastrój — kotłowało w głowie Anny.

— Podnieś rękę, Boże dziecię, — zaintonowała głosem chrapliwym, łamiącym się, nie swoim....

— Błogosław Ojczyznę miłą — podchwyciły jak ratunek, szlochające dzieci. Zaczęły zapalać świeczki na choince, nie jak na święto Bożego Narodzenia, lecz jakby w dzień Zaduszny na grobach ukochanych.

— Świeczki zapala się przecież dopiero po kolacji — dziwiła się w duchu Miła — co one robią? — Jak najprędzej chciałyby uciec z tego smutnego miejsca, jak najprędzej.

— Kraj nasz i majątność całą, i wszystkie wioski z miastami... — kończyły kolędę tułacze dzieci ze spalonych wsi i zbombardowanych miast.

K O N I E C



OD AUTORKI

Choć w morzu nieszczęść, w jakich utonęła ludzkość, ta historia garstki tułaczych dzieci jest kroplą, nie mniej może jednak trafi do serc tych wszystkich, którym troska o lepsze jutro bliźniego jest celem, którzy walczą o sprawiedliwy, miłosierny, ludzki świat.

SPIS

Część I.

| | | |
|-------------------------------|------|-----|
| Dzieje Krzysztofa | str. | 1 |
| Bajka z Tysiąca i Jednej Nocy | " | 42 |
| Kaziunia | " | 68 |
| Historie i Historyjki | " | 94 |
| Rodzina Czynczyków | " | 128 |
| Hotel Kołchożny | " | 145 |

Część II.

| | | |
|-------------------|---|-----|
| Dajkowe Kurczaki | " | 167 |
| Sieroce Ognisko | " | 176 |
| Jerzyk Trembacz | " | 204 |
| Małpy w Ofenzywie | " | 219 |
| Bandra | " | 234 |
| Te Najukochańsze | " | 248 |
| Choinka | " | 280 |

Spis I

| | | |
|-----|------|-----------------------------|
| 1 | str. | Dzielnice Krasnopolu |
| 43 | " | Baszta i Tysiac i Jedna Noc |
| 68 | " | Kazimierz |
| 94 | " | Historia i Historjki |
| 128 | " | Podziemia Czarnobylu |
| 140 | " | Hotel Kobalany |

Spis II

| | | |
|-----|---|-----------------------|
| 167 | " | Dzielnice Kurczaki |
| 178 | " | Stacja Opusko |
| 204 | " | Stacja Trembac |
| 270 | " | Stacja w Olszynie |
| 284 | " | Stacja |
| 288 | " | Stacja w Najstochowcu |
| 297 | " | Stacja |

Wydawnictwo
 Instytut Wydawniczy
 PAX
 Warszawa

Wykonano
na
KURSIE DRUKARSKIM
przy
INSTYTUCIE POLSKIM
w Bejrucie